

# Józef Ignacy Kraszewski

## Królewscy synowie t.1



calibre 0.9.27

**JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI**

**KRÓLEWSCY SYNOWIE**

**POWIEŚĆ Z CZASÓW WŁADYSŁAWA HERMANA**

# I KRZYWOUSTEGO

Kornelowi Ujejskiemu

Jako upominek przyjaźni ten grosz wdowi

przesyła

Autor

Drezno

22 kwietnia 1877r.

# TOM I

*Boleslae, Boleslae Dux gloriossime...*

*Defendis tuam terram quam studiosissime...*

Pieśń obozowa niemiecka. Gallus

Słońce zachodziło za lasy złocąc niebiosą, które się gorzeć zdawały; tam nawet, gdzie bladły jego blaski, lazur się mienił w barwę ołowianą, jaką po skwarach przybiera. Wieczór był duszny, najmniejszego ruchu w powietrzu. Na starych drzewach, które cichy klasztor otaczały, liście wisiały jakby powiędłe od gorąca. Co żyło — szukało cienia a w nim spoczynku i orzeźwienia. Niebo bez chmurki nie zapowiadało zmiany.

W klasztorze i poza tynem, który opasywał jego podwórza, cisza

panowała głucha; niekiedy szmer jakby powolnego, znużonego chodu ludzkiego przerywał ją na krótką chwilę i ginął gdzieś w dali. Ukośne promienie słońca, zabarwione gorąco, padały na czoło małego kościółka, na mury i ściany klasztorne silnymi cieniami odznaczając każde wgłębienie, gzyms, kamień, zarysowaną powłokę. Jak pustka wyglądały teraz te budowy ze drzwiami pozamykanymi, z pozasuwanymi oknami, około których ani człowiek, ani zwierz, ani nawet mała ptaszyna nigdzie się nie pokazywała. Wszystko, co żyło, chroniło się w mury, czekało, aż wieczór odżywi powietrze rosą, a noc świeżość z sobą przyniesie.

Był to rok posuchy, na polach zboża pożółkły przed czasem, samotnie stojące drzewa miały już spalone liście, w rzekach resztki wód, jakby wstrzymane w biegu, drzemały i okrywały się pleśnią; strumienie w obnażonych łożyskach jeżyły się oschłymi kamieniami, w studniach brakło wody, trzęsawiska wśród lasów gorzały; gdzieniegdzie bory, zażegniete przez pastuszków, paliły się łuny szerokimi, czerwieniąc niebo po nocach. Powietrze przejęte było tą zgorzeliną błot i lasów i jakby od dymu skwaśniałe.

Klasztor, stojący wśród puszczy niedawno przetrzebionych, choć na owe czasy rozległy, wspaniałej nie miał powierzchowności. Znać na nim było i trudności budowania, i pośpiech może, i małą troskę o kształty jego zewnętrzne.

Kościół się niewiele nad nim podnosił, a w skromnej wieżycze jego zaledwie para z blachy kutych dzwonów wisiała. Mury, z których się składały budowy, były z kamieni polnych grubo i nie bardzo foremnie polepione. Część budowli do nich przytykająca, z drewnianych brusów zaledwie ociosanych złożona, ciemniejszą barwą odbijała od ścian kamiennych.

Obok tych gmachów dość rozległych a niepozornych znać jednak było w podwórcach i ogrodach przytykających troskliwą rękę, która około nich chodziła. Bujnie tu rosły posadzone krzewy, którym dostarczano wody ze studni, jak świadczyły leżące na ziemi korytka; nieznane pod północnym niebem rośliny kwitły tu, rozwijały się na podziw bujnie i pięknie. Na wbitych w ziemię kołach obwijały się latorośle winne między liśćmi, wśród których zafarbowały się już ciemne grona; na grzędach rozścielały się zioła, wonią aromatyczną napełniające powietrze. Tuż koło studni, z której ożywcze na sad rozlewały się wody, wysoki krzyż drewniany ze znakami Męki Pańskiej zdawał

się ubłogosławiać źródło. U stóp jego, na tablicy głoskami wielkimi stał napis: Tu es fons et vita.

(Tyś jest źródłem i życiem)

Wpółśród sadu założonego na pochyłości wzgórza ku południowi

zwróconego ręką, co trzebiła las tam niegdyś rosnący pozostawiła kilka starszych drzew rozłożystych, ocieniających szerokie przestrzenie zieloną pokryte murawą. Pod kilku z nich stały ule z pszczołami, pod innymi leżały kamienie dla spoczynku; lecz teraz ani pszczoł około ulów, ni ludzi na siedzeniach widać nie było. W rogu sadu, gdzie zostało kilka lip starych, a krzaki pod nimi promieni słońca nie dopuszczały, stał przyparty do parkanu daszek słomą okryty, a pod nim leżała ława z jednego kłosa drzewa.

Dwóch ludzi ukrytych tu siedziało w milczeniu. Oba odziani byli w suknie czarne braciszków klasztornych odznaczające, nie mieli jednak ani kapturków, ni zwierzchnich sukni kapłańskich. Oba młodzi byli, a choć ubiorem nie różnili się od siebie, najmniej wprawne oko musiało w nich dojrzeć jeśli nie różnicę stanu, to charakterów i usposobienia.

Jeden z nich siedział w rogu ławy sparty na rękach, które na kolanach trzymał jak wbite; drugi, patrzący nań z rodzajem obawy i podziwienia, nieco opodal się umieścił i z oka go nie spuszczał. W rysach twarzy jego malowała się zarazem litość, podziwienie i trwoga. Ten drugi miał twarz wyrazu łagodnego, bladą, oczy niebieskie, włos jasny, krótko postrzyżony, ciało wężkie i delikatne i ręce małe. Suknia czarna, zbyt dlań obszerna, w szerokich a grubych fałdach opadała z wychudzonych jego ramion, pas, którym był ściśnięty, osuwał się i zdawał rozpuszczać.

Ten, na którego patrzył, jak gdyby tylko co mówić poprzestał, a ostatnimi słowy trwogą napełnił towarzysza, mimo sukni zakonnej nie miał pozoru mnicha. Odzież, którą miał na sobie, zdawała się dlań za ciasną i wyszarzana była, jakby obchodzeniem się z nią niedbałym i dzikim; w kilku miejscach widać było na niej dziury jakby gałęźmi wyszarpane, plamy od tłuszczu i kurzawy, która przylgnęła do niej. Twarz i postać cała stan ten sukni tłumaczyły. Chłopiec był zaledwie zmężniały, bujno się jeszcze rozrastający, na wojownika może bardziej stworzony niż na spokojnego mnicha. Ręce wystające z rękawów silne były i do dźwigania miecza lub siekiery jakby ulane; kark obnażony, ogorzały, ponad kołnierz wychodzący, nadawał głowie charakter zwierzęcej jakiejś siły. Wyrazistszą jeszcze nad te kształty była głowa sama z twarzą bladą, długą i wielką, która miała w sobie coś dzikiego. Ponad nią jeżył

się włos obcięty; twardy i poplątany. Mimo wieku młodego oblicze było prawie stare, zbladłe, żółkłe i patrzące srogo a szydersko. Rysy jego niepiękne, wyciosane grubo a twardo, odpychały dumą i jakby złością tłumioną, trawiącą wewnątrz człowieka. Duże usta warg nie miały prawie, jednym wąskim pasem przecinając policzki. Nad oczami brwi zmarszczone, pofałdowane, ruchome wisiały, jakby ją myśl jakaś ściągnęła gniewna. Z białych oczów patrzących bystro grozę tylko tłumionej złości można było wyczytać. Spod sukni wysunięte nogi w chodakach zaniedbanych i okurzonych tak silnie wryły się w ziemię, jakby je w nią gniew jakiś i miotanie się wkopało. Na całym też młodzieńcu widać było wyraz buntowniczy bezsilnego oporu.

Milczeli tak dwaj pod daszkiem siedzący dosyć długo; ostatnie promienie słońca zapadały za lasy, a ogród okrywał się półmrokiem zwiastującym chłód wieczorny.

— Wracajmy do celi — rzekł w końcu cicho, bojaźliwie niemal młodszy brat siedzący na rogu ławy.

Zadumany smutnie młodzian odwrócił ku mówiącemu głowę i potrząsnął

nią tylko na znak, że tego uczynić nie myśli. Po niejakiem czasie towarzysz znowu cicho powtórzył toż samo żądanie. Usłyszawszy je, jakby gniewem zatrzęsł się słuchający i nagle, zwracając się cały do mówiącego, zawołał:

— Nie chcę! Dosyć się w niej nasiedzę... Dusi mnie ta celka wasza, zdaje mi się w niej, żem w trumnie.

— Ojciec przełożony gniewać się będzie — szepnął drugi, oczy spuszczając.

Uśmiech przebiegł po ustach niecierpliwego młodzieńca, który zadrżał i twarz na chwilę ukrył w dłoniach.

— Bracie Aleksy — ozwał się łagodnym głosem drugi — bracie Aleksy, już by wam czas było z tym się położeniem oswoić, a o dawnym zapomnieć. Co być nie może, tego się daremnie spodziewając człowiek dręczy się tylko...

Trzeba się poddać...

— Tak! Tak! — dziwnym, bełkotliwym głosem wybuchnął brat Aleksy,

w którym czuć było razem złość i szyderstwo. Chcecie, to wam powiem to, co wy mnie mieliście mówić? Rozum mieć trzeba, rezygnację mieć należy, głowę skłonić, całować rękę, co chłoszcze, milczeć, uśmiechaj się, jakby to było szczęściem, co jest karą i tyraństwem... Hę?

— A tak, tak! — potwierdził młody, który słuchał z trochę podziwienia.

— Wyrwaliście mi to z ust. A czemuż nie czynicie tego, co tak dobrze znacie?

— Bo nie mogę! — zawołał brat Aleksy. — Bo nie jestem bratem

Aleksym, tak jak wy jesteście bratem Łukaszem, ale księciem jestem i królewskim synem! Na mnicham się nie rodził, suknia ta cięży mi i ściska jak żelazna, pali jak ogień, parkany te mnie duszą, klasztor mi się wydaje więzieniem, wy katami i stróżami, a ojciec przełożony — oprawcą...

Z trwogą obejrzał się młodszy i załamując ręce zawołał:

— Na Boga! Coście to rzekli! Idźcie i spowiadajcie się ze słów waszych, bunt to grzeszny!

— Idź, idź, zdradź mnie, powiedz, że mi się te słowa wyrwały, jeśli chcesz! — krzyknął wstając z ławy i na powrót się na nią rzucając królewski syn z miną pogardliwą.

Braciszek Łukasz zarumieniony spuścił głowę i zamilkł.

— Nie potrzebuję was zdradzać — odezwał się po przestanku łagodnym głosem politowania — wy się co dzień zdradzacie sami mową, wzrokiem, milczeniem nawet. Żal mi Was!

— A co mi po twojej litości! — rozśmiał się królewicz. Ona mi tej sukni nie ściągnie i nie da swobody!

Westchnął ciężko.

— Gdybym choć zapomnieć mógł dziecinnych lat i moich nadziei, i czyja to krew płynie we mnie, i co mi wydarto!

— Zapomnieć byście mogli, gdyby wola — odezwał się brat Łukasz. —

Wy się daremnie tym trujecie i jątrzycie. Wszystko to sny są tylko i marzenia niezdrowe.

— Jakie sny! — wybuchnął królewicz, znowu zrywając się z ławy i

opadając na nią. — Matka moja była tak dobrze żoną królewską czy księżącą jak Judyta, dla której ją precz odegnano gdyby nałożnicę. Ojcem moim był król, czekało mnie panowanie! Cóż z tego, że z księżęcego nie szła rodu, kiedy łożę pańskie podzielała przez lat tyle! Gdybym nie był królewskim synem, gdyby się mnie nie bali, czyby mnie byli postrzygli i gwałtem zaparli w tych murach obrzydłych?

— Daj mi ją pić — przerwał królewicz — co ci moja gorycz szkodzi? Ja tym żyję, tymi piołunami się karmię. Postrzygli mnie, ale i postrzyżeni na świat wracają, włosy odrastają

— Darmo o tym nie marzyć! — przerwał braciszek.

— Któż ci powiedział, że darmo? Gniewliwie przerwał drugi — póki człowiek żyje, póty nic nie stracone.

Brat Łukasz ruszał tylko ramionami.

— Ach! — rzekł cicho — czyż może być większe szczęście nad to, jakie my tu mamy? Zaprawdę, ja bym go na żadną stolicę księżącą nie mieniał.

Czegóż nam brak? Jesteśmy sługami największego z panów, Pana panów, nie znamy trosk życia, w ciszy możemy chwalić Boga zarabiając na królestwo niebieskie. Na tronie, na wojnie, żadna chwila życia niepewna, brat morduje brata, wrogi cię otaczają, wojna sieje niebezpieczeństwa.

— Tak — odparł szydersko królewicz — a tu, co za rozkosze? W murach ciasnych jedne ścieżki o jednej co dzień wydeptywać godzinie, milczeć, śpiewać; pościć, słuchać i powoli umierać. Tak, bracie Łukasz... Dla ciebie to wszystko dobre, ale nie dla mnie, nie dla mnie! Mnie należało i należy panowanie, mnie wydarto ziemię moją, imię moje, godność moją, starszeństwo moje, cześć matki, prawo, własność... wszystko!

Brat Łukasz wstał, stanął przed mówiącym i przypatrywał mu się bacznie.



— A nie powinniście Bogu dziękować, że wam, jak drugim, życia albo oczów nie wydarto?

Podniósł głowę z groźnym wejrzeniem królewicz.

— Ty, mały człeczko! — krzyknął. — Tyś się gdzieś rodził w ubogiej chacie; tobie przystało za wszystko dziękować, boś nie miał nic! A ja się burzę, bo mi wydarto wszystko! Rozumiesz?! Dość tego!

— Zaraz zadzwonią na chór wieczorny — rzekł Łukasz chodźmyż już.

— Idź, jam chory, zostanę w ogrodzie — rzekł na rękę się podpierając królewicz.

— Bez was nie godzi mi się.

— Boście do mnie łańcuszkiem przykuci, strózu mój — zaśmiał się

królewicz. — Weźże mnie siłą! Nie chcę i nie idę!

— Siły nie mam, a gdybym i miał — nie użyłbym jej — rzekł Łukasz.

— Widzisz, żeś stworzony do niewoli — zaśmiał się złośliwie drugi. —

Ja gdybym mógł, gdyby się to na co zdało, choć cię lubię, zdusiłbym cię jak żabę, aby być wolnym. Ciebie, twoją bracię zakonną i samego przełożonego.

— Człowiecze! — krzyknął przerażony brat Łukasz.

Królewicz śmiał się złośliwie, wstał z siedzenia, wyciągnął się tak silnie, że ciasna suknia zakonna pękać na nim poczęła, ręce do góry podniósł z dłońmi zaciśniętymi, popatrzał z pogardą na towarzysza i zdawał się mimo to, co mówił, zabierać do pochodu; gdy nagle, jakby zmieniwszy postanowienie, by mieć przyjemność dręczyć dodanego mu towarzysza, znowu padł ciężko na kłodę i położył się na niej. Odetchnął całą pierś; powietrze zaczynało ostygać nieco, otarł czoło, po którym krople potu spływały.

Łukasz stał zdając się niecierpliwie oczekiwać na niego, spozierając niekiedy ku klasztorowi.

— Idziemy — rzekł z cicha.

Królewicz śmiał się urągająco.

— Czekaaj — rzekł — dlatego, że ty chcesz iść tak posłuszny, ja właśnie nie chcę. Co mi uczynią?

— Ojciec przełożony... — począł braciszek.

Królewicz ramionami ruszył z pogardą.

— Wszyscy nad Wami litość mają — dodał brat Łukasz — tylko Wy jej nie macie nad sobą. Gdyby

chciał ojciec przełożony, tak dobrze by Was posadził

do ciemnicy na chleb i wodę, jak każdego innego.

— A ja, myślisz, nie zaniósłbym do ciemnicy mojej dumy i moich dum?

— szydząc, rzekł brat Aleksy. I ręką zamachnął w powietrzu.

Mrok padał, ptastwo w gałęziach ruszyło się przed snem czyniąc

przygotowania, około gniazd polatując z krzykiem. Jaskółki pokazały się górą szybując ponad ich głowami, leciuchny wietrzyk zaszemrał w gałęziach.

— Chodźmy już — prosił brat Łukasz.

— Iść i w dusznych marach się zamknąć teraz, gdy właśnie jest tu czym odetchnąć. Bodaj was wszystkich z tym waszym klasztorem!

Zamilkł, wziął liść z drzewa i odwilżył nim usta, ale wnet zębami poszarpał go w kawałki i odrzucił.

— Co wam dziś jest? — zapytał stojący i oczekujący braciszek.

— Dziś? A, macie słusność — odparł żywo królewicz — prawda! Dziś jestem gorszy, rwę się z powroza jak cielę, które do rzeźni prowadzą. Wiesz, czemu?

— Cóż się nowego stało?

— Miałem sen — odparł królewicz.

— Sen — Sny zsyłają złe duchy, aby kusiły ludzi. Snom nie potrzeba dawać wiary — rzekł Łukasz.

— Nieprawda, są sny prorocze — zawołał królewicz. — Nie czytałeś w Biblii o snach wykładanych przez Józefa?

— Ale wy nie jesteście faraonem — szepnął braciszek.

— Jestem synem królewskim! — odparł z dumą zagadniony. — Sen był

straszny, dziwny, wstałem po nim, jakbym wyszedł z łaźni, długo oprzytomnieć nie mogłem. Śniła mi się dawno zmarła matka moja; widziałem ją przed sobą tak, jak oto was widzę; taką piękną, silną, zdrową, jak ją niegdyś pamiętam. Ale miała włos rozpuszczony, szaty podarte, wzrok z gniewu ciskający pioruny.

Choć uśmiechała się do mnie, straszna była. Wyciągnęła rękę ku mnie i poczęła głosem, w którym gniew mieszał się z płaczem, choć po ustach jej śmiech się przesuwał. — Zbyń! — tak mnie nazywała. — Zbyń! Wstawaj! Zrzuć tę suknię plugawą, zbroje wdziej, drzwi wyłam, koń tam stoi i czeka na ciebie. Idź!

Spiesz! Pamiętaj, że wolność ci dam na to, abyś się mścił na nich wszystkich, wszystkich do ostatniego, na ojcu nawet, tak, na własnym ojcu. Mścij! Mścij!

— A, okropny sen! — zawołał kleryk drżący.

— Na ojcu, tak mówiła – kończył królewicz. — Co mi za ojciec, który się wyparł własnego dziecięcia!! Cały dzień tętniały mi w uszach te wyrazy matki.

Widzę ją jeszcze przed sobą rozkazującą: Wstawaj, idź. — Mam ochotę wybić furtę klasztorną i lecieć w świat.

— Zbudzony, na pół, współspiący — mówił dalej — chciałem zaraz

zerwać się posłuszny, nie mogłem. Coś mnie przybijało do łoża, głowa była jakby obręczą przykuta do poduszki, nogi jakby żelaznym obciążone brzemieniem. Wysilałem się, aby wstać, jęcząc, miotając się, a nie mogąc ruszyć z łoża. Matka wołała ciągle: — Wstań, idź, mścij! — Dopiero nad ranem okrutną tą męczarnią znękany zerwałem się z krzykiem! Dzwon na jutrznią wołał do chóru; obejrzałem się — matki nie było, ale głos jej, głos ten mam jeszcze w uszach, w pamięci...

— Sen mara, Pan Bóg wiara! — szepnął braciszek. — Było się

przeżegnać i pomodlić, ustąpiłyby siły nieczyste.

Słów tych domawiał, gdy nagle królewicz się zerwał.

— Tst! — krzyknął głosem stłumionym. — Tst! Słyszysz?

Milczeli oba.

Na drodze wiodącej do klasztoru, która przechodziła poza parkanem ogrodowym, słyhać było coraz wyraźniej zbliżający się tętent koni. Ucho królewicza rozróżniało już brzęk rycerskich zbroi i mieczów, głosy jakieś obce.

Lice mu się mieniło.

Gościńcem jechali niewidzialni, bo parkanem zakryci, jeźdźcy jacyś, których kilkunastu lub kilkadziesiątu być musiało. Długo tak słyhać było wolne stąpanie koni, pobrzękiwanie oręża i zbroi. Królewicz uczeplił się ławy, aby spojrzeć na drogę, ale dach spuszczający się na ogrodzenie nie przepuścił

wzroku. Ciche jakieś szepty dostawały się od tej gromady jeźdźców do sadu klasztornego. W dźwiękach ich zdawał się królewicz rozpoznawać mowę znaną, tę pierwszą, którą z ust matki słyszał w dzieciństwie. Po czole jego przepływały światła i cienie.

Teraz już i on chciał co rychlej do klasztoru powracać, bo rzeczą było pewną, że ktokolwiek byli ci podróżni, pod noc znajdujący się na gościńcu, wśród lasu, musieli u mnichów szukać spoczynku i do gościnnej furty zapukać.

Królewski syn rad był zobaczyć tych obcych ludzi rycerskich, coś od nich posłyszeć, zwłaszcza że z pochwycionych kilku wyrazów domyślał się Czechów lub Polaków.

— Chodźmy! — odezwał się krokiem szybkim wyprzedzając towarzysza.

— Chodźmy, żywo!

Brat Łukasz z trudnością mógł za nim podążyć, tak szybko przesuwał się królewicz przez wąskie ścieżki między krzewami i zieleń zostawiane, ciągle towarzysza swego i stróża wyprzedzając. Właśnie bramą drewnianą, przez całą szerokość klasztoru z sadu na dziedziniec wiodącą, dostawali się w pierwsze podwórze, gdy do zewnętrznych wrót stukać zaczęto.

W gorączce niecierpliwej chciał już sam królewicz biec otwierać

przybyłym, gdy brat Łukasz zatrzymał go, chwytając za poły, i odezwał się surowo, że to do brata odźwiernego należało, a nikt inny do wrót mięszać się nie miała prawa.

Staął królewicz i za wrotami pierwszymi, na wpół otwartymi ukryty, mimo że go towarzysz odciągał, pozostał uparcie, chcąc koniecznie zobaczyć przybywających. Odźwierny, człek stary, włókł się mruczając powoli z pękiem kluczy; nie otworzył jednak zrazu bramy, wstąpił na wschodki przy furcie, z których gościniec widać było, i wyjrzał za wysokie ogrodzenie.

Rozmowy, która się między nim a podróżnymi rozpoczęła, dosłyszeć nie było można. Stary zdawał się wahać z otwarciem i układać z podróżnymi o warunki, gdy przyszedł mu w pomoc zakonnik drugi. Układano się jeszcze; na ostatek odźwierny zstąpił i otworzył nie wrota całe, ale furtę z boku, przez którą jednego z przybyłych wpuścił do wnętrza.

Cały wychylony, rozciekawiony, oczyma pożerał przybywającego brat Aleksy. Ten, który wszedł, niemłodym był już mężczyzną, silnym, rycerskiego oblicza, w żelazne blachy odzianym, z hełmem kowanym na głowie, mieczem u pasa, ostrogą u nogi, cały kurzem okryty. Znać przybywał z daleka. Barwy jego włosów dla pyłu rozpoznać nie było można, twarz też ogorzała pomalowała się dziwnie, bo pot, który po niej spływał, jakby zaschłym popstrzył ją błotem.

Widać było tylko wąs ciemny i brodę na kaftan spływającą, siwizną już pomalowaną. Odźwierny starzec został u furty na straży, a drugi zakonnik powiódł gościa do przełożonego. Nim jednak zaprowadzono go do klasztoru, rycerz ów zwrócił się ku swoim i głośno do nich zawołał:

— Stać i czekać na mnie, aż wrócę!

Słowa te zadźwięczały dziwnie w uszach słuchającego królewicza: mowa to była, której nie słyszał od lat kilku, a która mu dziecinne przypomniła lata.

Ręce zacisnął silnie, twarz oblała się krwią, jasne oczy ogniem zapałały. Byłby się rzucił naprzeciw gościa, gdyby go kleryk stojący przy nim, strwożony coraz bardziej, oburącz objąwszy gwałtem całą nie powstrzymał siłą.

— Na miłość Bożą, do celi! Chodźmy do celi, bracie Aleksy — błagać począł obejmując go rękami.

— Do celi. My tu nic do czynienia nie mamy, to do nas nie należy.

Zrazu wyrwał mu się królewicz i zdało się, jakby chciał przebojem iść, potem spuścił głowę, jakby go jakaś myśl złamała, i słowa nie mówiąc dał się prowadzić. Ciemnymi wschodkami poczęli wstępować na piętro. Tu wąski korytarz, ciemny także, ciągnący się przez całą długość budowy, zaledwie kilku wąskimi otworami od podwórza oświetlony, wyciągał się przed nimi cichy, pusty i smutny ze swym więziennym mrokiem i pustki milczeniem.

Tuż przy wschodach były dwie cele obok siebie. Do jednej z nich jakby z rozpaczą jakąś rozdrażniony wpadł królewicz, a brat Łukasz, widząc go w takim stanie, po krótkim namyśle wcisnął się za nim.

Cela była zakonna, nie lepsza od innych, po mniszemu urządzona. Jedno w niej okno na sad wychodzące, zasunięte okiennicą, natychmiast z trzaskiem gwałtownie otworzył przybyły. W półświatle, które izbę oblało, widać w niej było łożo twarde, prosty klęcznik z krzyżem nad nim, dzban u drzwi gliniany, drewnianą misę i skrzynię, której wieko na pół stało otworem. Królewski syn nie był tu niczym więcej niż ubogim dziecięciem św. Benedykta. Królewicz popatrzawszy przez okno odskoczył od niego, rzucił się na twarde łożo, siadł na nim i głowę zanurzył w dłonie. Poruszony był, niespokojny, rozgorączkowany.

Przybycie tych rycerzy po śnie nocnym rodziło w nim przeczucie i nadzieje.

Milczał trochę, potem głowę podniósł i począł głosem niespokojnym.

— Słyszałeś? To są Krakowianie, to moi są! Po mowie ich poznałem.

Skąd oni tu? Po co? Między Sasami? Jak? Dlaczego?

— To może Czesi od Pragi — odparł Łukasz. — Oni tak samo mówią i rozpoznać ich od Polan trudno... Czesi się tu często zapędzają.

— Och! Och! — począł królewicz. — Co ty mi mówisz? Czeska mowa

pieszczona inaczej brzmi niż nasza. Słowa jedne a śpiew inny. Moje ucho nawet Ślązaka rozróżni od Krakowianina, co dopiero Czechów od Polan. To są moi Krakowianie — począł rozgorączkowany się coraz bardziej — moi są! Sen mój! Sen! — Konie stoją za wrotami. Siadaj, jedź, mścij! mścij! — bełkotał

coraz żywiej i pięściami bił po kolanach.

Brat Łukasz, patrząc jak na obłąkanego, ruszał ramionami, nie wiedząc, co z nim robić.

— A! Gdybym choć widzieć się, choć pomówić mógł z nimi — rozpoczął

po przestanku królewicz. — Któż wie? Serce którego z nich ulitowałoby się może krwi królewskiej. Wzieliby mnie z tej niewoli.

Zbliżył się doń brat Łukasz i w ramię go pocałował.

— Bracie mój — rzekł — bo mi was inaczej nazywać nie wolno, bracie, na miłość Boga, zaklinam Was, uspokójcie się, uspokójcie! Co Wam pomoże mówić z nimi, aby się rany otworzyły i smutek potem urósł jeszcze? Choćby i Polanie byli, Wasi, cóż oni Wam pomogą? Stąd Was żadna siła nie może wyrwać.

Królewicz z lekka go odtrącił.

— Precz! — krzyknął. — Tyś prawy klecha. Ty tego nie rozumiesz, że kto swej rodzonej mowy od dawna nie słyszał, ten dlatego tylko, aby się jej napić uszami i sercem, gotów by się skazać na męki. Ty, ty!

I pogroził mu. Brat Łukasz milczał, ręce załamując. Z wolna odstąpił ku oknu.

Cisza panowała w klasztorze, a że korytarz sąsiedni na podwórze

wychodził, słyszeć stąd było można, co się na nim działo. Po chwili zaskrzypiały szerokie wrota: braciszkanie rozpoznali tętent koni wchodzących na dziedziniec tłumnie, wrzawę, brzęk żelaza, rozmowę gwarłą, to cichszą, to głośniejszą.

Królewiczowi twarz się paliła, nastawiał ucha, serce mu biło, zrywał się po kilkakroć z siedzenia, jakby chciał biec, a towarzysz łagodnie, chłodno, ale uparcie spychał go na łóżko, w pół prośbą, pół musem zmuszając go do pozostania na miejscu.

— Cierpliwość miejcie! — dodał. — Jeżeli ich tu już wpuszczono, toć i do refektarza poproszą, nocleg tu pewnie mieć będą. Zobaczycie ich, posłyszycie, choćby jutro na mszy świętej w kościele, boć bez niej przecie odjechać nie mogą.

Zmilczał brat Aleksy, ale usta zagryzając rzucał się niecierpliwie. Szmer, który słyszeli w dziedzińcu, zrazu cichy, wzmógł się, głosy jakieś gwałtowne podnosić się zaczęły, brzmieć groźnie. Zdawało się, jakby spór jakiś powstał

między wpuszczonymi gośćmi a zakonnikami. Brat Łukasz rozpoznawał

podniesiony głos ojca przełożonego, potem odpowiedź nań hałaśliwą, niecierpliwą i okrzyk. Rycerze wtórowali swojemu, znowu mówił przełożony, potem wszyscy razem rwali się wrzawliwie głuszając jedni drugich. Po krótkich ciszy przestankach następowały jakby wybuchy i milczenie, to znowu krzyki uparte i postukiwania oszczepami o ziemię. Można się było domyślić, że spór o coś zająć musiał. Brat Łukasz drżał, Aleksy podchodził ku drzwiom, uśmiechał

się, siadał na łóżko, zrywał się. Po burzliwej owej rozmowie nastąpiło łagodniejsze mruczenie i umiarkowańsze głosy, ustał spór, wróciło znowu milczenie klasztorne, tak dziwnie i niespodzianie przerwane.

Wtem na korytarzu dały się słyszeć szmer i kroki, brat Łukasz

niespokojny podbiegł ku drzwiom, gdy się one otwarły szeroko i ojciec Abdon, przełożony, wszedł z twarzą chmurną, krokiem powolnym. Widać było na nim, że tylko co do gniewu był pobudzony i teraz dopiero odzyskiwał spokój zwykły i powagę. Zjawienie się jego niespodziane w celi jednego z braciszków było tak dziwnym wypadkiem, iż ujrzawszy go królewicz już nawykły do karności, na pół zachowując regułę klasztorną, która z przyklęknięciem i pocałowaniem ręki witać przełożonego nakazywała, na pół się z niej wyłamując, pochylił się tylko i nie zgiąwszy kolan zapytał:

— Ojciec przewielebny, ojciec! To moi, Krakowianie są!

Opat spojrział nań surowo, zatrzymał wzrok na nim, usta mu się litościwie uśmiechnęły i rzekł z westchnieniem.

— Bogu jednemu wiadomo, azali wy się tym cieszyć macie czy smucić.

Tak, Polanie to są i Czesi, którzy, nie mając prawa, gwałtem wymóc chcą na mnie, abym im was dał... Ja wojny z nimi prowadzić nie mogę. Wdarli się tu jako goście, a postąpili jako gwałtownicy.

Królewicz, zaledwie dosłuchawszy, krzyknął z radości. Radość ta była z początku tak wielką, iż padł na kolana i rękę opata niechętnie mu podaną ucałował, ale wnet zerwawszy się z ziemi począł wołać:

— Sen mój! Matka moja! Koń stoi! Ja jechać muszę z nimi! Muszę!...

Rzucił się nie patrząc na starszego ku drzwiom, wypadł nimi i słychać było, jak biegł po wschodach. Opat zwolna, zamyślony, poszedł za nim.

## II

W wielkiej izbie na dole, w której zakonnicy zwykli byli przyjmować gości, z dawna tak tłumno i huczno nie było jak tego wieczora. Przy blasku kilku kaganków widać było kilkunastu zbrojnych ludzi, którzy stali oczekując, pozdejmowawszy hełmy z głów oblanych potem, z kurzawy twarz i odzież swe ocierali. Byli to tylko co przybyli goście, do których biegł królewicz.

Zatrzymano go jednak, drzwi pozamykawszy i sam opat miał go tu wprowadzić.

Na próżno się zrywał i wyrywał, ulec musiał, choć złość nim miotła.

Czesi i Polanie czekali z równą niecierpliwością, jak on się ku nim wyrywał. Na twarzach ich widać było radość, że się nareszcie do celu podróży dobili i postawili na swoim. Mężowie to byli wszyscy niemal lat poważnych, znać wojennego rzemiosła, ogorzali, silni, niektórzy z bliznami na twarzach, poodziewani dostatnio, bogato nawet, zbrojni, jak należało. Zostawieni sami sobie, gdyż zakonnik, który ich tu wprowadził, wyszedł zaraz, rozpatrywali się ciekawie po foresterium.

Na głównej ścianie jej wisiał olbrzymi krucyfiks z wielką figurą ukrzyżowanego Chrystusa, wyrzeźbioną z drzewa nie bardzo zgrabnie i pomalowaną. Naturalne włosy okrywały głowę. Wyraz rzeźby, jak całej sztuki owych wieków, surowy był, smutny i groźny. Bóg i święci jego tym ludziom namiętnym i dzikim musieli się przedstawiać jako siły straszliwe; nie dobrocią, ale strachem można było pokonać tych, dla których łagodność słabością się wydawała. I sztuka owych czasów nie miłością i miłosierdziem, lecz grozą i trwogą mówić musiała, przedstawiając męki, malując postacie surowe, a niezblągane. Takim był i ten Chrystus na ścianie foresterium.

Izba była rozległa, niska, z ławami u ścian i podobnymiż siedzeniami ciężkimi przy dwu stołach, które środek jej zajmowały. U stóp krucyfiksu paliła się lampka mała, świecątkiem mdłym niekiedy oblewając spuszczoną twarz Chrystusa. Miedziane naczynie z święconą wodą u wnijścia było jedyną ozdobą ścian nagich i pociemniałych. U stropu widać było belki olbrzymie, na których topór ciesielski próbował rysować jakieś ozdoby. Przez otwarte okna na przestrzał widać było zielony sad z jednej, podwórze puste z drugiej strony.

Niektórzy z przybyłych znużeni już na ławach spoczywali, inni chodzili, oknami ciekawie wyglądając na sad, bujno i pięknie rozrastający się jakimiś nieznanymi krzewy. Wiadomo, iż benedyktyni pierwsi z sobą z innych krajów przynosili nie tylko winną latorośl, ale wiele innych nasion i roślin pożytecznych.

Trzech czy czterech panów, w pośrodku izby kołem stanąwszy, mówiło z sobą po cichu, jakby się naradzając. Za każdym od strony drzwi szelestem zwracali ku nim głowy, ale już po kilkakroć zawiodło ich oczekiwanie. Zwłoka zdawała się ich niepokoić. Ten, który pierwszy zjawił się u furty klasztornej, stał

na przedzie gotując się widocznie wyręczyć towarzyszków w rozmowie i przyjęciu tych, których oczekiwano, bo na drzwi ciągle miał zwrócone oczy.

Był to Dobek z Morawicy, daleki jakiś powinowaty matki królewicza; przy nim stali Śreniawa,



Kaniowa i Mutyna Czech, dodany im w Pradze.

Siedzący na ławach wszyscy byli Ślązacy lub Krakowianie.

Gdy tak czekają, po trosze się zzymając już, podejrzewając opata, kręcąc głowami, bo mimo obietnicy zaczęli powątpiewać, czy ten, po którego przybyli, wydany im zostanie, otwarły się nareszcie drzwi i opat wszedł wiodąc za rękę królewicza Zbigniewa w tej samej sukni poszarpanej i poplamionej, w której siedział przed chwilą w ogrodzie. Odmienić mu ją chciano, ale się oparł temu.

Nikt z przybyłych, nawet Dobek z Morawicy, po matce mieniący się

powinowatym Zbigniewa, nie znał go z twarzy. Wszyscy sobie wystawiali królewskiego syna, owe dziecię pańskie, po które przybyli, pięknym, rysów twarzy szlchetnych, postawy rycerskiej. Jakież było zdziwienie ich, gdy ujrzeli przed sobą niezgrabnego kleryka w sukni ciasnej, rozrosłego wprawdzie i silnego, lecz do parobka stajennego podobniejszego niż do księżęcia, z twarzą długą, bladą, odstraszącą, na której się zwierzęca niemal radość jakaś rozszalała malowała. Jakiś czas stali osłupieni, nie mogąc przyjść do siebie, takim zawodem wydał się im ten wyrostek, którego widzieli przed sobą.

Zmierzyli się oczyma, ledwie nie posądzając opata, że ich oszukać pragnął, podstawując im innego kleryka w miejsce królewskiego syna. Wtem, nie czekając na ich powitanie, Zbigniew gwałtownym ruchem naprzód wystąpił, stanął i począł śmiejąc się głosem drżącym:

— Witam Miłości Wasze.

Brzmienie mowy wywiodło ich dopiero z wątpliwości i osłupienia. Ci, co króla znali i słyszeli mówiącego, w głosie znaleźli jakieś z nim podobieństwo.

Dobek z Morawicy poszedł ku niemu i hełmem, który trzymał w ręku, do kolan mu się pokłonił.

— Czołem a głową Miłości Waszej — odezwał się. — Myśmy po Was tu

przybyli. Dostyc tego zamknięcia w klasztorze, pojedziemy z Wami, aby odzyskać, co Wam odebrano.

Śmiejąc się głośno, Zbigniew rzucił się go ścisnąć.

— Zbawcami mi jesteście — zawołał — marłem zaszyty w tej sukni! —

To mówiąc, potrząsnął nią. — Konałem w tej ciemnicy osiem lat, wiek, nim dorosłem, zestarzałem.

Łatwość i śmiałość, z jaką mówił, poprawiła pierwsze niemiłe wrażenie.

Przybyli, powstawszy z ław, kołem go otaczać zaczęli.

Opat tymczasem mowy tej nie rozumiejący, widząc siebie i godność swą nieco zaniedbaną — ponury stał i milczący. Dawny wychowaniec wcale się nie zdawał zważać na niego, poczynał już sobie jako człek swobodny, który przełożonego nad sobą znać nie chce. Wyczekawszy chwilę opat skinął na

Dobka z Morawicy, który starszym się zdawał między przybyłymi, i szepnął

mu, gdy się zbliżył, iż chciałby z nim mówić na osobności. Dobek, żwawy i poradny człek, swoim coś rzekł i zostawując na ich rękach królewicza sam z opatem udał się do jego celi.

Z wolna kroczył ojciec Abdon, nic nie mówiąc, zamyślony. Mąż to był

powagi, doświadczenia wielkiego i zdobytego wiekiem spokoju ducha, a przełożństwo po kilkakroć w różnych miejscach piastował i nawykł był do rozkazywania. Nadawało mu to postać i obyczaj prawie pański. Dobek z Morawicy czuł się, im dłużej z nim obcował, bardziej przybitym i zmałym.

Coś biskupiego dlań miał w sobie, a pod owe czasy biskupia dostojność niemal się z królewską równała.

Weszli do sporej izby, w której ojciec Abdon zwykł był gości

dostojniejszych przyjmować. Nie było w niej innego zbytku nad ten, jaki przystał duchownemu: ksiąg wiele, obrazów złocistych kilka, krucyfiksy, ołtarzyk do modlitwy ozdobnie przybrany. Otwartymi oknami wpadało światło jeszcze żywe i jaskrawe, choć dołem w podwórzach mrok się już poczynał.

Zajął miejsce opat w krześle swym z poręczami, na poduszce, a drugie wskazawszy Dobkowi, odezwał się po krótkim namyśle:

— Przynieśliście mi list i pieczęć z Pragi, abym na ręce Wasze wydał

wychowańca mojego, Zbigniewa. Ci, co go żądają, nie dali mi go, prawa doń nie mają, bierzecie mi go siłą. Z Krakowa mi był powierzony, z woli króla, jak mówiono, dziś może przeciw niej go bierzecie? Miły panie, gdym brał tego młodzieńca, niewielem o nim wiedział; gdy mi go zabieracie, godziłoby się, byście mnie nauczyli, dlaczego wprzód odsunąć i zamknąć go chciano od oczów ludzkich w ciszy klasztornej, a dziś go chcą stąd siłą odebrać? Ciemnym to dla mnie. Obcym jestem i zakonnikiem, o sprawach Polan tak jako nic nie wiem. Sasi też o nich tyle tylko wiedzą, iż się napaści na siebie od królów waszych lękają.

— Byćże to może, Ojcie Przewielebny — spytał Dobek — ażeby Was

zostawiono w nieświadomości?

— Tak ono jest — odparł opat spokojnie. — Lat temu osiem

przywieziono płaczącego chłopaka gwałtem znać do klasztoru, ze znacznym darem dla kościoła naszego. Nie pomnę, jak się zwał ten, co go oddawał, stoi zapisane na mszale imię jego.

Powiedziano mi, że dziecko jest nieprawym potomkiem księcia polskiego, że je chcą zamknąć i oddalić, aby król czy książę, żonę biorąc ślubną, dziecka się nie wstydził i aby prawym następcem jego uszczerbku nie było. Kazano go do zakonu sposobić, przyrzekając wyposażenie.

Imię mu było Zbigniew, myśmy w zakonie zwali go Aleksym.

Dobek słuchał zawstydzony i nieco zdziwiony.

— Ani królów Waszych, ani królestwa Waszego dziejów i spraw nie

znam — kończył opat. — Tyle moich uszu doszło, iż mieliście zuchwałego pana, który się na swojego ojca duchownego porwał i zamordował go; że z Rzymu Ojciec nasz interdykt rzucił na królestwo wasze, iż korony pozbawiono panującego, a ta się pono z woli Ojca naszego, biskupa rzymskiego czy cesarza dostała czeskiemu królowi.

Dobek ramionami ruszył.

— Niechże mnie Przewielebność Wasza posłucha — rzekł poważnie — ja wszystko, jak umiem, opowiem. Prawda to jest, żeśmy króla mieli, który jak rycerzem był wielkim, tak niepohamowanym i zuchwałym, bo ani królów, swych braci, za równych, ani papieża, ani cesarza za wyższych nad siebie mieć nie chciał. Zabił on biskupa naszego, męża świątobliwego, który mu grzechy jego na oczy wyrzucał, ale potem sam z kraju uchodzić musiał. Ulitował się przecie papież rzymski nad nami, brat króla, choć nie koronowany, królestwo dzierży, przecie dla nas królem jest. Synem jego pierworodnym ten oto Zbigniew, po którego my przybyliśmy.

— Ale dziecięciem nieprawym — wtrącił opat.

— Jako żywo — odparł Dobek — my tej różnicy nie znamy. Dawnym

obyczajem naszym domowym wziął Władysław pan nasz żonę, krewną moją, Hannę, żył z nią jako z małżonką, choć kościół nie pobłogosławił związku, boć u nas to nie było w owe czasy koniecznością i duchowni się o to nie upominali jako teraz. Z tej Hanny, ciotecznej mojej, miał król oto tego syna, który tak jego prawym synem jest, jako i ten drugi, co mu się później z czeskiej Judyty narodził za przyczyną Idziego świętego. Gdy król Judytę brać miał za małżonkę z krwi królewskiej, zażądano, by nie tylko pierwszą żonę, ale i pierwsze dziecię odtrącił od siebie i zapomniał o nich. Zmarła z boleści wielkiej żona, sierota została, tę wtrącono do klasztoru jako w studnię. Opat się poruszył mocno.

— Miły bracie — rzekł — nie na zgubę, ale na zbawienie dano go nam, nie studnia to jest, ale wrota do wiecznej szczęśliwości.

— Pewnie, pewnie — poprawił się zmieszany, głową skłaniając Dobek —

ale dałże on się nałamać i skłonić, aby umiłował ten stan, Ojcie Przewielebny?

Powiedzcie, abyście nasze uspokoiли sumienie.

Opat pomilczał nieco, w twarzy jego znać było zakłopotanie pewne, smutek, walkę z samym sobą. Namyślał się, miałli rzec, co mu na sercu leżało.

— Miłościwy Panie — odparł — nie zataję prawdy przed Wami. Osiem

lat trzymamy go na oku, mogę rzec na pasku, zobowiązaliśmy się do tego.

Dziecko zepsute i krnąbrne tu przyszło, a daj Boże, aby lepszym stąd odebrane zostało. Naturę ma do przewyciężenia trudną i niezgiętą, umysł pojętny, krew burzliwą. Nie wiem, co z nim czynić myślicie, lecz jeśli władzę jaką z rąk waszych ma otrzymać, bodaj —byście danej mu nie pożałowali.

Ostatnie wyrazy ciszej domówił opat, spuścił głowę na piersi i umilkł.

Zdziwił się mocno, gdy podniósłszy na Dobka oczy, ujrzał go prawie uśmiechniętym i rozradowanym tym, co go powinno było nastraszyć.

— Ojcie Przewielebny — odezwał się Dobek — takiego nam potrzeba

właśnie, który by rękę silną i wolę miał, a straszny był. Stary król niewiele może, rządzi palatyn i nas wszystkich zabierać chce w niewolę. Niech będzie zły, byle silnym był, a mógł się mu opierać... Opat się poruszył.

— Nie żądajcie złego w złą godzinę — rzekł cicho.

— Nie odwołuję, com rzekł — począł Dobek — pan nasz, pobożny

Władysław Herman, dobrym jest, ale słabym i bojaźliwym, nie panuje on, a nad nim panują. Nie pana mamy, ale z ręki jego tyranów, a raczej tyrana, przez którego królestwo paść może. Zawczasu o sobie myśleć musimy; królowa niewiastą jest i nie wie, kędy idzie, król zawojowany, wojewoda Sieciech, faworyt obojga, bodaj na przywłaszczenie sobie wszystkich ziem godzi i zastawia sieci. Nie było rady innej, jak oto to królewskie dziecię wziąć, a nim się podeprzeć przeciw samowoli Sieciechowej. Garnie on wszystkie ziemie pod siebie, a każda chce swoje prawo i wojewodę mieć.

— Daj Boże, by wasze lekarstwo gorsze od choroby nie było — odezwał

się opat. — Świeckie sprawy obce mi. Nierad bym też obmawiać tego wychowańca mojego, ale o niego i o was trwoży się dusza moja. Dzikie zwierzę w klatce nie straszne, na wolności biada z nim.

Umilkł.

— A cóż w nim tak złego jest? — zapytał Dobek.

— To najgorsze, że dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchej płoncy, com zaszczepił, zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, usłuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielką, gdy zechce, ale przewrotność w nim większa jeszcze...

Jakby znudzony opat zamilkł znowu i czoło ocierał.

— Nie posądzajcie mnie — dodał — abym niechęć jaką miał ku niemu, Bóg mi świadkiem, kochałem go i litowałem się, troskę z serca mi zdejmujecie, zabierając go. Nie miałbym sumienia jednak, gdybym Was nie ostrzegł, nie oznajmił Wam, iż pilno czuwać nad nim powinniście.

Dobek, pochyliwszy się do ręki opata, ucałował ją.

— Dziękujemy Przewielebności Waszej — odezwał się. — Bynajmniej to nie zmienia naszych zamiarów. Jakikolwiek on jest, wziąć go musimy. Kto wie, czy swobodniej puszczonej nie zmieni się, a nie stanie takim panem, jakiego nam trzeba. Nam by teraz żelaznych rąk Mieszka i twardej prawicy Bolka Chrobrego nie nadto było.

— Mówiliście przecie sami, że pobożnego i dobrego króla macie? —  
spytał opat.

— Pobożnego, tak ci jest — odezwał się Dobek — dobrego też, ale słabego. On dziś już nie panem jest, tylko na łasce Sieciechowej posłusznym narzędziem.

— Mówiliście, że syna ma? — wtrącił opat, spoglądając niedowierzająco.

— Dziecko to prawie jeszcze — rzekł Dobek — zawojowane przez

Sieciecha, który je wychował, bo u nas Sieciech palatyn wszystkim: i królowej ulubieńcem, i króla prawą ręką, i królewicza nauczycielem, i królestwa władcą, a jutro kto wie, czym być zechce?

— A któż ten Sieciech jest? — rzekł opat.

— Kto Sieciech, pytacie? — rozśmiał się przybyły, ramionami ruszając, jak by go to pytanie nie pomału zdziwiło. — Jakże to rzec, kto on jest? Był to gładki młodzieniec, Toporczyk rodem, niewielkiego mienia, ale pięknej postawy i żywego ducha, śmiałości wielkiej. Królowi się podobał, bo mu do wszystkiego służył, miłym się stał królowej, która młodzież lubi. Umiał się przymilić, wyręczyć i objął powoli wszystko. Króla obsadził swoimi ludźmi, w ręce wziął

miecze i klucze, Władysławowi dając spoczywać, modlić się i zażywać pokoju.

Żołnierz i wódz szczęśliwy, rozumem i nauką choćby z biskupami o lepszą iść gotów. Dziś on pan na Sieciechowie, a jutro na ziemiach i karkach naszych panem być może.

— Cóż jeden taki chłopak przeciw niemu znaczy? — odparł przełożony.

— Bardzo wiele! — zawołał Dobek. — Mamy dlań zapewniony Szląsk,

gdzie go Wrocławianie i wojewoda Magnus przyjmą za pana, aby postawić przeciw Sieciechowi. Ukrócim władzę jego i uratujemy krew pańską.

Pomilczał trochę opat.

— Lepiej to zapewne wiecie, co czynić macie — odparł krótko — róbcie, jak was Bóg natchnął, ja z sumienia mojego zrzuciłem brzemię. Teraz — dodał, z lekka się podnosząc, duchowny — idźcie, Miłościwy Panie, sam na sam weźmijcie przyszłego pana, a zajrzyjcie mu w duszę. Obaczymy, co o nim powiecie.

— Pospieszę, gdy dozwalacie — rzekł Dobek i raz jeszcze rękę opata ucałowawszy, wyszedł z celi. Tu stojący kleryk, który na rozkazy czekał, drogę mu do foresterium pokazał.

Zbliżając się do wnijscia, już omylić się nie mógł Dobek, taką tam wrzawę wewnątrz słysząc było i śmiechy, w których głosy towarzyszków swoich poznawał. Nad wszystkimi huczniej rozlegało się rychotanie dzikie, w którym się domyślał Zbigniewa. Uchyliwszy drzwi, ujrzał widowisko osobliwe. Polanie przybyli z Dobkiem, którzy jadąc na tę wyprawę, zawczasu obmyślili, czego potrzebować będą, zabrali z sobą suknie i uzbrojenie stosowne dla przyszłego księcia, aby się w nich mógł przystojnie Wrocławianom okazać. W czasie niebytności Dobka albo oni się o przebranie nędznie odzianego kleryka upomnieli, lub on sam zażądał innych sukni. Dobek trafił właśnie na tę chwilę, gdy, sakwy i węzły na ziemi leżące rozwiąawszy, towarzysze jego młodego syna królewskiego na nowo przyodziewali. Zbigniew szczęściem swym był

upojony i jako się niedawno rzucał rozpaczliwie w niewoli, tak teraz miotał się, oszalały swobodą bez miary. Nie czyniło go to piękniejszym. Rozebrany z ciasnych sukien, silnym się okazał, ale równie niezgrabnie wyciosanym, jak wprzód. Twarz jego blada rumieniła się weselem, a oczy iskrzyły jakąś zapalczywością, niemal rozpasaną, która już i tych, co go otaczali, raziła.

Gdy Dobek wszedł, ujrzał na ziemi podarty w szmaty drobne habit

zakonny, Zbigniewa już na pół rycersko przyodzianego, samemu sobie dziwiącego się, jak dziecię. Wszyscy dokoła posługiwali mu chciwie; jeden kaftan podawał, drugi pas opinał, inny chciał hełm próbować. Zbigniew nogą obutą bił w ziemię, śmiał się, urągając i wykrzykiwał głośno.

— Osiem lat mię więzili — wołał — raz wolny wolę zginać, niż się im dać okuć na nowo! Ani panu ojcu, co się zaparł syna, ani królowej macosze, ani miłemu bratu, ni w świecie nikomu. Wydali mi wojnę, gdym dzieckiem był; zaprawdę, nie poczynałem jej, będą mieli wojnę, bo ja tak ich nie znam, jak oni mnie znać nie chcieli. Prawo tylko swe znam i Boga nad sobą, więcej nic.

Dobek, nie zbliżając się, przysłuchiwał się zza drugich. Kleryk (bo mu już tu pierwszego dnia niektórzy nadali to przezwisko, mające przy nim zostać na zawsze), im mu bardziej śmiechami potakiwano, tym raźniej wykrzykiwał. Nie wiedział Dobek, czy się miał tym radować, czy trwożyć; miarkował, że człek był jeszcze nie wytrzeźwiony z pierwszego szалу, a młody, lecz w zahukanym dziecku nieśmiałości się zbytniej raczej było można spodziewać niż takiego nagłego rozzuchwalenia.

— Oho — wołał rychocząc wyzwolony, gdy mu miecz przypasywano —

oho, teraz mi już nikt nie zabroni, gdy włosy odrosną, puścić je na ramiona i brodzie też dać bujać, a jeść, a pić i na niewiasty patrzeć, i pieśni słuchać, i śmiać się do woli!

— Na niewiasty — wtrącił któryś — nie tylko patrzeć Wam wolno, ale je i brać.

— O! — przerwał Zbigniew — ano, cicho! Tu o nich ani mówić, ani ich widzieć, ani myśleć o nich nie wolno pod karą wielką. Ojcowie mówią, że szatan siedzi w nich.

Śmieli się niektórzy, inni szeptali.

— Krew nie woda, teraz sobie nagrodzi.

Zbigniew dosłyszał to i ręce podnosząc, począł wołać:

— Zaprawdę! zaprawdę! Nagrodzić sobie muszę stracone lata! Gędźby, pieśni, śmiechu, swawoli zażyć, jak mężczyźnie przystało.

— Wszystko mieć będziecie — odezwał się poważniej Dobek — ale i miecz też nie będzie próżnował.

Zbigniew spojrział na wiszący u boku obojętnie jakoś.

— Tym ja jeszcze nie władne — rzekł — bo mi też ani go dotknąć, ani próbować nie dano. Skądże bym miał wziąć go tam, gdzie i pałka zakazaną była? Nauczycie mnie z nim się obchodzić.

— Nauczymy, nauczymy! — odezwali się chórem wszyscy.

Wesołość była wielka, bo każde słowo książęce nią witano, on zaś był jak pijanym i rozpasanym do zbytku. Nogami gniótł i szarpał zrzucony habit i wyciągał się, radując wygodnemu kaftanowi, mieczowi przypatrywał, pasa pociągał, a coraz to mu się słowo wyrwało zuchwalsze, niżby się z ust kleryka spodziewano.

Dobek odwiódł Starzę na stronę.

— A co, pan nasz? — spytał po cichu.

— Widzicie go — rzekł Starża, człek chudy, zasepiony i frasobliwy z natury. — Musiało mu się od tej nagłej swobody w głowie zakręcić. Mówi jak po pijanemu, po mnie ciarki chodzą słuchając.

Pochylił mu się Dobek do ucha.

— Jeszcze by Was gorsze wzięty dreszcze — rzekł — gdybyście posłyszeli, co mnie o nim opat rozpowiadał. Ano, wyboru nie mamy.

— Cóż mówił?

— Straszyl mnie nim. Azali my na nasze karki nie ostrzemy topora? —

szeptal Dobek nieco zasepiony. — Któż wie?

Namyślił się Starża.

— Gorzej ci nie będzie — odparł po namyśle. — W naszych on rękach, jakeśmy go wzięli, tak go porzucić możemy.

— Łacniej pono wziąć, niż się zbyć — dokończył Dobek. — Znajdzie

sobie zawsze tych, co go podpierać będą.

Spozierali z ukosa na królewicza, a Starża rzekł w końcu:

— Po tym, coście Wy od opata słyszeli, i ja się trwożyć będę. Bogiem a prawdą, ten syn królewski do serca mi nie przystał. Suknia zakonna nie uczyniła go lepszym, choć na rozumie i języku mu nie zbywa.

— Przysłuchajmy się im — Czech wtrącił.

— Dzieckiem jest, jako oni wszyscy po klasztorach, po wielkiej niewoli bryka człek jak żróbek, którego na łakę wypuszczą.

— Prawdęś rzekł — potwierdził Dobek. — Nie łapmy ryb przed niewodem!!

I zbliżył się do wesołego kółka, które Zbigniewa otaczało. Właśnie stoły dla gości zakonni braciszkwowie przygotowywali do wieczerzy, gdy Dobek ze Starżą podeszli do królewicza, który, odziany w szaty nowe, pysznił się nimi.

Siedział na ławie, dumnie spoglądając na braciszków, niedawno towarzyszków swych, z obawą jakąś rzucających nań przestraszone wejrzenia. Przeistoczenie to człowieka, którego wczoraj sądzili już na wieki obleczonym suknią i ślubem, budziło w nich myśli trwożne. Wedle ich pojęć zgubionym był i zaprzędanym nieczystej sile. Z poszanowaniem podnieśli z ziemi podartą suknię zakonną, którą Zbigniew zdeptał nogami, i jeden z nich wyniósł ją co prędzej z foresterium. Na twarzy pozostałych malowała się zgroza, oburzenie, postrach kary bożej, która świętokradcę dosięgnąć miała. Zbigniew się im, rozparty na ławie, urągał. — Bracie Łukasz, bracie Agapicie, braciszku Odonie, patrzajcie no! Nie wyglądamli ja na rycerza? Nie dobrze mi tak? Chciałoby się i wam takiej sukni? He?

Braciszkwowie nie spoglądali nań, nie odpowiadali nawet, ustawiali na stole miski, kładli chleby, krzatali się około kubków i dzbanów, spuszczała oczy.

Wesołość tylko co rozdianego kleryka, choć się tłumaczyć dała, nawet świeckim jego towarzyszom wydawała się nieco dziwną, trochę rażącą, cóż dopiero skromnemu braciszkwowi Łukaszowi! Szał ten trwożył go nad wyraz wszelki, gdyż i ów sen, i przygody uważał za dzieło złego ducha, wiodącego nieszczęśliwego do zguby.

Wejście nawet opata i kilku milczących zakonników, którzy mu pokornie towarzyszyli, postępując za nim z oczyma w ziemię wlepionymi, niewiele uśmierzyło rozbujanego księżęcia. Dobek musiał go cichą przestrogą skłonić, aby nieco skromniej i ciszej się znajdował, za co mu wejrzeniem złośliwym zapłacił. Opat odmówił, stojąc, błogosławieństwo, gościom podano miednice, nalewki i ręczniki, skromny posiłek zastawiła służba na stołach, na trzech jedną, wedle obyczaju, dając misę, z której społem jedli.

Rozmowa stała się cichszą i nieśmiałą. Opat był poważny i milczący. Nie biesiadowano też nad miarę, gdyż choć przyjęcie dostatnie było, zbytku w klasztorze nie dopuszczano. Piwa po kubku



postawiono przy każdym, jadła brał

każdy, ile chciał i jak stało. Mięso dawano tylko dla obcych, a Zbigniew, długo pozbawiony go, niepomiarownie użył i z widoczną żarłocznością. Nie okazując tego, opat mierzył go oczyma, spoglądali nań i inni, nie mogąc poznać w tym śmiałym aż do zuchwałości chłopcu, który się im urągać zdawał, chmurnego, milczącego braciszka, jakiego znali w sukni zakonnej.

Po dziękczynnej modlitwie mnisi, ucałowawszy z przyklęgnięciem rękę opata, opuścili jadalnię, przełożony sam został z obcymi.

Widać było, iż życzył sobie mówić ze Zbigniewem, który unikać się go zdawał. Stało się to nareszcie niemożliwym, gdy ojciec Abdon, wprost doń podszedłszy, stanął, mierząc go oczyma, które wzrok spuścić zmusiły. Sile tego wejrzenia, którego słuchać był nawykł, ulec musiał. Gniewny czekał, co opat mu powie.

— Powinszować Wam chęć i pobłogosławić — odezwał się głosem

surowym przełożony. — Zmienił się los Wasz tak pono, jakeście w duszy Waszej pożąдали; daj Boże, by na szczęście dla Was i dla tych, co Was na pana ku sobie powołują. Wielki ciężar zaprawdę spada na ramiona Wasze, a ujrzenie kiedyś, iż cięższym jest do dźwigania od tej sukni ubogiej, której nie umielibyście umiłować. Idźcież w świat z Bogiem, Miłościwy Panie, tak, z Bogiem! Nie zapominajcie o Bogu, którego wola spełnia się nad Wami. Jutro do dnia, niżeli rozpoczniecie podróż, odprawię mszę świętą na intencję Waszą i pobłogosławię.

Sądzili wszyscy, słuchając, że się chłopak słowy pełnymi dobroci uczuje za serce ujęty, że się ugnie, jako należało, przed opatem i podziękuje za doznaną opiekę i względy. Czekali. Zbigniewowi czoło się zachmurzyło tylko, zmarszczył brwi, oczy spuścił w dół, zamruczał coś niewyraźnie i nie pochylił

się nawet do ręki opata. Kapłan stał, popatrzał chwilę, nie rzekł już więcej nic, głowę skłonił, ku otaczającym się zwracając, i krokiem powolnym, z klerykiem, który ze światłem czekał nań u drzwi, wyszedł.

Gdy się te za nim zamknęły, ksiązę dopiero podniósł głowę z wyrazem niemal gniewnym.

— Ha! — mruknął. — Chciał, bym mu jeszcze dziękował może, że mnie ręką żelazną trzymał przykutego bez litości lat tyle. Niedoczekanie ich! Mnichy i życie mnisze mi dojadło. Jutro jak świt w drogę.

— Ale nie bez mszy i błogosławieństwa — odezwał się Dobek. —

Niepewna jeszcze, co nas i Was, Miłościwy Panie, czeka, jest o co Pana Boga prosić.

— O! Dla mnie byle na swobodę i za te mury! — zawołał Zbigniew, ręką machając przed siebie.

Wtem zbliżył się nieśmiało braciszek Łukasz, dawny towarzysz, pytając, czy w dawnej swej celi nocować nie zechce.

— Ja, w tej dziurze!?! — krzyknął szydersko Zbigniew. — Nie! Wolę tu, na gołej ziemi. Od moich towarzyszków nie odejdę krokiem.

Wnet młodsi wzięli go między siebie, a brat Łukasz zawstydzony, skłoniwszy głowę, spomiędzy nich się wyśliznął.

Działo się to w 1096 roku.

Zamczysko w Płocku, kędy król (bo tak go w domu zwano, choć

koronowanym nie był) najczęściej przebywał, już naówczas nieco

przystojniejszy niż za lat dawnych pozór miało, acz i teraz obozowisko i namioty więcej przypominało niż gród stołeczny.

Stolic też naówczas stałych nie mieli królowie, czasowo przemieszkując po grodach i ziemiach, do których ich upodobanie, obowiązki, wojny i sprawy domowe powoływały.

Kraków, od tego czasu, gdy Bolesław Szczodry skalał kościelne progi krwią świętobliwego biskupa, był jeszcze jakby pod klątwą; unikano go, tkwiły w nim wspomnienia straszne, obawiano się, jak by miejsce samo

nieszczęśliwym było. Pustoszało po trosze opuszczone zamczysko, nie zatarte nosząc ślady niedawnej jeszcze przeszłości.

Władysław Herman bezpieczniejszym się czuł w pośrodku ziem swoich, na Mazurach w Płocku, niż w Poznaniu, Gnieźnie, na Szląsku i w Krakowie. Tu więc i on, i dwór, i królowa Judyta, cesarskiej krwi pani, przebywać z nim musiała, tu lata pierwsze spędzał Bolko młodziuchny, jedyny syn królewski z Judyty czeskiej, bo z Niemki trzy tylko córki rodzinę pańską pomnożyły.

Wdowa po królu Węgrów, krwią z domem cesarskim blisko połączona, królowa Judyta, pędziła tu życie, które sobie sama zabawami i wesołością zaprawiać umiała. Król chorowity lubił ciszę, ale nikomu się weselić i wedle myśli swej zabawiać nie bronił. Zamek w skwarne dni lata tego bardzo ożywionym nie był.

Połowę budynków jego zajmowała ze swym dworem niemiecko-węgiersko-

polskim królowa pani, pół mniejszą król zamieszkiwał. Dokoła obojga dwór, a raczej dwa osobne dwory się rozkładały, nie licząc trzeciego, otaczającego królewicza Bolesława, naówczas jedenastoletniego, przy którym nieodstępny był ochmistrz jego, Wojsław, Sieciecha pokrewny, i rówieśnicza drużyna.

Dworska gawiedź przy królu i królowej w większej części młoda była, rażna, ochocza i dosyć swobodna, bo taką i królowa pani, i Władysław otaczać się lubił. Starszyczna służyła tylko, aby trochę ładu wśród niesfornej młodzieży utrzymać z karbów jej wyjść nie dawać.

Pięćdziesiąt i kilka lat mający król starszym się wydawał, iż był w istocie.

Zwał się panem i królem, ale królować się obawiał; cugle z rąk jego dawno się już w inne dłonie dostały.

Rad był temu. Chorzał i stękał, a jeśli mu się kiedy rozjaśniło lice, to chyba gdy oznajmiono przybycie wojewody Sieciecha. Naówczas i król, i królowa, która go nad wszystkich przenosiła, występywali jak dla najmilszego z gości, życie się budziło w Płocku, twarze jaśniały radością, zamek brzmiał

weselem.

Sieciech, wojewoda wojewodów, naczelny wódz, namiestnik pański, ręka prawa, zjawiał się tu często, ale bawił krótko. Musiał zarazem na wszystko mieć oko, docierać wszędzie, pilnować granic, a w środku strzec, by mu się starostowie spod zwierzchnictwa nie wyłamywali. Trzeba było to się ku Krakowu puścić, to na czeską granicę podsłuchać, co się tam działo, to na Szląsk, to na niespokojne pomorskie rubieże, to do Gniezna i Poznania, na grody, po ziemiach, gdziekolwiek się co luzowało i psuło.

Król dawał mu czynić, co chciał, a co on uczynił, dobrym było. Królowa się też nie przeciwiała. Z jego ręki ludzie stali przy panu i przy pani, krewny jego Wojśław był przy królewiczu, a kto nie od niego był albo nie z nim, długo tu trwać nie miał nadziei.

Po skwarnych dniach lata król osłabłym czuł się bardzo, a im się gorzej na zdrowiu czuł, tym Sieciecha więcej pragnął, bo mu tylko z nim i przy nim dobrze było. Już dnia przeszłego wyglądano wojewody; pytała się nieustannie królowa, król przypominał co chwila. Sieciech, mimo obietnicy, nie przybywał.

Zamknięty w izbie, której okna, ku północy obrócone, gorących promieni słonecznych nie dopuszczały, Władysław Herman wstał następnego dnia blady, nieustanne czuł pragnienie, wargi miał spiekłe, oczy zaognione, oddech ciężki, ręce drżące. Patrząc nań, litość brała, tak nad wiek wyniszczonym się zdał i z sił

opadłym. Oczy jego podnosiły się nieśmiało, patrzyły trwożliwie, cały wyraz twarzy cierpieniem był napiętnowany i wyczerpaniem. Dopalały się w nim resztki życia. Wstającego z łoża dwu młodych chłopaków wzięło pod ręce, aby go przeciw okna otwartego, na świeżym powietrzu posadzić.

Król powiódł oczyma zgasłymi po izbie, po dworze swym, jednego z

chłopaków służących mu pogłaskał pod brodę i zapytał głosem ochryplym:

— Nie ma?

— Pana wojewody? — podchwycił, odgadując, chłopak, który się

nieznacznie uśmiechnął. — Nie, Miłościwy Panie.

— A gdzie on jest? — odezwał się jakby sam do siebie król — gdzie on jest?

Na to mu odpowiedzi nie dano.

Nie było stołów rannych, obiednich dla dworu razem i państwa; król chory jadł u siebie, królowa

sama, gdy rozerwać się była rada, szła między dwór i za stołem panowała. Szmer, tłum, gwar króla męczyły.

Że klęknąć nie mógł król pobożny, siedząc począł modlitwy odmawiać, co postrzegłszy chłopcy, stary szatny pański i podkomorzowie, którzy w progu stali, oddalili się. Wzdychając, modlił się król, zadumywał, czasem modlitwa marła mu na ustach, to się jak pokutnik bił w piersi ręką wychudłą i kościstą.

Dokoła cicho było, niekiedy śmiech się wyrwał z dala stojącej młodzieży i wnet przycichnął; to goniących się po podwórzu swawolników słyhać było, których rozkaz starszych precz odpędził.

W drugiej stronie dworca, u królowej, hałaśliwiej i żwawiej ranek się poczynał, bo każde z państwa po swojemu żyło, jako chciało.

Raniej od wszystkich wstał królewicz i już w lesie był. Ten z konia prawie nie zląził, a choć jedenaście lat liczył dopiero, jak stary do łowów i do wojny tylko wzdychał. Mordowali się z nim wszyscy, on nigdy dosyć nie miał.

Gdy po skończonej modlitwie służba weszła królewska i komornicy,

niosąc jadło w misach pokrytych i napój w dzbanach, zapytał król naprzód słabym głosem o syna. Odpowiedziano mu, że w lesie już był ze psami, a nie wracał zwykle aż nocą. Mimo woli oko królewskie zwróciło się na rozpostartą skórę niedźwiedzia. Była ona pamiątką pierwszego, dziecinnego przed laty dwoma boju młodego Bolka ze strasznym zwierzem, na którego i starszy człek sam jeden nierad by się porwał. Spotkawszy w borze starego niedźwiedzia, który się z połowicą swą w płasach zabawiał i igrał wesoło, Bolko puścił się nań mężnie i, choć mu śmierć groziła od rozjuszonej bestii dla przerwanej zabawy, oszczepem go przebił. Skórę tę ojcu pod nogi młode chłopię rzuciło jako zdobycz pierwszą. Był to zadatek przyszłości.

— Nie darmo on Bolesławów imię nosi — odezwał się naówczas król, ale mu zapewne Szczodrego losy przyszły na pamięć, bo posmutniał.

Zapytawszy wprzód o syna, spytał król potem o królowę, panią swą.

Podkomorzy oznajmił, iż obiadowała ze dworem i panami, którzy przybyli z pokłonem. Starczyła ta wiadomość królowi i nie badał już więcej. Na stojące przed sobą misy popatrzył obojętnie i polewkę jeść począwszy, o czymś innym dumać się zdawał. Oczy jego patrzyły w jedno miejsce i nie widziały nic, bo nic widzieć nie chciały.

Wtem w podwórzu z dala zaszumiało coś, zatętniało, królowi łyżka

wypadła z ręki, zatrząsł się cały, na poręczach sparł i poruszył jak do wstania.

Ale sił mu nie stało.

— Wojewoda? — zapytał.

Służba rzuciła się do okien, inni wybiegli precz i komornik królewski Zegrzda rzekł, wyjrzawszy:

— Tak jest, Miłościwy Panie.

Z radości widocznej drząc cały, usiadł król, bo na nogach się utrzymać nie mógł, blask jego oczom bladym powrócił, uśmiech ustom.

— Wojewoda! — powtórzył sam do siebie. — Wojewoda! Rozradowany

był i odżywiony.

Zaledwie wyrazów tych dokończył, gdy drzwi boczne otwarły się z

łoskotem, dał się słyszeć szelest sukni niewieścich i niewiasta ukazała się w progu, wchodząca śmiało, ku której król oczy obrócił. Była to pani już nie pierwszej młodości, ale pragnąca być młodą jeszcze; siostra cesarza Henryka IV, Judyta, małżonka schorzałego pana, tak zdrowa i rzeźwa, jak on był

zniszczony i wybladły. Prawda, że i twarz, i strój z wielką sztuką były barwy jasnymi odżywione. Słusznego wzrostu, bujnych kształtów, dumą i

lekceważeniem królowa, trzepiotowatość miała zarazem odbijającą dziwnie od dobrze zwiędłej twarzy, obwisłych policzków, oczu podbitych i pofałdowanych skroni. Ubiór jasny, włos starannie trefiony, nawet kwiatek, który trzymała w białych rękach, przystałyby lepiej młodej dziewczeczce, a śmieszna czyniły niewiastę, która dawno młodą już nie była.

Szła królowa ku siedzeniu męża, z wolna rozglądając się na wsze strony, uśmiechając do podkomorznych i komorników, niewiele zdając się troszczyć o chorego. Stała wreszcie o parę kroków od siedzenia i wachając kwiatek, odezwała się głosem nieprzyjemnym, jak by w nim fałsz jakiś czuć było:

— Ciesz się, miły panie, pana wojewodę mamy. Przyjechał.

Klasnęła w ręce, patrząc ku drzwiom, król uśmiechnął się, skłonił głową i razem z nią ku drzwiom już spoglądał niecierpliwie, czekając zapowiedzianego.

Wszystkich wejrzenia zwracały się w tą stronę, milczenie było w izbie.

Wojewody spragnieni byli wszyscy, królowa nogą uderzała o podłogę, król siedział oparty o poręcz, jak by do wstania się gotował. Upragniony ów gość nie ukazywał się jeszcze. Judyta oglądała się i niecierpliwiła coraz bardziej, uśmiech przebiegał po jej zwiędłych ustach, oczy zmrużała z wyrazem jakimś czułym; ręką, w której trzymała kwiat, potrzasała, to ją podnosząc do twarzy, to zabawiając się dziecinnie. Król o jedzeniu zapomniał, skinął na podkomorzego, który rozkaz ów niemy zrozumiał, wyszedł. Wtem za progiem kroki słyszeć się dały, lica króla i królowej rozjaśniły się, po brzęku ostrogi, po chodzie śmiałym poznali wszyscy przybywającego. On to sam był, a z nim dwór dosyć liczny i bogato przybrany, który się u progu pokłoniwszy, zatrzymał. Słuszny, wspaniałego wzroku i postawy, w sile wieku mężczyzna, z twarzą jasną i młodą jeszcze,

okoloną włosom złocistym, oczyma bystrymi, z dala policzył, kto był w pańskiej komnacie. Wzrok to był, co dwa razy spojrzeć nie potrzebuje.

Królowa pierwsza, nim wszedł, już go ręką z kwiatkiem witała, przymrużając oczy, uśmiechając się czule.

Król rozradowany wyciągnął dłonie obie, jakby wzywając ku sobie. Z

wolna szedł ku nim po rycersku ubrany, można było powiedzieć, strojny wojewoda; gdzie indziej z pozoru za książećcia, a nawet za króla wziąć by go było można, tak pańskie, piękne, rozkazujące, dumne, promieniste miał oblicze.

Wpatrzywszy się w nie, jednak strach przejmował: oczy były nielitościwe, w ustach siedziały fałszy i zdrady. Stworzonym się zdał do rozkazywania, wyraz twarzy, postawa, chód, wodzem go czyniły; królowa Judyta, patrząc nań, zdawała się zachwyconą i przejętą. Szedł jakby umyślnie powoli, gdy serca ku niemu leciały.

Król i królowa, znając go dobrze, spostrzegli z dala, że niósł z sobą coś niemiłego, że przybywał gniewny czy smutny. Chorego pana oblicze ściągnęło się, królowa posunęła się ku drzwiom, jak gdyby pytaniem uprzedzić chciała lub przestrzec.

Zawahawszy się nieco w progu, wolnym krokiem, niby winowajca lub

zwiastun złej wieści, przybliżył się wojewoda, kłaniając panu i pani. Judyta, nie zważając na małżonka, który także pragnął zwabić ku sobie, wyciągała rękę białą.

— Sieciech, do mnie! — zawołał król żywo. — Cóż tak ociężałym

krokiem?

— Bo ciężkie, ciężkie na sobie brzemie niosę — odparł ponurym głosem wojewoda.

— Jezus ukrzyżowany niech będzie z nami! — wykrzyknął król. — Cóż się stało?

Mniej daleko zatrwożona królowa usta zagryzła i bystrym wejrzeniem w oczach Sieciecha szukała tajemnicy, z której wypowiedzeniem się tak opóźniał.

— Czesi nam niepokój i zawichrzenie niosą — rzekł Sieciech.

— O! Te Przemysławy obłudne! — zamruczała królowa, nogą uderzając o ziemię.

— Z jakiegoż powodu? — zapytał król, rękę trzymając załamane.

— Bo im Szląska żal straconego — odparł Sieciech, stając u stoła, przy którym król siedział — bo im się znowu zachciewa może Wrocławia i Krakowa, i nie wiem czego.

Odetchnął Sieciech, jak by się znużył, twarze się chmurami powlokły.

Królowa przystąpiła bliżej, za blisko może, bo się niemal o Sieciecha otarła, usiłując zwrócić na siebie jego uwagę. — Miej, Miłościwy Panie, męstwo wysłuchać wszystkiego, jak jest — mówił z wolna, patrząc na twarz króla, Sieciech. — Przekupiono Magnusa, którego ja dawno precz wyrzucić, oślepić lub zabić radziłem, bo czułem w nim zdrajcę; wzięto z klasztoru saskiego Zbigniewa.

Królowej twarz się zmarszczyła groźnie, król oczy sobie zasłonił i jęknął.

— Tak, Miłościwy Panie — kończył wojewoda. — Czechy, co przytułek zdrajcom i zbiegom dawały, użyły ich i Zbigniewa, który śmie się synem starszym i prawym mienić. Zbigniewowi Magnus Wrocław wydał, siedzi już na nim, Szląsk opanował.

Głuche milczenie w izbie zapanowało. Król siedział ciągle z oczyma rękami zasłoniionymi; królowa spoglądała nań z rodzajem zimnego politowania.

Sieciech stał ponury i zachmurzony.

— Trzeba lud zwołać i swoje odzyskać, a buntu nie dopuścić — odezwał

się wojewoda.

— Wojna więc! Znowu wojna! Krwi przelew chrześcijańskiej, wojna ojca z synem — jęknął król — a, nie, nie!

— Nie możemy tracić Szląska — zawołał Sieciech — jutro puszcza się dalej, jutro nam zabiorą więcej!

Milczał król długo i jęk głuchy tylko z piersi mu się dobywa.

— Czechy — zaczął cicho. — Czechy. Król nie może być przeciwko

mnie, przeciw, nam! Swawolnicy obszyli się jego imieniem. Do króla się ze skargą na nich udać potrzeba, wezwać go o pomoc. W przymierzu z nim i z Węgrami jesteśmy, niech nas ratują.

— A myż sami się ratować nie możemy? — zapytała królowa.

Sieciech głową potrząsnął.

— Z Magnusem, zdrajcą, jest część naszych. Wojna to przeciw

Miłościwemu Panu, ale bardziej przeciw mnie, co łaską jego żyję i szczęśliwy jestem. Mnie by to oni obalić i odegnąć chcieli, aby broili bezkarnie. Szląsk się oderwać chce, jutro Kraków tego zażąda, Mazury też i wszystko się rozpadnie.

Gdy Sieciech wspomniał, że jego obalić chcą, król wtrącił prędko:

— Ja bez Was żyć nie chcę i nie mogę! Królowa potwierdziła to głowy skinieniem.



— Musimy się odezwać do sprzymierzeńców, bośmy swoich niepewni —

dodał wojewoda — ludzi przekupują i odwodzą.

Zamilczał król, tuląc twarz w dłoniach i pasując się z sobą. Sieciech czekał odpowiedzi. Wtem zniecierpliwiona wtrąciła się królowa, dotknęła ręką wojewodę i rzekła:

— Co Wy postanowicie i uczynicie, to będzie dobrym. Widzicie, że król się słabym czuje, zdał na Was wszystko. Wy myślcie, Wy poczynajcie, nie dopuście, aby lada bękart groził ojcu własnemu.

Sieciech, słuchając, patrzył na króla, który myślami zdawał się być gdzie indziej.

— Magnus! — przerwał nagle, niby sam do siebie. — Magnus zdrajcą! A komuż ufać, wierzyć komu?

I ręce spuściwszy, załamał.

— Miłościwy Panie — wtrącił Sieciech — sprawa trudna, ale z pomocą Bożą damy radę bękartom i zdrajcom.

Dwa razy w rozmowie wyrzeczony wyraz, piętnujący nieprawę urodzenie Zbigniewa, przykro się zdawał razić króla. Syknął jak z bólu i Sieciechowi dał

znak ręką, aby umilkł. Królowa gniewnie ramionami ruszyła.

Tak rozpoczęta rozmowa przeszła w opowiadanie, które Sieciech ciągnął

dalej, starając się wywołać gniew pański. Król słuchał milczący, blady, siedząc w krześle swym zwiśły i bezsilny. Judyta przerywała niekiedy wykrzyknikami oburzenia. Wojewoda coraz się bardziej zapalał. Wieść przywieziona przez niego popłoch na całym rodziła dworze, podawano ją sobie z ust do ust; wchodzili i wysuwali się u drzwi komornicy, na podwórku widać było skupiających się coraz gromadniej i gwarzących z dworem Sieciecha. Król tak był widocznie przejęty i osłabły, że wojewoda sam na razie powieść swą o Zbigniewie przerwać musiał i rzekł:

— Wam, Miłościwy Panie, spoczynek potrzebny. Nie przecząc temu,

powiódł Władysław oczyma osłupiałymi i oparłszy się o krzesło, zmrużył

powieki. Widząc to Sieciech, powoli od stołu się odsunął, królowa skinęła, aby szedł za nią. Komornicy zaczęli się cofać ku wnijściu, król usypiać się prawie zdawał, ale spod powiek zaciśniętych płynęły dwie łzy, świadczące, że cierpiał

okrutnie, a wybuchnąć nie śmiał z tym bólem. Gdy wszyscy wyszli, podniósł

powieki strwożony i szybko zamknął je znowu. Zostawiono go samym.

Królowa wiodła wojewodę podsieniami i krużgankami ku swojemu

mieszkań. Tu inny był świat, inne życie. Króla w jego komorach otaczała cisza jakaś złowroga, jakby śmierć zwiastująca, około cesarskiej siostry kręciło się wesoło ludzi mnóstwo, wszystko strojne, butne i trochę swawolne. Swobody widać mieli do zbytku. Przepych też większy daleko spotykał się na każdym kroku.

Judyta wprost do swej komnaty prowadziła wojewodę, którego orszak został u wniścia, w drodze już poufną z nim rozpoczynając rozmowę. Chociaż przedmiot jej był smutny, siostra cesarska, prowadząc ją, niemal wesoło się wdzięczyła do pięknego towarzysza, który butnie a śmiało szedł koło niej. Oczy jej z tej męskiej postaci rycerza nie schodziły na chwilę i zdały się w niej po długim niewidzeniu lubować.

Sieciech niekiedy się uśmiechał, lecz wnet wracała mu powaga, znać było na nim troskę przygniatającą, która zaprzętała go mocno, tarł czoło dłonią, marszczył się i okazywał w mowie popędliwym i gniewnym. Wobec króla miarkował się i łagodził, teraz poufałej sobie poczynął, pewien będąc, że słowa jego zostaną dobrze przyjęte. W istocie królowa im potakiwała tylko i starała się widocznie dowieść, że z nim trzymała jedno. Niekiedy słowem, to ruchem wyrazistym potwierdzała oburzenie Sieciecha.

Komnata gościnna królowej, do której weszli, lśniła przepychem, lecz był

to przepych owym czasom właściwy, który mógł przylgnąć na chwilę do ścian każdego domostwa, gdyż cały był przenośnym i ruchomym. Nie zamieszkiwano wówczas nigdzie, obozowano całe życie. Najlichsza chata mogła się stać pałacem, gdy ją, jak te izby, obito oponami, kobiercami wysłano, zastawiono w niej sprzęty, okryto ławy proste poduszkami i sukiennymi szkarłatami. W izbie królowej całe ściany odziane były szytym obiciem, podłoga wyłożona sukniem, stoły zwyczajne osłaniały kobierce i opony. Lśniło wszystko i świeciło, a kwiatów, nad miarę rozrzuconych wszędzie, upajająca woń napełniała powietrze. Lubiła bowiem królowa i co świeciło, i co wonnym było, i co się uśmiechało, niosąc z sobą wesele: śpiewy, gędzbę, twarze młode i mowy swobodne. Przedłużała swoją młodość, okłamując się sama.

Wszedłszy do komnaty, padła królowa na krzesło swe u stoła, całe

wygodnie poduszkami wzorzystymi miękko wysłane, umieściła się w nim tak, aby wdzięczniej wydawać mogła, podparła na rękę, a widząc Sieciecha stojącego, wskazała mu poufale ławę naprzeciw, ręką zapraszając, aby bliżej jej zajął miejsce.

Twarz Judyty, która piękną być chciała, przybrała jakiś pożyczany wdzięk, młodość przypominający; spoglądała to tęskno, to zalotnie, to wyzywająco; gryzła kwiatek w ustach i rzucała go pod nogi, ciągle Sieciechowi bystro patrząc w oczy. Wojewoda nie zdawał się na to zważać wiele.

— Złe, złe wieści przywieźliście królowi — poczęła cicho i poufnie, jak by się lękała być podsłuchaną — złe bardzo, boję się, aby to biedaka chorego nie wzruszyło zbyt. Kruchy i wątły ten pan mój — szeptała, głos znizywszy — słaby ciągle i stękający. Życia w nim mało! To przeznaczenie moje nigdzie długo szczęścia nie zaznać. Jakże się Wam król zdaje? Gorzej?

Nieprawda?

Sieciech oczy spuścił.

— Tak, gorzej, niżelim się spodziewał — rzekł cicho.

— O! Gorzej jest co dnia! Złe jest! Ja o tym najlepiej wiem, ja się znam na tym. Człowiek ten, niestety, nie może długo pociągnąć.

Mówiąc to, królowa zdawała się bardziej tego pożądać, niżeli się lękać.

Wojewoda zmilczał.

— Uchowaj Boże co na niego teraz — poczęła szybko siostra cesarska, rzucając oczyma niespokojnymi. — Cóż z królestwem, co z nami, co się ze mną stanie? A! Ojciec Bruno, który mnie na to namówił małżeństwo, odpowie przed Bogiem! W jednym, w Was mam całą nadzieję, Wy moim opiekunem będziecie.

Wlepiła oczy swe ciemne w Sieciecha, wyzywając go do odpowiedzi, lecz nim miał czas ją dać, szczebiotliwa niewiasta dorzuciła:

— Na brata mojego Henryka, na synowców niewiele liczę; chybaby

młodszy syn wziął koronę, najbardziej na Was, wojewodo. Wy mnie nie opuście. Weźmiecie i sprawę, i mnie na ręce Wasze...

Podła mu dłoń białą, którą wojewoda, milcząc, do ust przybliżył, lecz bez zbytniego ukorzenia i uniżoności. W jego obejściu się z królową poznać było można, iż ona go więcej, niż on jej potrzebował, że pewnym był swojego stanowiska.

— Ja z Wami zawsze — rzekł cicho.

Wyjaśniło się czoło Judyty, przysunęła się, pochyliła i zniżywszy głos, poczęła głosem spieszonym:

— Król jest źle, on już z tego nie wyjdzie. Najmniejsza rzecz go

niepomierne trwoży, siły traci, nie w smak mu nic. Często godzinami ust nie otwiera, siedzi, dysząc, z oczyma zamkniętymi. Ani go pytać trzeba, ani się radzić, Wy radźcie sami. — Ruszyła ramionami białymi.

Wojewoda ciągle skłopotany milczał; brwi Judyty ścigały się trochę gniewnie.

— Uchowaj Boże nieszczęścia, Wy tylko i ja zostanę. Wy królestwo całe macie w rękę, dziecko małoletnie. Tego syna niewolnicy nie liczę, nie ma prawa żadnego. Tak, wojewodo, Wy ze mną!

Widocznie chciała Judyta stanowczą wywołać odpowiedź, z którą

Sieciech się ociągał, wodząc dokoła oczyma i wążąc coś w sobie.

— Miłościwa Pani — rzekł na koniec — zawczasu dziś o tym mówić, co jeszcze chyba dalekie jest. Król chorowity pożyje, potrzebny on nam dziś bardzo. Wrocław zajęty, to są wszystko wrogi moje, zawzięci na mnie, przeciwko tym nie ja, ale król sam iść musi. Chory czy zdrow, trzeba go nam mieć.

— A! Zrobi, co Wy mu każecie — spiesznie wrzuciła królowa — ale nie wiem, czy wywiózłszy go stąd, nazad z nim żywym powrócicie.

Potrząsała głową obojętnie, uśmiechając się do Sieciecha, król nie zdawał się ją obchodzić wiele.

— Zdzieciniały biedak, cały dziś w rękach Waszych, ani go już liczyć —

mówiła. — Wsadzicie go na koń, pojedzie, choćby konał. Jeżeli go tam potrzebujecie, czemuż nie? Bierzcie, nie stanie go, Wy zastąpicie.

Wyraziście te do zbytku usłyszawszy słowa, Sieciech dał znak królowej, wskazując na drzwi, których zasłona z lekka zadrżała, jak by za nią ktoś odprawiał podsłuchy. Nie przstraszyło to jednak królowej, która usta zaciąwszy, uśmiechnęła się pogardliwie i ramionami potrząsała.

Jednakże wstała z siedzenia, podeszła ku ławie i, gdy Sieciech powstał, prędko mu coś szeptać poczęła. Rada była widocznie, iż miała pozór zbliżenia się do wojewody, parękroć uderzyła go po zbroi, klapnęła po rękę, dotknęła ramienia.

Nie słyhać było, co mówili z sobą, lecz po szeptach przedłużonych siostra cesarska głośniejsko skończyła:

— Dokuczyło mi już z tym trupem żyć. Gdy się wola Boża stanie,

niewiele łez wyleję. Brat lub synowiec mój temu da to królestwo, kogo ja zechcę, a ja wiem, kogo mam wybierać.

Cynicznie uśmiechnęła się królowa, Sieciech nie sprzeciwiał się jej wcale, chociaż oświadczenia te przyjmował dosyć zimno. Niekiedy trwożyła go drgająca zasłona, w słowa był skąpy, słuchał więcej, niż mówił, i świetnym obietnicom nie radował się tak bardzo. Na próżno Judyta usiłowała go ożywić.

Zbigniew, Wrocław, Magnus i Czechy nie dawały mu pokoju.

# IV

Noc już była prawie, gdy na osobny podwórzec królewicz Bolko w

kilkanaście koni z drużyną swą zajechał, z łowów wracając. On i mało co od niego starsi towarzysze, w cwał, jak burza i wichry, wpadli, przeganiając się we wrota, i popędzili przed podsienia, u których służba czekała. Bolko konia swojego osadził w miejscu żelazną ręką, aż się spał do góry i o mało wznak nie przewalił; skoczył lekko z niego i puścił, dwu towarzyszów ze swoich szkap zleciało.

Wojśław, ochmistrz królewicza, mający nadzór nad nim, wolniej

dociągnął za nimi, gdy już Bolko, otrząsnąwszy się z kurzu, śmiejąc się, stał, ujawszy się w boki. Ci, co pospadali, śmieli się także, dwór cały był dobrej myśli, zwierzyna nabita oszczepami i strzałami wisiała na siodłach, wlokła się poprzywiązywana do nich.

Dzień nie był stracony, powiodły się łowy; rżały do stajen i otrząsały się zmęczone konie, psy ujadły wesoło, trzepotały się sokoły, rozprawiali głośno ludzie, a młode chłopię, co tym oddziałem dowodziło, po królewsku spoglądało na swe otoczenie, rzucając ku niemu słowa wesołymi. Ochmistrz tylko Wojśław burczał ponuro, z konia zsiadając powoli, znużony.

Śliczniejszego pana nad to chłopię, które z niebios na ziemię zesłał św.

Idzi, patron cudowny, nad to dziecię wymodlone u Boga, widzieć było trudno, jak te ziemie szerokie stały. Lat dziewięć mając, Bolko już w puszczy bił

niedźwiedzie, a gdy z Sieciechem pierwszy raz na wojnę się wyprosił, trudno było powściągnąć i utrzymać dzieciaka, który się parł, gdzie największe było niebezpieczeństwo. Natura to była owych pierworodnych, do wielkich spraw przeznaczonych, gorąca, niepohamowana, szybka, nierozważna, zuchwała, prędką jak piorun, szalona, jak by się swą młodością upajała. Gdzie się on ukazał, był jak ogień, co wszystko grzeje; ciepło się robiło, gdy przystąpił, pobłyskiwały oczy, śmiały się ku niemu usta, słowem ludźmi miotał, jak chciał, rzucał nimi, bo miał owo królewskie słowo, co, nie rozkazując nawet, budzi do posłuszeństwa. Mimo własnej woli krnąbrni nawet biegli, gdzie wskazał, a on sam, skoro go myśl porwała, nie zważając na niebezpieczeństwo, pędził

zapamiętane, nie zważając na nic. Kipiało w nim życie i jak wrzątek wylewało się za brzegi.

Chociaż jednaście ledwie miał skończonych, rycerzem już się mógł

nazwać, szanowano go jak dorosłego męża. Nad wiek się rozwinał, zmężniał, zolbrzymiał; tylko nieporosła twarz i policzki niewieście o latach świadczyły.

Gniewało go to, że starszym nie był, ale mu chłopięcych lat nikt by być zadać nie śmiał, obawiano go się. Bił ci już Pomorzan, krew przelewał, raną się chlubił, śmierci w oczy zaglądał, nie drgnąwszy, chłopak od Boga darowany.

Dość spojrzeć nań było, gdy tak stał między słupami, otoczony drużyną, z dala każdy królewicza w nim poznał: kształtny był, krzepki, zwinny, giętki.

Choć całego swojego wzrostu nie miał jeszcze, już duży, ramion szerokich, piersi wypukłej, jakby puklerzem okrytej, rąk silnych, choć drobnych. Twarz też była piękna, rycerskiego wyrazu, tylko około ust z jednej strony wrzód, który był nabrał i rozpękł w dzieciństwie, ślad po sobie zostawił, piękne wargi skrzywiwszy nieco. Dziwny to wyraz dawało twarzy, nie szpecąc jej bardzo.

Królewicz mawiał, wskazując na szram ten, że broda i wąsy go pokryją. Szkoda tylko, że blizna nie od włóczni jest, ale od wrzoda lichego. Twarz miał ciemno ogorzałą, bo jej nie szanował i nie krył; czoło tylko jak śnieg białe, policzki rumiane jak jagody, oczy ciemne, w których płomień skryte nieustannie paliło się i gorzało. Gdy stał, choć spokojnym być chciał królewicz, drgał, jak by go wewnątrz coś bodło i spokoju nie dawało.

Gwiazda to była wszystkich, co się do niego zbliżali, kochali go wszyscy, choć podczas i srogim być musiał, a popędliwym. Gdy się pogniewał, a rozjątrzył, ubić gotów był druha, choćby go potem oplakał.

Mówili nań niektórzy: Bolesława to onego wielkiego potomek prawy, odżyje w nim tamten, wdał się w niego. Miał odwagę niezłomną Chrobrego, a Szczodrego szał bojowniczy i wspaniałość.

Strasznym się to zdało, że tak wczesnym był, bo w jedenastu leciech mężem prawie. Nic mu nie brakło, bo pobożność ojca i matki, której nie znał, odziedziczył, męstwo dziadów i ich rozum; po księgach go jednak szukać nie lubił. Słuchał chętnie rozumnych ludzi, mawiając, że lepsze są księgi żywe nad te, co się na zdechłych skórkach piszą. Do nich też i czasu nie miał, bo koń i oręż, zabawa rycerska śmiała mu się w dzień, marzyła w nocy. Pieszczot

macierzyńskich nie znał Bolko, niewieściego wychowania nie kosztował; matka mu zmarła, na świat go wydając, a macocha nie lubiła tej perły, która nie jej była. Wyszło mu to na dobre, że go zawczasu wzięli między siebie wojacy, bo w tym wieku, gdy drudzy się jabłkami bawią, on z łuku ptastwo strzelał, a konia małego dosiadał, jak by doń przyrosną!. Macocha go precz od siebie oddaliła, zdając na ręce Wojysława, ale ojciec za to miłował jak oko własne jedynaka, owe dziecię z daru Bożego. Szanował w nim niemal ten cud, wyjednany ofiarą św.

Idziemu złożoną, że gdy się już potomka nie spodziewał, Bolko na świat przyszedł. Pobożny król gryzł się bezdzietnością swą, bo mu Zbigniewa, bez ślubu i błogosławieństwa duchownych narodzonego, za syna uznawać nie dozwolono. Kochał i tamtego, a wyrzec się musiał, pragnął więc takiego, którego by kochać mógł bez grzechu. Miłował go też nad wszystko w świecie, a i z tym prawie się musiał ukrywać, bo macochę to jątrzyło, że nie jej był ten, którego kochano. Z królem razem kochali go wszyscy, oprócz zazdrosnej Judyty i oprócz Sieciecha.

Wojewodzie ten syn pański, dziedzic prawy, choć go przy ojcu pod

niebiosa wynosił, był solą w oku i strachem; stał mu na drodze, zapierał

wschody do góry. Przed królem Sieciech mawiał zawsze, iż młodego pana ostro i surowo trzymać

było potrzeba, aby się nie rozbijał za wcześnie, nie zhardział

do zbytku, cugli sobie nie popuścił. Po cichu i wzdychając przypominano cesarza Henryka IV, który z obu synami miał zatargi. Z ręki też Sieciecha krewny jego Wojsław dodany był za ochmistrza królewiczowi, Wojsław może w początkach posłusznym był temu, co go posadził na straży. Gdy Sieciech nań patrzył, surowo się z wychowankiem obchodził, ale się wprędce rozmiłował w nim, nawykł mu ulegać i sprzeciwić się nie umiał. Urok ów i potęga życia pełnego młodości podziały nań. Zaczynał często od strofowania, a kończył na uścisku, wołał głośno, a wprędce zniżał głos, uśmiechał się, milknął.

Wojsław mrukliwy był, podżyty, ciężki, często do zbytku milczący; w potrzebie śmiały, ale nieprędkiej myśli i niepewien siebie; Bolko go wyprzedzał

we wszystkim, a gniewnego czasem, objąwszy za szyję, skruszył pocałunkiem i śmiechem. Powoli rozmyślając, Wojsław widział więcej, rozumiał lepiej, niż się zdawało, nie chwalił się z tym, milczeć umiał. Mówił mało, ale to, co rzekł, ważyło. Do niedźwiedzia podobnym był z postawy i obyczaju, ruszyć mu się było ciężko, a gdy się dźwignął, druzgotał, co popadł.

Rachował nań Sieciech jako na krewniaka, ze swej ręki postanowionego, przeliczył się jednak, sądząc, że mu w myśl jego działać będzie. Wojsław, obowiązek swój pełniąc, nic nadeń zrozumieć nie chciał. Zzymał się wojewoda, ale go już z miejsca ruszyć nie było można.

Gdy burza ta młodzieńcza wpadła w podwórzec zamkowy, aż cały gród niemal zatrząsł się od niej, pozostałe psy zamknięte w psiarni zawyły, konie w stajniach rwać się i rzeć poczęły, ludzie z komór powybiegali. Każdy się domyślił, że to królewicz przyjechał. W spokojnej nawet izbie królewskiej, oddalonej od Bolkowego dworu, zadźwięczały naczynia stojące na stole.

Władysław nastawił ucha i uśmiechnął się; on także czuł, że to syn jego ukochany przylecieć musiał. On jeden, a chyba Pomorcy drudzy na zamek iść mogli z takim szturmem i nagłością. Sieciech, co przy królu siedział, zmarszczył

się, królowa, stojąca przy mężu, zacięła wargi. Na twarzy Władysława Hermana malowało się jakby ubłogosławienie. Przybywało życie jego, tak jak ten, co Wrocław zajechał, był dlań śmiercią i sromem.

Bolko stał w przedsieniu, chciał widzieć, gdy zdejmą zwierzynę, gdy psy, konie i ludzie się rozejdą, a na jutro nowe łowy, ludzi, konie i psy zakazać. Na jutro mu obiecywano niedźwiedzia. Polowania dlań nie było na tego zwierza, co pierzchał, ale na tego, co walczył.

Już miał Bolko zakrzyknąć na swą czeladź, gdy z ławy, na której w dali, w kącie podsienia siedział, podniósł się młody chłopak bladej twarzy, szczupły, drobny, ale zręczny jak jaszczurka, co się między kamieniami zwija, z długim włosiem jasnym, z ogromnymi oczyma niebieskimi, które mu spod czoła wyskakiwać się zdawały. Był to ulubiony służka i towarzysz królewicza, a zwali go Pruszyneką, choć imię miał Mikołuszka.

Szedł jak ocucony ze snu i domyślić się było łatwo, czemu; choć panu ulubiony, w domu pozostał, bo

rękę jedną miał całą chustami obwiązaną i niósł

ją, nie mogąc poruszyć. Na polowaniu, dobijając borsuka, dał mu się pochwycić zębami, tak że musiano żelazem ściśniętą rozwalać paszczkę, aby wydobyć dłoń chłopca strzaskaną, która się dopiero ziołami okładana goiła. Dla Pruszyńki zostać w domu było srogą karą, ale ruszyć się nie mógł, bo słuchać musiał.

Królewicz go lubił nad innych ze swej drużyny, bo Pruszyńka szedł i biegł z nim, choć sił jego nie miał, w ogień i wodę. Dla Bolka gotów się był dać ubić i zarznąć. Sypiał u pańskiego progu, stał cały dzień u jego boku, chodził i jeździł, gdzie się kolwiek ruszył.

Zobaczywszy go, Bolko krzyknął wesoło.

— Cóżes to nie zdechł, Pruszyńko?!

Chłopak potrząsnął głową i włosy odgarnął.

— Nie, Miłościwy Panie — odparł z pokłonem — tylko z nudów, a z

żału, że tu sam jeden zostać musiał, o małym nie przepadł; ręka się już goi, baba mówi za dni pięć, a ja za trzy do licha płachty i onuczki rzucę w pokrzywy.

Rozśmiał się, rękę chciał podnieść i jęknął; pogroził mu królewicz.

— Nie dokazuj, rychło mi będziesz potrzebny.

— Wojewoda Sieciech przybył — cicho odezwał się Pruszyńka.

Skrzywił się nieco Bolko.

— Co mi po tym — rzekł krótko.

— Licha nam nawiózł.

— Jakiego? Co?

Wojśław stał niedaleko, usłyszawszy rozmowę, zbliżył się z wolna swym niedźwiedzim, ociążalym krokiem. Pruszyńka mówił dalej:

— Srogie rzeczy rozpowiadają. Wyrwał się, słyszę, klechom Zbyś, co siedział w klasztorze u Sasów, zawiedli go panowie do Wrocławia i jak na stolicy posadzili. Biorą go Szlązacy za księcia.

— Co ty szalejesz? — przerwał Wojśław.

— Cały już dwór o tym prawi! — zawołał uradowany Pruszyńka — tak ci jest, król o mało nie omdlał, gdy się dowiedział.



Stał Bolko namarszczony.

— Nic tak strasznego — odezwał się — ludzi zebrać, a prędko, nie tracąc i dnia, dopóki oni głów nie mają, póki się nie spodziewają, paść na nich i rozbić, a zgnieść! Ręką w powietrzu zakreślił koło i pokazał na ziemię.

— Dobrze! — dodał. — Wojna będzie, a nie, to by się ludziska pospali i popuchli! — A, dobrze, pójdziemy na wojnę!

Spojrzeli nań wszyscy, oczy mu pałały.

— Ale on z sobą ma Czechów pono i Magnusa — rzekł Pruszyńka —

ludzi dużo nazbierali.

— A my to ich nie mamy? — śmiał się Bolko. — On zbiera, my tylko

wici pošlemy, aby stawano, pod gardłem. Muszą być!

Co drugim zachmurzało czoła, królewiczowi twarz rozjaśniło, rad był.

Spodziewał się na tę wojnę wyprosić. Czymże dlań były łowy przy prawdziwej wojnie, w zażartym boju, do którego wzdychał, walki, w której się rąbano zajadle, i on mógł ręki na karkach ludzkich spróbować.

Z drugiego podwórca pędem biegł komornik królewski. Król już wiedział

o synu i wołał go do siebie, bo cały dzień nie widział ukochanego i tęsknił, a chciał wiedzieć, czy był cały, czy mu się nie stało nic.

— Król, Pan Miłościwy, wzywa, a żąda Was pilno — rzekł komornik —

pospieszajcie.

Choć nie odziany był tylko tak jak na łowy, w kaftanie krótkim, w łosiowym, obcisłym ubraniu do konia, w bucikach do jazdy, a róg jeszcze miał

na plecach i mieczyk myśliwski u boku, pospieszył, jak stał. A że nie umiał

ślimaczym chodem iść jak drudzy, popędził przedśieniami żwawo, nim Wojśław miał czas mu przypomnieć, aby się przedział. Ruszył za nim powolny ochmistrz, gdy już mu z oczów zniknął, więc ręce załamawszy, stał mrużąc.

W komnacie królewskiej Władysław siedział na tym samym miękko

wysłanym stołku, na którym go z rana zła wieść znalazła. Stała królowa u jego boku, tak iż król jej widzieć nie mógł, a ona Sieciecha naprzeciw stojącego miała przed sobą. Znaki mu dawała, jakie

chciała, nie bardzo troszcząc się o to, iż u progu stojący podkomorzowie i komornicy je także widzieli. Król posepniejszy był niż z rana, ale rzeświejszy nieco. Sieciech przy nim, gdyby drugi król, swobodnie się obracał, a choć pana szanował z nawyknięcia, znać było, że go niewiele ważył.

Po szybkim chodzie ojciec poznał Bolka, twarz mu się rozjaśniła, usta otwarły, na drzwi wzrok obrócił, zapomniał o wszystkim. Wtem po

młodzińczemu wpadło chłopię z czapeczką w rękę, z rogiem na plecach, prosto biegnąc ku ojcu. Długie włosy rozwiane na ramiona mu spadały, twarz umyślnie rozweseloną przybrał i szedł spiesząc do ręki ojcowskiej. Oburącz pochwycił go król za głowę i począł, nic nie mówiąc, ścisnąć i całować. Od ojca zwrócił się królewicz ku Judycie. Ta dziwnie się z nim obchodziła, kochała go czasem do zbytku, częściej nienawidziła i niechęć wyraźną okazywała. Urok młodości tej wesołej, żywej, wdzięcznej, chwycił ją za serce, potem wstręt jakiś odpychał.

Była macochą, a nie miała syna.

Zawahała się z podaniem mu ręki, aż z wolna wyciągnęła ją ku niemu.

Bolko pochylił się do pocałowania i ustąpił prędko. Sieciech stał jak mur groźny, surowy, niemal straszny, na powitanie oczekując i nie wyprzedzając go.

Z wejrzenia, jakie rzucał na syna królewskiego, widocznym było, że dlań nie miał życzliwości, że mu zawadzało to chłopię tak ukochane ojcu i wszystkim.

Pokłonił się z dala wojewodzie królewicz, w zamian Sieciech ledwie głową skinął, lekceważąc sobie dzieciaka.

— Bolek — zawołał król, zwracając się ku niemu i ręce doń wyciągając

— słyszałeś? Wojna, mieć będziemy wojnę!

— Tak, mówiono mi coś, gdy z konia zsiadał — rzekł królewicz —

niech więc Bogu będą dzięki!

Ręce obie podniósł do góry, Sieciech się obrócił doń zmarszczony.

— Nie godzi się — rzekł surowo — wojny pożądać nigdy, nikt nie wie, jak ona wypadnie.

Król westchnął głośno.

— A! Gdyby i najgorsza była — rzekł wesoło królewicz — zawsze to

wojna, a dla ludzi rycerskich cóż nad nią milszego.

Czoło króla rozpogodziło się, cieszyła go ta odwaga dziecięcia.

— Prawy wojak z ciebie będzie — zawołał i pociągnął go ku sobie,

całując w głowę.

Judyta skrzywiła się, Sieciech przeszedł w głąb izby kroków kilka, jak by na te pieszczoty ojcowskie nierad patrzył. Stał potem nieco opodał, zwrócił

się i przerwał szepty króla z Bolkiem, których dosłyszeć nie mógł.

— Miłościwy Panie, królewiczowi po łowach czas spoczywać, ja czekam rozkazów Waszych, bo i jednej nocy tracić nie trzeba.

Odprawiony w ten sposób Bolko, oczyma się pytającymi do ojca odwołał, a król ręką wskazał, aby nieco ustąpił. Chłopak się cofnął ku ścianie, Sieciecha wzrok poszedł za nim.

— Mów, wojewodo — odezwał się król — nic nam chłopiec nie wadzi,

niech słucha owszem i Waszego się uczy rozumu.

Była chwila wahania się i milczenia. Sieciech spoglądał na królowę, ta mu znaki jakieś dawała, nareście począł, będąc posłusznym królowi.

— Miłościwy Panie, rany goić potrzeba, dopóki się nie zaognią. Wyślę więc i posłańców po grodach, aby się ludzie nasi ściągali co najrychlej tu do nas.

Musiemy iść siłą znaczną na Magnusa i Wrocław. Zdrada jawna, lecz przystało nam zrazu w nią nie wierzyć, oczy zamknąć, spróbować, azali się nie pomiarkuje. Jeżeli go do rąk dostanę, łeb mu zetnę. Pójdzieli jedna ziemia po swej woli, osobno każdej się zechce swego księcia mieć i stać samopas. Magnus zaskoczony, nim siły zbierze, ulec musi i Zbigniewa nam wyda. Ale mi nie przystało samemu iść, powiedzą, że ja to czynię, a nie Wy, Miłościwy Panie.

Musicie być ze mną osobą swą. Sieciecha nienawidzą dlatego, że Wam wiernie służy. Sieciech im solą w oku, na Sieciecha wszystko złe zwalają! Bez Was, Miłościwy Panie, powagi nie będzie, Magnus ulegnie Wam, a mnie się opierać będzie.

Król, słuchając z uwagą natężoną, kilkakroć dłonią drżącą powiódł po czole, wzdychał ciężko.

— Luźnym słowom, które lada kto przynosi — odezwał się — nie

dawajcie łąco wiary. Nim się rycerstwo zbierze, nim wystąpiemy, do Magnusa trzeba słać z pytaniem, niech powie, czego chce, co myśli. Podda się może bez bitwy. Nie, pójdziemy nań, gdy inaczej nie może być.

Sieciechowi słuchającemu twarz się mieniła i ramiona poruszały.

— Ślijmy do Magnusa, kiedy taka wola Wasza — odparł — Miłościwy

Panie; ślijmy doń, ale wici trzeba słać i lud gromadzić, aby być pogotowiu.

— Gromadźcie — potwierdził król smutnie — Wy lepiej wiecie, co trzeba.

Bolko stojący pod ścianą ręce zacisnął z radości. Młodej głowie jego tylko zdało się, że słać do Magnusa nie było po co, a z buntem się w rozmowę wdawać nic po tym; wprost nań uderzyć, rozbić i ukarać. Po dziecinnemu myślał. Po co tu w słowa grać, gdy w miecze brzęknąć można!

Stało się milczenie.

— Nie wiem ci, co Magnus powie — począł wojewoda — ale to wiem, że podłym zdrajcą jest. On to z jamy dobył klechę, aby go przeciw nam prowadzić, nim się zastawic i ranić serce ojcowskie. Tak, zdrajcą jest, on i wielu innych po tych ziemiach, co z nim przeciw mnie trzymają. Nie mogą na króla uderzyć, biją we mnie, wiedząc, że król stoi za mną. Wszyscy przeciw mnie są, wszyscy przeciw Wam, panie! Zdrajcy niepoczciwi wszyscy!

Poczynał się coraz bardziej unosić.

— Na mnie biją — mówił — bo ja stoję na straży dobra pańskiego i

całości tych ziem, które oni rozerwać by radzi na kawały; każdy z nich ciągnie w swą stronę, rad by sam panem być, słuchać nie chce nikt, A co warte królestwo rozerwane na poły i szmaty? Wszakci je krwawo Mieszko i Bolko spolił na to w jedno, aby siłę miało, na to korona im była dana, aby pod nią się wszystkie ziemie jak kurczęta pod kokoszą gnieździły.

Władysław, słuchając, niby na stół patrzył, myślał nie wiadomo o czym; wzrok czasem ukradkiem wyrywał się ku synowi. Roztargniony był i gdy się wojewoda zatrzymał, rzekł jakby machinalnie.

— Ślijcie no do Magnusa.

— Kogóż Wasza Miłość posłać każecie? — pytał wojewoda.

— Wybierzcie sami — szepnął Władysław — ja nie wiem. Królowa

poczęła znaki dawać wojewodzie, który się namyślać zdawał, milczał.

— Duchownego bym słał — odezwał się Sieciech — aby po kryjomu i z ks. biskupem Żyrośławem się rozmówił, a jego też ku nam nakłonił. Gdy ojciec a pasterz słowo rzecze, ludzie rychlej za nim pójdą niż za wojewodą.

Duchownego by potrzeba, ale takiego, co by i mógł, i chciał, nie widzę.

— Znajdźcie i wyślijcie, kto Wam po myśli — potwierdził król, zbywając się ciężaru.

Znowu królowa dała znak.

— Duchownego nie mam, Wojsława pošę, gdy innego nie znaję —

odezwał się Sieciech. — Temu przynajmniej zawierzyć mogę, że mnie nie sprzeda. Mojej krwi jest i Wam wiorny, Miłosciwy Panie. Wojsław

małomówny, powolny, ale jak kamień twardy; nie przemienię go, nie kupię, nie nastraszę.

— Ślijcie Wojsława — zamruczał król obojętnie. Ruszyła z politowaniem ramionami Judyta.

— Co ma rzec im? — zapytał uparty wojewoda.

— Co Wy mu każecie — rzekł król zimno, spuszczać oczy — będziecie wiedzieli, jak mówić do nich. Niech wichrzeń wszelakich zaniechają, niech Zbigniewa nazad pod strażę do klasztoru odeślą.

Mówił coraz ciszej, rozmowa widocznie króla nużyła, ocierał pot z czoła tuwalnią, wzdychał, oczyma niespokojnymi po izbie wodził, jak by ratunku szukał przeciwko temu męczeństwu.

— Idźcie, wojewodo miły — dodał żywiej — idźcie, rozporządzajcie, czyńcie, jako chcecie, wiem, że, co uczynicie, dobrym będzie. Na wszystko rękę daję, na wszystko.

Sieciech głowę uchylił, poruszył się, jak by odchodzić miał, i zawrócił raz jeszcze.

— Więc wola Wasza wojsko ściągąć. Wojsław jutro na zaraniu w skok do Wrocławia ruszy, takeście przykazali, tak się stanie, ale Wojsław wróci z rękami próżnymi.

— Usłyszam, czego chcą — mruknął król trochę niecierpliwie. — Jeżeli zażądataj, co niegodziwe, postanowimy, co dalej.

Gdy Sieciech już ku drzwiom się zbliżał, królowa za krzesłem pana stojąca ruszyła się, jak by goniąc za nim. Władysław podniósł oczy na nią, ale widząc, że gdzie indziej była zwróconą, ku synowi spojrział. Ruch ten dostrzegłszy, macocha spieszniej jeszcze do wyjścia się miała. Suknia jej jeszcze nie znikła całkiem za zasłoną, gdy Bolko spod ściany poskoczył i wesoło zbliżył się do ojca.

Oba się do siebie uśmiechali, król o trosce zapomniał.

— Łowy? Jakże poszło na łowach? — spytał.

— Już mi łowy nie w głowie, kiedy wojna za pasem! — prędko począł

Bolko. — A! Miłosciwy Ojczy, po co do nich pošylać, na co ich pytać, iść na nich, na karki paść i tłuc! O, ja — zawołał, chwytając ojca za rękę — ja z Wami i Sieciechem idę.

Władysław głową potrząsał.

— Nie, nie — rzekł.

Zachmurzyła się twarz Bolkowi, odskoczył.

— Chodziłem na Pomorze! — zawołał.

— Inna to wojna, jeżeli od niej Bóg miłosierny nas nie uchroni — rzekł

król smutnie. — Któż wie, kogo byś mógł napotkać naprzeciw siebie!

Bolkowi oczy się iskrzyły.

— Kto przeciw ojcu mojemu idzie, ten mi wrogiem jest, nie pytam, jak się on zowie — zawołał.

Król przyciągnął ku sobie i w głowę pocałował, dwie łzy mu pociekły po twarzy, które otarł po cichu. Zamiast odpowiedzi głową potrząsał długo, słowa rzec nie mogąc. Głośna rozmowa, widać dla tych, co u drzwi, choć z dala, stali, ale słyszeć ją mogli, przeszła w szept ciche. Król dopytywał, słuchał

odpowiedzi, rozkoszując się nimi; widać było, że żył w tym dziecięciu, uśmiechał się do niego, głaskał. Nagle przycisnął go do piersi i rzekł głośno:

— Idź już! Idź!

Posłuszny syn do ręki się pochylił, ucałował ją i zwrócił ku wyjściu. Na twarzy królewskiej niepokój się odmalował, na komornika skinął, który, gdy się zbliżył, szepnął cichym głosem:

— Ojca Lamberta wezwijcie do mnie.

Czy dozorca i kierownik sumienia królewskiego był tak blisko, czy się spodziewał i czekał wezwania wieczornego do modlitwy, lecz i jeden pacierz nie upłynął, gdy już się ukazał na progu. Na widok jego cała służba komornicza, która dla rozkazów zwykła stać była we drzwiach, cofnęła się zaraz i znikła.

Ojciec Lambert mężem był poważnym, lecz umiał składać tę powagę i surowość, a stawać się łagodnym w potrzebie. Rozum patrzył mu z oczów.

Mimo dość podeszłego wieku twarz miał rumianą, od której siwe zupełnie włosy mocno odbijały. Rysy były wyraziste, piękne niemal, ożywione przelatującymi po nich wrażeniami. Usta, choć się starały być dumnymi, miały więcej łagodności i pobłażliwości niż powagi. Prawdziwy to był kapelan dworski, który dla spełnienia posłannictwa swojego na przemiany różne przybierać musiał charaktery, do niczego już zbytniej nie przywiązując wagi.

Szedł z wolna do króla, nie unizając się przed jego majestatem, z którym był

oswojony, patrzył tylko, jakim go znajdzie, aby się do stanu chorej zastosować duszy.

Król witał go z upragnieniem, z dala głową i ręką zapraszając ku sobie.

Nie przyspieszył kroku ojciec Lambert i dopiero przy stole stanąwszy, uklonił

się.

Na wezwanie podał rękę, Władysław obyczajem wieku z pokorą ją

uczałował. Oczy jego zwróciły się ku drzwiom niespokojnie, ale tam już nikogo nie było.

Rozkazawszy przybliżyć się duchownemu, Władysław pochylił się ze złożonymi rękami, jak by spowiedź przed nim miał czynić:

— Ojcie mój — począł — ojcie, uspokój sumienie moje. Nieszczęście dotknęło mnie. Grzech mój wychodzi na światło dzienne, aby się pomścił

nieprawości mej. Chciałem go przed światem utaić, czyniąc ofiarę na przebłaganie Boga. Wiecie? — zapytał król.

O. Lambert zawahał się trochę, choć w twarzy jego łącno poznać było, że wiedział to, o co był pytanym. Przez o. Lamberta, który sumieniem pana władał, kierował nim Sieciech, musiał go więc uprzedzić za wcześniej.

— Wiem, co Bóg dopuścił — westchnął kapelan.

— Wiecie więc niedolę moją, na którą pociechy szukam i rady — mówił

Władysław. — Dziecię moje, które daleko stąd ukrywałem, wyciągnęli na świat nieprzyjaciele moi. Mnie, ojca, na sąd powołują! Na pośmiewisko podają! Co pocznę? Ojcem jestem i zguby dziecka pragnąć nie mogę. Ojcem jestem.

Królowi pot ściekał z czoła, łzy z oczów, głosu mu brakło. Duchowny wpatrywał się w niego z uwagą, milcząc.

— Coście uczynili raz — rzekł — a dobrym było, nie cofajcie. Osiem lat spędził w klasztorze, Bogu był ofiarowany, cofać nie godzi się daru położonego na ołtarzu. To gniew Boży przebłaga.

Spuścił głowę Władysław.

— A! Mówili mi — szeptał — donosili, pisywał przełożony, że go

nałamać nie mogli i suknia mu powołania nie dała, krnąbrny był.

— Upór złego ducha w nim złamać było potrzeba — rzekł o. Lambert.

Król w dłoniach ukrył czoło.

— Cóż winne biedne dziecko? — wyjęknął.

— Dziecięciem grzechu jest — odpowiedział kapłan.

Nastąpiło milczenie, po którym król znowu mówić począł, jak by litości wzywał nad sobą.

— Ojczy mój! Wy to najlepiej wiecie, ile takich małżeństw do niedawna było jeszcze, nim kościół nakazywać zaczął, aby bez jego błogosławieństwa ludzie się żyć nie wazyli. Niewiasta, z której się narodził syn ten, prawą mi i wierną żoną była, żoną się zwała moją, tak jak ja mężem jej się wyznawałem. I byłaby została małżonką moją do końca żywota jej, gdyby mi po Bolesławie nie kazano wziąć tego ciężaru nad siły, a innej, królewskiego rodu małżonki dla potomstwa. Naówczas tamtą usunąć musiałem, dziecka się zaprzec.

— Stało się i dobrze się stało — odpowiedział duchowny. — Dla

królestwa też Waszego lepszym jest jeden, co je dzierżyć będzie, niż dwu, co by je mieli rozrywać. Bolek miłym wam jest.

Królowi obficie się łzy rzuciły, płakał, ręce wyciągając.

— Ojcem jestem — powtarzał — wnętrzości ojcowskie dla obu mam, i to jest dziecko moje!

Wyrzekł to tak silnie przejęty, że kapłan, który go nie spuszczał z oczów, na chwilę oniemiał, zbierając się do odpowiedzi.

— Miłościwy Panie — rzekł po namyśle. — Miłość ojcowska nie

wymaga po Was ofiary spokoju ziem tych i bezpieczeństwa. Gdy się Zbigniew narodził, królem nie byliście, nie winniście mu działu z królestwa, boby pokrzywdzonym był ten, którego modlitwy pobożnej królowej wyjednały. Azali w klasztorze szczęśliwym nie może być? Miłujecie Bolesława!  
— powtórzył

Lambert, bijąc w słabość królewską.

— Kocham go jak oczy moje — rzekł król — jak życie i nad to mizerne życie, ale na sumieniu kamieniem, brzemieniem cięży mi ten, ten!! Nocą słyszę płacz jego w kolebce, jawi mi się nocami matka jego, staje u łoża i woła jako do Kaina: „Coś uczynił z dzieckiem moim? — Azali ono i twoim nie było?”

Trwożę się i drżę, a boleję, bo gdy serce odpowiada: Bogum go dał na ofiarę, ona woła na mnie, iż Izaaka nie chciał Bóg od Abrahama, choć posłuszny pod nóż głowę skłaniał, a ten nie chce jej poddać pod słodkie jarzmo Chrystusowe.

Widząc króla tak mocno poruszonym, iż w mowie czuć było niepokój, o.

Lambert począł łagodnie go pocieszać.

— Miłościwy Panie, sny i widzenia zsyla moc nieczysta. Krzyż od nich uwalnia. Klasztor nie jest stosem ofiarnym, ale przedsieniem przybytków niebieskich. Mogliżeście mu co lepszego dać nad spokój i pewność zbawienia?

Czyż świat ma co droższego nad to? Nie macie na sumieniu nic, boście wedle serca ojcowskiego postąpili.



Zamilkli, płakał król jeszcze.

— Módlmy się, ojczy — odezwał się znużony — psalmy mówcie, abym

je powtarzał za Wami, alieci dusza się moja uspokoi i wstąpi w nią łaska Pańska, a da siłę.

Kapłan natychmiast ukląkł u stołu, złożył ręce, król nieco się przychylił, klęknąć nie mogąc, i psalmy razem odmawiać zaczęli.

Nabożeństwo to trwało tak długo, że gdy o. Lambert powstał, aby odejść, a komornicy weszli, aby króla rozdziać i do łoża prowadzić, znużony pan o swej sile dźwignąć się nie mógł.

Podczaszy niósł napój na sen w kubku złotym, drudzy misę, nalewkę i ręczniki, inni odzież nocną. Młodsza czeladź przyświecała. Dwóch pod ręce podniosło chorego i tak pochodem długim ciągnąc, znikli w przyległej sypialni, a w pierwszej izbie zostali tylko na czatach komornicy.

Na zamku cicho już było, świeciło się tylko i poruszało w komnatach królowej. Sieciechowi ludzie stali pogotowiu zbrojni, których rozsyłał na wsze strony. Coraz to się z zamkowych bram wysunęła gromadka i pognęła gościńcem w noc ciemną.

O. Lambert z pacierzy i rozmowy wprost poszedł do wojewody. Pełno też tu było starszyny różnej, z którą narady trwały do białego dnia. Wszystko, co króla otaczało, szło tu po rozkazy, bo Sieciech w Płocku jak we wszystkich ziemiach panował sam, czynił, co chciał, i w rękach trzymał wodze, które ścisnął tym mocniej, im mu się bardziej wyrywać chciano.

I na ten raz ci, co go znali, potrzęsając głowami, zapowiadali, że groźbę i niebezpieczeństwo na swą korzyść obrócić potrafi.

Palatyn chodził zasepiony i gniewny, powtarzał ciągle jedno:

— Dam ściać zdrajcę Magnusa, a z nim wszystkich spółników jego.

Na wrocławskim grodzie, jak ludzie zapamiętali, czasu pokoju nigdy nie było tak tłumno, pełno, gwarno jak teraz. Nie tylko zamek, ale miasto, podzamecze, przedmieścia, wały i bramy obsadzone były wojskowymi, zalane Szlązakami i Czechami. Coraz to nowe jeszcze poczty przybywały. Noc mało się od dnia różniła, bo i w ciągu jej do wrót się dobijano, przybywały oddziały, zajeżdżali rycerze.

Pilnowano się czujnie u bram, stąd coraz u nich nowe krzyki, wrzawa, pytania i odpowiedzi mieniały się długo, nim gości niecierpliwących się wpuszczono. Obawiano się zdrady i podejścia. Wysyłano dniem i nocą czaty na gościńce, wici po resztę ludzi, wybiegali zbrojni, wysuwali się piesi, ciągnęły wozy ze zbożem i sianem dla nagromadzonego rycerstwa.

Namiestnik Magnus krzątał się, pilne oko mając na wszystko. Na

podzameczu, w kilku uliczkach drewnianymi ostawionych chatami, zwykle cichych i pustych, po których innego czasu więcej krów chodziło niż ludzi, stały teraz kupy różnej gawiedzi, gwarzyły, rozpytywały się, spierały. Zatrzymywano konnych, wykrzykiwano, a gdy od zamku się słyszeć dawał ruch jaki, oczy i uszy chciwie się zwracały ku niemu. Widać było ciągle sotnie zbrojnych w hełmach okowanych, z oszczepami na plecach, toporami, łukami i tarczami, przeciągające od zamku na wały, z wałów na powrót ku zamkowi. Wszystko się jak by do wojny gotowało.

Miejscowi ludzie, choćby się wysypali wszyscy na rynek i ulice, tyle by wrzawy nie wnieśli z sobą, aniby ich tak wszędzie było pełno; czuć było obcych, a ci się najzwawiej ruszali, najwięcej dokazywali, najgłośniej krzyczeli.

Gawiedź ta, nie mogąc się cała na zamku pomieścić, po domach mieszczan się rozpościerała. Dolatywały z nich niewieście krzyki, śmiechy i łajania.

Wyrwała się czasem uchodząca dziewczyna z rozpuszczonymi włosami i wpadłszy w tłum, z jeszcze większą trwogą wracała, nie wiedząc, gdzie się schronić.

Na targowisku, u studzien, koło zamku, namioty i szałaszy gęsto stały jedno koło drugich. Tu i ówdzie całymi rzędami konie u lada jakich żłobów powiązane się pały. Przed namiotami kilką powiewały wbite chorągiewki. Na przyzbach siedzieli gęślarze, nucąc, a tłum obstępował ich dokoła, przysłuchiwał się i wtórował. Już zdawało się wszędzie jak nabito, a ciągle jeszcze przyplływało coraz więcej ludu. Wchodzące kupki szukały sobie miejsca, wszczynały się spory, zanosilo na bitwy, aż wójci nadbiegający rozstawiali, uspokajali i godzili. Spokojni ludzie patrzyli na tę nagłą powódź, zalewającą miasto, ze trwogą. Nie w smak im ona była. Wiedzieli z doświadczenia, co znaczy sprowadzanie żołnierza i komu ono najdolegliwsze. Za tym szła wojna, oblężenie, głód, mordy i wszystkie plagi Boże. Ale mały człek wielkich spraw odżegnać nie zdoła. Patrzali osłupieni, a baby i dzieci tuliły się po wyżkach wylękle.

Gdy się to działo w mieście i na targowisku, na grodzie gorzej było jeszcze. Tam się już prawdziwe obozowisko rozkładało. Choć noc nadeszła, jasno było od ognisk porozpalanych, przy których ludzie leżeli, nie rozdzielając się, na straży. Czaty chodziły dokoła, we wszystkich wrotach czuwały warty,

z okien poodsuwanych szum i gwar straszny, i światła białe, jak by wesele obchodzono. W podwórcach, choć pod okiem starszyny, nie uszło pół dnia bez zatargu krwawego, który setnicy kijmi uciszali. Z zamku też dolatywały głosy, jak by i tam nie lepiej się działo.

W prawo i w lewo od wielkich sieni na dworcu świeciło, drzwi stały otworem szeroko, tu i tam ścisk ludzi widać było, tak że przybywający ledwie do środka dobić się mogli. Służba konwie nosiła i beczki próżne wytaczała, bo pić trzeba było dać, a po skwarze letnim żłopali chciwie, kto się dorwał, jak ze studni.

W lewo kilka izb pominawszy, była jedna największa, w której starszyna siedziała u stołu, choć stół już próżny był i kubki tylko a dzbany na nim. Na ławach jeden przy drugim, w postawach różnych, siedzieli ludzie rycerscy poopierani, półleżący, niektórzy poskładawszy głowy na rękach ze znużenia.

Namiestnika Magnusa w tłumie tym odróżnić łatwo było, bo mu wszyscy cześć oddawali, a i postawa była nie lada. Wzrost ogromny, otyłość wielka, twarz szeroka, race silne. Olbrzymem się wydawał przy drugich, a gdy głos zabrał, jego jednego wśród największej wrzawy słyhać było. Głową wszystkich przechodził, a że mu z niej już dużo włosów spadło, świeciła górą biała i lśniaca.

Rysy twarzy wyraziste, grube, szerokie, z dala białe w oczy. Że lato odzieży ciężkiej na siebie nie dozwalało brać, miał kaftan szkarłatny, wdziany bez gza na ciało gołe, a na nim u szyi łańcuch ciężki, złoty. Kilku duchownych w sukniach ciemnych około niego stało, kilku tuż tylko co zbroje z siebie pozrzucali, bo na skórzanych kaftanach znać było powyciskane ich ślady.

Wpółśród nich, na szerokim krześle i wezgiłowiu, zmieniony do

niepoznania, siedział niedawny kleryk, teraz pan a syn królewski Zbigniew. W

sukni mniszej niezgrabnym był, teraz, gdy się pstro i bogato przestroił, nie lepiej mu było; twarz się tylko wielce przerobiła, gniew i złość z niej zesły, została chytróść i buta wesoła.

Na siedzeniu swym nie siedział, a leżał rozpostarty, sam się sobie przyglądając niekiedy, tak mu dziwno było, iż się tu znalazł. Łańcuchem, który na piersi miał, bawił się, uśmiechając do niego, to pasem od mieczyka, na który z ukosa czasem poglądał. Pas był misternie kowany, sadzony i świecący. Sukni nowej rękawy to naciągał, to spuszczał, to koło szyi rękami przebierał, to włosy jeszcze krótkie przyglądał, bo mu postrzyżyn klasztornych wstyd było.

Przez ten czas, gdy wolnym był, na brodzie mu się włos puścił rzadko, swobodnie, pieścił się też z nim, choć wedle życzenia nie roszał, zasiewał się nędznie, a sterczał twardo. Rysy twarzy rozweselone nie wypiękniały, grube były i niekształtne; wzrok latał dziko, usta krzywiły się szydersko. Ludzie się doń nie bardzo garnęli, a i ci, co mieli do tego ochotę, rozmówiwszy się, prędko ją tracili.

Wśród kółka, które go otaczało, stał namiestnik Magnus, poważnie ręce za pas pozakładawszy, silnym i donośnym głosem rozmawiając ze starszyną.

— Hej! hej! — prawił, śmiejąc się. — Już tam w Sieciechowie i w Płocku trwoga być musi.

Podkrólik nasz miota się jak podsmalony. Kto wie? Może już ciągnie na nas, bo to prędki człek, ale czaty rozesłane, dadzą znać w czas, będziemy wiedzieli, co czynić.

— Już tam z nas — ozwał się jeden ze Szlązaków — nieposłusznych wicrzycieli uczynią za to, żeśmy się za krzywdę pańskiego dziecka ujęli. Ano!

Niech aby jedna ziemia swojego pana ma, nie Sieciecha. Dostyc już tej Sieciechowszczyzny.

— Pewnie! pewnie! — dodał Dobek z Morawicy. — Za króla i za jego krew stajemy. Matka Zbigniewa była siostrą naszą, czemuż to dziecko nie ma być tak dobre jako i drugie, co je aż święty Pański na ziemię znieść musiał.

Duchowny blisko stojący oburzył się, tak jako niegdy opat na Dobka, który język miał nieostrożny.

— Ze świętymi Pańskimi tylko się za pan brat nie stawcie — rzekł — aby Wam nieświęta siła głowy z karków nie zdjęła za to bluzganie!!

Dobek, który wprzód księdza nie widział, uderzył się po gębie i umilkł, poczuwszy winnym.

— Żart to był — rzekł pokornie po chwili.

— Ano, głupi — odparł surowo duchowny, spoglądając nań z góry — świętych rzeczy usty lada jakimi nie tykajcie, aby Wam język nie usechł.

Dobek zbliżył się i w rękę go pocałował. Żarty z duchownymi

niebezpieczne były, oni panowali i rozkazywali. Duchowny nie dawał się przebłagać.

— Pamiętajcie ino dobrze — dodał — co się z bezbożnym królem

Bolesławem stało, abyście i Wy jak on nie zginęli marnie.

Skłonił Dobek głowę.

Poza krzesłem Zbigniewa stał młody człek, namiestnika Magnusa

bratanek Zahoń; blade chłopię, jak tyczka od chmielu wyrosłe bujno, a nie silnie, chude, potulne i nieśmiałe; był to przyboczny księcia dworak, który się doń przygarnął.

Z nim po cichu mieniał słów po trosze Zbigniew.

— Nudno i u was, mało nie jak w klasztorze za klauzurą — szeptał, rozglądając się dokoła po twarzach i wyciągając, jak by mu się na sen zbierało. — Ani gędźby, ani pieśni, ani wesołego słowa, ani twarzy niewieściej nie najrzcć.

— Miłościwe Książę — szepnął Zahoń — nie pora po temu. Między taki tłum niewiast się wprowadzać nie godzi, sromałyby się bardzo, bo ludzie języków nie strzymają. Gędźby też nikt by słuchać nie chciał, kiedy wszystkim w głowie, że lada chwila rogi zagrają może.

Zbigniew niecierpliwie się poruszył.

— No — rzekł — naówczas też pora będzie myśleć o wojnie, a na konie siadać. Dziś wolałbym dla siebie zażyć dobrej chwili, a nie wędzić się w tej głupiej wrzawie.

Spojrzał pogardliwie po ludziach i zamilkł. Zahoń nie miał co

odpowiedzieć. Książę wydawał mu się nad wszystkich rozumniejszym, bo pięknie i łatwo mówić umiał. Zbigniew oczyma wodził po izbie, niekiedy poziewnął, nierażno mu było wśród ludzi starszych, którzy o poważnych sprawach gwarzyli. Dobek zbliżył się doń, jak by go chciał rozerwać, bo inni zaniedbywali.

— Cóż, Miły Panie, nie próbowaliście dziś łuku albo miecza? — spytał.

— Nie dosiedliście konika? Zdałoby się teraz, póki czas, obeznać z rycerskim rzemiosłem.

Zbigniew z lekceważeniem, wzgardliwie usta wykrzywił.

— O! Wielka mi to nauka — odparł — noża z pochew dobyć i na odlew ciąć. Naukę tę ma parobek każdy, póki siły staje. Konia między nogi wziąć i trzymać się na nim niewielka też sztuka. Jam do dowództwa stworzony, a nie do bicia się, a dowodzić, da Bóg, potrafię.

Dobek głową potrząsał.

— I na to trzeba doświadczenia — rzekł sucho.

— To się go dostanie — ciągnął dalej tym samym tonem Zbigniew. — W

klasztorze mnie tego nie uczono. Za grzech mi nikt nie weźmie, że do razu żołnierzem nie będę. Temu, co panuje, więcej trzeba głowy niż dłoni. — I uderzył się w czoło.

— E! e! — zaśmiał się Dobek — obojga pono zarówno! Jak jedno będzie słabe, drugie się nie na wiele przyda.

Książę się uśmiechnął pańsko, próbując ręką wasa, którego jeszcze nie miał.

— Wiem ci ja, co mi potrzeba — zawołał dumnie. — W klasztorze mi

rozumu nie wycisnęli dusząc, a myśleć dość było czasu.

Dobek, któremu się tego dnia jakoś nie szczęściło, już chciał na inny przedmiot, mniej drażliwy, nawrócić rozmowę, gdy tumult się stał u wchodu i głosy jakieś podnosić zaczęły. Magnus natychmiast niespokojne oczy w to miejsce zwrócił, kędy tysięcznik jego Pałka, nawet hełmu z głowy nie

zdjąwszy, przez tłum się przeciskał, szukając go oczyma niespokojnie.

— A co tam niesiesz, Pałka? — zapytał z dala, przez głowy drugim, Magnus.

— Miłościwy wojewodo — głośno począł przybyły, którego reszta

starszyny niewiele obchodziła — tajemnicy w tym nie ma, godzi się i głośno o tym powiedzieć. Nasze czaty posła od króla oznajmują. Jutro tu ma być.

Usłyszawszy to zgromadzeni, ruszyli się wszyscy.

— Poseł od króla! Poseł? Sam? Z ludźmi! Gdzie? Kto go widział? —

poczęto wołać ze wszech stron.

Wstał i Zbigniew, ale z namarszczoną twarzą, poczuwszy urazę, że się z tym oznajmieniem do namiestnika zwrócono, nie do niego, który tu już pierwszym chciał być. Wtrącił głośno:

— Któż? Gdzie te posły? Do mnie?

Tysiącznik, mało co głowy skłoniwszy, dalej znów mówił do Magnusa, jako do swojego dowódcy.

— Poseł z niewielką garścią o milę stąd na nocleg stanął.

— A poczet ma duży? Słyszysz? — przerwał Zbigniew, chcąc na siebie zwrócić uwagę.

Pałka nie zbity z tropu, patrzył ciągle na Magnusa, wahając się z odpowiedzią.

— Poczet ma duży? — powtórzył namiestnik.

— Jest tam, słyszę, koni może ze dwa dziesiątki — odparł Pałka.

Magnus, który jak inni do zbytku na królewicza nie zważał, wtrącił od siebie.

— Nie wiecie, kogo do nas wysłano?

— Poważny jakiś człek — mówił Pałka — mówili, że się Wojstawem

zowie. Ode dworu i osoby pańskiej.

Popatrzywszy po otaczających, Magnus dał znak Pałce głową, że odejść może. Skupili się starsi, poczęli szeptać i naradzać się po cichu między sobą.

Widząc to Zbigniew, urażony, że go na boku zostawiono, podszedł ku nim, właśnie w dobrą chwilę, gdy się starszyna Magnusa otaczająca do drugiej izby ruszała.

— Cóż pocniemy? — zapytał królewicz, stojąc naprzeciw namiestnika.

Zmieszał się Magnus nieco, zawahał, ciężko mu było z odpowiedzią.

— Miłościwy Książę — rzekł wreszcie, pomyślawszy długo i nierad

widocznie, że mu się książę wtrącał — dajcie nam samym naradzić się, a rozważyć, potem ja Miłości Waszej przyniosę, co uradziemy.

Nie w smak to poszło książęciu,

— A jaż to się wam nie zdam do rady? — zawołał nieco gniewnie,

oczyma złośliwymi tocząc dokoła.

Magnus go odwiódł na stronę.

— Zostańcie, Wasza Miłość, tu, tak będzie lepiej — rzekł — zabawiajcie się, ludzi sobie jednajcie, my z sobą śmielej bez Was mówić będziemy. Sprawy są nasze domowe, Wam jeszcze nie znane... Tak lepiej.

Nie odpowiadając już nic, Zbigniew zagniewany poszedł się rzucić na ławę i podparł łokciem, nie tając, iż mu nie w smak było odsunięcie od rady, a zbywanie się jak młokosa. Tymczasem starszyna polska i czeska z Magnusem poczęła się wybierać do bocznej izby, którą za nią zamknięto. Kobiety z niej pewnie przez szpary musiały się przypatrywać zgromadzeniu, bo słyhać je było na widok Magnusa pierzchające, strwożone, śmiejące się i pokrzykujące.

Izba też to była dla rodziny i domowników, nie od gości, sprzęty jej mówiły o niewiastach, czuć było kądziel i zioła wonne, nabiął i jadło. Magnus, nie mając już gdzie, wprowadził tu starszynę, odprawiwszy niewiasty do kleci.

Weszli milczący panowie. Kobiety zaraz drugie drzwi zasunęły za sobą. Chciał i Dobek wniść, ale mu Magnus w progu szepnął.

— Pilnuj swojego królewicza, a zabawiaj go, my tu radzić musimy. Co obradzimy, powiemy Wam.

Widać było z twarzy Magnusa niepokój jakiś i podrażnienie, inni też nie bardzo patrzali wesoło. Westchnął Magnus, odszedł nieco w głąb i do jednego z poufalszych odezwał się.

— A co? — rzekł — książęcia własnego mamy!! Mnichy z niego zrobiły, nie wiem co. Ni z pierza, ni z mięsa, ale królewska buta jest.

— Prawi niezgorzej — odezwał się drugi — języka dosyć ma, w głowie też jasno, tylko że do roboty się nie bierze, do konia i do żelaza go nie napędzić.

Rycerz z niego nie będzie tęgi.

— Patrzy jako zwierz, gdy go z nory dobędą — dodał trzeci.

Nie pochwalił nikt.

— Wszelako jaki on jest, lepszy będzie od Sieciecha — zakończył inny.

— Cóż z posłem od króla czynić będziemy? — zagał: Magnus. —

Wojśław to krewniak Sieciechów, ochmistrz królewicza, znam ci go, lepszy jest, niż się zda.

Wszyscy po sobie patrzali, głowami potrząsając, nikt z wyjawieniem zdania nie spieszył. Najstarszy Chramy odezwał się, brodę targając, jak miał we zwyczaju.

— Ha! Co się stało, trudno odrabiać. Zgodziliśmy się królewicza wziąć, trzeba przy nim stać.

— A jeżeli siłą zechce nam przemagać Sieciech — mówił Magnus. —

Mamyż krew rozlewać?

Nie odzywał się nikt.

— Czechy nas poprą i pomogą — bąknął jeden.

— Ano, pewnie, poprą tak, że zajadą i złupią — rzekł Magnus — zamiast Sieciecha będziemy mieli jakiego Przemyśla! Co myślicie? Jeśli się zładzimy zgodnie, dobrze. Jak ma wojna być o tego mnicha, ja grodu i ziemi na łup dla niego dawać nie myślę. Nastraszą się naszej siły, niech Zbigniew siedzi. Jak nas wojować zechcą, za zdrajców i nieprzyjaciół głosić, nie warta krwi naszej sprawa. Sieciech ma ludu dosyć.

— Oho! — zawołał Czech, który nieco dalej stał, a Dobrosław było mu imię. — Jakeście prędko wzięli sprawę, tak ją też rychło rzucacie. Tożeście się zgodzili królewicza trzymać i popierać.

— Nie wypędzamy go też — odezwał się Magnus kwaśno — ino wojna sroga rzecz. Kiedy musu do niej nie ma, lepiej nie poczynać.

— Skądże to wiatr dziś zawiewa? — wtrącił Dobrosław.

— Ten sam, co i wczora — mruknął Magnus — rozumu zawsze trzeba.

Sieciechowi strachu napędzić, aby nam tu nie bruździł, nie królował, toć trzeba, a od swoich odstać i ze swymi się zarzynać!!!?

Warknął Czech coś niewyraźnie, inni za Magnusem trzymali.

— Królewicza nie opuścimy — rzekł jeden — a na rzeź się za niego też nie damy. I jego nie uratujemy przez to, i ludzi nagubim.

— Gdy poseł przybędzie — ciągnął Magnus dalej — powiemy mu, że



przeciw królowi podnosić się i z królem wojować nie myślimy, przeciw Sieciecha występujemy. Niech sam król, nie on panuje, niech ludzi nie wygania, niech głów nie strąca, oczów nie łupi. Dostyc było Sieciechowych rządów, jam tu z ramienia pańskiego, niechże mi równy nie rozkazuje.

— A jak król nie przystanie? — zapytał Chramy — jak się nas nie ulęknie?

Pogładził się Magnus po łysinie.

— Ja grodu na łup nie dam — rzekł — a czyja wola w polu się potykać, nikomu nie zbronno.

— Tak lepiej — dodał drugi z boku. — Kto ma wolę rozprawiać się

oreźnie, niech z murów wyciągnie. Grodu szkoda, na obleżenie ani żywności, ni gotowości nie ma.

— Ani ochoty — zakończył Magnus. Milczał trochę, a potem dodał:

— Prawdęli rzecz? Po królewiczu więcej spodziewaliśmy się. Na kleryka on pewnie dobry, a będzieli zeń żołnierz, nie wiem. Z oczów mu groźno patrzy, z gęby mu słodko płyną słowa, a ręce wiszą. Ni do konia, ni do miecza ochoty nie ma. Włożył zbroiczkę, nie dotrwał w niej pół dnia, już mu barki gnioła, aż się skrobał.

Rozśmiało się kilku, nikt nie sprzeciwiał.

Rozpocynały się narady, gdy, drzwi przebojem otwarłszy, Zbigniew się zjawił, ciągnąc Dobka za sobą. Wstyd mu było z rady zostać wykluczonym.

— Cóżście uradzili? — rzekł od progu, miotając oczyma, aby wyczytać im prawdę z twarzy, nim ustami skłamią.

— Tak jak nic — odezwał się Magnus, wodząc wzrokiem po swoich —

zobaczmy, co jutro pokaże. Nie wiemy, co poseł niesie.

— A ja wiem — przerwał Zbigniew — jasna rzecz, zechcą, abyście się poddali, mnie katom w ręce dając. Oburzyli się wszyscy.

— Nie bójcie się, Miłościwy Książę — odparł Magnus — wziąć Was z

między siebie nie damy. Zawczasu dziś mówić o jutrze, nie wiedząc, co ono przyniesie, ale zdrady się nie dopuścimy. Król, gdy posyła, znać chce zgody.

Byстрыm spojrzeniem po twarzach poznał Zbigniew, iż przed nim tajono sprawę, a zbytniej dlań miłości nie było. Zgadł niemal, co się święciło.

— Miłościwi Panowie — odezwał się, podnosząc głowę. — Nikogom ja

nie prosił, aby mnie z klasztoru wyciągano, samiście to, po dobrej woli, uczynili. Teraz, gdym ja swobodny, o prawa swe się upomnieć mogę, nie ustąpię od nich. Jeżeli poseł niesie zgodę i to, co mi należy jako króla synowi, dobrze. Zechćali mnie znowu zamurować, a opuścicie wy mnie, pójdę do Czechów, pójdę do cesarza, pójdę do pogan bodaj, a praw się upominać będę.

Mówił żywo, przejęty mocno i kilka głosów odezwało się:

— Nie opuścim Miłości Waszej, nie opuścimy.

Magnus stał milczący długo.

— Będziemy przy Was i za Wami — odezwał się — tylko w grodzie się zamykać niebezpieczna rzecz. Gród macie jeden w ręku, dać go na zniszczenie?

Nie godzi się. Przyjdzie do orężnej rozprawy, potrzeba ciągnąć w pole.

Zbigniew się zadumał.

— Pewnie, byle było z kim w pole iść — rzekł. — Toć i dziecko wie, że gdy za murami tysiąc ludzi przeciw sześciu tysiącom bronić się może i obronić, w polu równe siły mieć trzeba.

— Prawda! prawda! — potakiwać zaczęto, dając się ująć wymowie.

— Zatem co? — wtrącił Dobek — skąd wziąć, to wziąć, lud zbierać

trzeba i siłę gromadzić. Czechy nam pomogą.

— Pomożemy — rzekł Dobrosław.

— Szlązaków pancernych i tarczowników, jazdy i pieszych, co od załogi zostaje, niech idzie z wami — odezwał się Magnus. — Nie będzie tego wiele.

Księżę w ziemię patrzył, lecz trwogi na nim widać nie było.

— Tak — począł, głos niższy — tak, panowie mili, nie prosiłem się ja z klasztoru, ale się do niego nazad wsadzić nie dam. Ludzi choćby z piekła muszę mieć.

Na to wspomnienie piekła w ustach kleryka kilku się trwożliwie

przeżegnało i cofnęło.

Z twarzami posepnymi stali dokoła wszyscy, radzić więcej się nikomu nie chciało. Dwu bliższych drzwi wysunęło się zaraz do pierwszej izby. Wkrótce i trzeci pociągnął za nimi.

Mało poczekawszy, dwu znowu zbliżyło się do wniścia i znikło. Magnus tylko i Dobek ze Zbigniewem zostali.

Zbliżył się Dobek z Morawicy do namiestnika.

— Na ludzi — odezwał się — trzeba złota i srebra, a skąd ich wziąć?

— Ja nie mam — krótko rzekł Magnus.

— Ani ja — dodał Dobek.

— Ni też ja — śmiejąc się szydersko, dodał Zbigniew — zabrano mi

wszystko i dano bodaj klasztorowi, a na co święcona woda upadnie, tego już nazad nie wyrwać. Przecie po ojcu mi się coś dostać musi. Kto mi zawierzy, temu ja stokroć zawdzięczę.

Namiestnik namyślał się, wahał, przysunął powoli do księcia i szepnął z cicha:

— Może na to znaleźć się rada. Co się jutro z posłem uczyni, to nam powie, co dalej mamy przedsiębrać. Do jutra śpij Wasza Miłość spokojnie.

Sklonił się nisko. Nie pozostało nic, tylko nazad do izby powracać, ku której Magnus prowadził. Zbigniew wyszedł nadąsany i gniewny, w progu na Dobka skinąwszy. Nie zatrzymał się już między gośćmi. Szedł wprost do izby, która mu była przeznaczona.

Miał już i dwór swój, i urzędników, i służbę, bo mu się na nią Czesi i polscy wygnańcy, co go sprowadzili, złożyli. Zaraz w pierwszych dniach ukazało się, że do występowania gromadnego, dwornego, strojnego i hałaśliwego największą przywiązywał wagę. W drodze już począł się troszczyć, by jego krwi królewskiej odpowiednio co najrychlej się urządzić. Chwytał ludzi, jacy się stręczyli, odziewał ich jaskrawo, dwu, co na rogach grali, zabrał z Saksonii, innych ze Szląska pościągał, od panów wyprosił, konie sobie darowywać kazał, dwór przybierał i stroił. Więcej mu o to szło niżeli o samą sprawę. Za próg zamkowy teraz nie ruszył się bez gromady, którą za sobą wszędzie ciągnął. Musiał jeden przed nim miecz nosić jak przed książęciem udzielnym, drugi tarczę malowaną, dwu przeraźliwie trąbiło, inni okrzykiwali, lud rozpędzali, wołali: — Pan jedzie! Z drogi!

W tym jednym najbardziej królewska się w nim krew okazywała;

przepychowi jaskrawemu był rad, a gdy prawdziwego mieć nie mógł, jako tako kłamanym się odziewał. Pysnił się tak z sobą i gawiedzi podziwieniem chciał

być koniecznie. Śmiał się, widząc wybiegających z chat ludzi, głowy wyglądające przez okna, chowające się za węgły dzieci i dlatego tylko na koń co dzień siadał, aby się z trębaczami i dworem zabawić pokłonami ludu. Im więcej koło niego wrzawy czyniono, tym szczęśliwszy był, na zabój w rogi grać, w bęben bić, o żelazo szczękać nakazując.

Starzy na to potrząsali głowami, a widzieli w tym pańską dumę, która zresztą w owym wieku przystała książętom i była w obyczaju.

Na zamku izba najprzedniejsza z belkami rzezanymi wzorzysto

przeznaczoną dlań była. Nie brakło w niej nic, co do wygody i ozdoby służyć mogło.— Gromadka zjednanych przyjaciół, nazwana drużyną, poprzyodziejwana dziwacznie, otaczała go już, wierząc w jego szczęście i gotowa zań karku nastawić. Wszyscy za Dobkiem i księciem pospieszyli, czując, że potrzebni być mogą. Szedł i Zahoń.

Choć nikogo za serce pochwycić nie mógł Zbigniew, królewska jego

kręć, nadzieja panowania, łask i datków, ludzi doń ściągała. Dobek szedł z nim jako pokrewny, spodziewając się nim zawładnąć i kierować, inni, że nic lepszego do roboty nie mieli, a nadzieję jakąś świtającą widzieli. Słuchali go wszyscy, podziwiając mowę łatwą, dopomagali do śmiechu, gotowi byli na wszelaką służbę. Zahoń najlepiej błaznował, śmieszył i najniżej się kłaniał, za co był w łaskach.

Reszta drużyny niewiele była warta. Na wodza do przyszłego wojska, którego jeszcze nie było, nastęrczył się i wparł niemal gwałtem człowiek, który pono wiele po świecie wojował, a z wojen oprócz wyprawnego języka i skóry podziurawionej nic nie przyniósł. Kto on był, dojść nie umiał nikt; Szlązakiem się mienił, przysięgał, że z Głogowa był rodem, choć tam już nie miał nikogo i nikt go tam nie znał. Powiadał, że wojował długo na Węgrzech, że królowi Szczodremu służył, że Ruś znał jak własne kieszenie, królom czeskiemu i węgierskiemu był ulubiony i tylko go zazdrość z ich dworów wypchnęła, że na cesarskim też długo przebywał i do Włoch z nim wędrował, gdzie też nieprzyjaciół się dorobił swą cnotą. Cnotliwym się mienił wielce, a przez cnotę nieszczęśliwym. Cesarskich teraz nie lubił i psy na nich wieszał. Człek był

jeszcze urodziwy, postawny, wyszczekany, językiem do wszystkiego gotów, ruchawy pozornie, a gdy przyszło co czynić, posługujący się i popychający drugich, krzyczący tylko głośno, a niewiele skuteczny. Do misy i do dzbana pierwszy się zawsze stawiał i najdzielniej koło nich chodził. Chociaż skarżył się, że był porąbany w wojnach okrutnie, a włos mu już szpakowaciał, chciał jeszcze służyć, jak powiadał, szczególnie pod takim księciem, którego na pierwsze wejrzenie pokochał nadzwyczajnie. Kłaniał się do stóp królewiczowi, lizał mu ręce, rozpędzał przed nim ludzi, chodził przodem z głową odkrytą i pochlebstwy go zjednał.

Zwał się Marko Sobiejucha. Ten bodaj na głównego wojewodę swatał się Zbigniewowi; a że gadał bardzo wiele i zabiegał nieustannie, już był prawie pewien swego. Dwu też Czechów, Rawitów, ludzi milczących i cichych, przyjął

był sobie Zbigniew, z tych jeden Przemko podczaszym był, drugi Leszko podkomorzym. Nie zbywało na innych dworakach, a co dzień stręczyli się nowi, których nie pytając przyjmowano, byle kto kaftan cały miał. Ci, co występowali w lepszej odzieży, pewni byli wyższego na nowym dworze dostojęstwa. Dobek z Morawicy, opiekun najdawniejszy, w zaufaniu był i łaskach.

Gdy się do izby wtoczył dwór książęcy za nim, znaleźli tu Marka, tylko co ze snu przebudzonego, bo się po mocnym piwie wywczasowywał, dużo z nim wprzódy nadokazowawszy.

— Mnie się widzi — odezwał się Zbigniew, obejrząwszy po swoich, że obcego nie było — mnie się widzi, iż na panów Szlązaków niewiele rachować mogę, potrzeba myśleć o sobie.

— Święte słowa — wtrącił Marko — złote słowa, nikomu na świecie

wierzyć nie należy, nikomu.

— Sieciech — ciągnął, nie zważając księżę — Szląska nie puści, póki go nie wywojujemy na nim. Trzeba ludzi. Jeżeli nie znajdę innych, do Pomorców ślać potrzeba zawczasu, ci staną.

Dobek głową pokręcił.

— Ciężka z takim druhem sprawa — rzekł — nie wiecie, co to za lud.

Poganie są okrutni; pójdą oni dziś z Wami, jutro na Was, a wiary nie strzymają nikomu.

— Co? — podchwycił Sobiejucha. — Ja ich znam. Szkalują ich, żołnierze dobrzy, ludzie nieźli, jak słowo dadzą, strzymają. Prawda, że łupią, a któryż wojak nie łupi? Na to wojna.

— Znasz ich? — zawołał Zbigniew. — Jedź zaraz na Pomorze, do

Gniewomira, do innych, jednaj ich dla mnie.

Marko stanął jak wryty, we włosach ręką przebierając, zafrasował się.

— Ja ich znam? — rzekł. — Nie ma wątpliwości, nikt na świecie lepiej ich nade mnie znać nie może, ano jechać tam niepodobna mi. Ząb mają do mnie, powaśniłem się z nimi i ubiłem kilku, a krwi oni nie darują. Znajdziemy takich, co do nich pojadą.

Dobek radził z Krakowskiego ludzi ściągnąć, gdzie lud był ochoczy i rażny, Czesi swoich stręczyli i, nim dzień zaświtał, wyprawiono posły na wsze strony potajemnie, Magnusowi nie mówiąc słowa.

# VI

Nazajutrz rano, gdy się u bram orszak Wojsława ukazał, domagając

wpuszczenia z królewskim słowem, rozkazy już były wydane, aby go na gród do namiestnika prowadzono. Wojsław niezbyt pańsko wystąpił, nie nadto okazał, nie miał nad jakie dwadzieścia koni z sobą. Dodany mu był duchowny, wikariusz z Płocka, ksiądz młody, imieniem Teodor, bo naówczas żadne się poselstwo, żadna czynność ważniejsza bez duchownego rady i nadzoru nie obchodziła. Biskupi wyżej już stali jak wojewodowie i królowi pilno na ręce patrzali. Znał też Sieciech krewniaka swego, iż o ile twardym był, a nieugiętym, tak równie do słowa ciężkim i w wymowie nieobrotnym.

Zbigniew od rana nie wychodził z izby swej, wahając się, czy mu się ukazywać należało lub wszystko zdać na namiestnika, przy którym Dobka postawił. Dworowi wszakże swemu pogotowiu być kazał.

Poselstwo wprost od bramy, przeprowadzane przez gawieź ciekawą,

która za nim biegła aż ku dworowi, na gród się udała. Magnus już na nie czekał, całą starszyzną około siebie skupiwszy. Nienawiść ku Sieciechowi, pomimo obawy wojny, nastrojała gniewnie umysł.

W dziedzińce wjeżdżając, Wojsław dojrzał, rozglądając się ciekawie, iż wszędzie ludu zbrojnego moc była wielka, jak nabito żołnierza, między którymi sporo Czechów poznawał. Posłańcowi z królewskim słowem uchybić nie chcąc, Magnus do progu wyszedł przeciwko niemu. Odział się na dzień ten

świętecznie, ludziom też zbrojnym na grodzie przykazał, aby wdzieli odzież i zbroje przystojne. Zsiadającego z konia przywitał w przedsienu. Spotkali się milczący, mierząc oczyma, po czym Wojsław z księdzem Teodorem szli do izby razem, gdzie czekała starszyzna liczna, jak na radę zgromadzona. Mógł już tedy rozpoznać Wojsław, że niespodzianym tu nie był, że o nim wprzód wiedziano, gotowano się na przyjęcie, myślano, jaką mu dać odpowiedź.

Do izby wszedłszy, rzucił oczyma poseł, azali nie ujrzy Zbigniewa, którego by się był domyślił, choć go nie widział od dziecka. Lżej mu się stało, gdy go nie zobaczył. Dokoła tylko, na ławach siedzieli ludzie posepni gromadnie, ciasno, z brwiami namarszczonymi, z twarzami groźnymi, dłonie na mieczykach, milczący i jak do sądenia gotowi. Tu i ówdzie spostrzegł twarz dawniej sobie znajomą, a wrogą; te, których nie znał, jawnie okazywały, że nie lepiej myślały. Wstali niektórzy, inni się nawet nie podnieśli, szmer dał się słyszeć, za wchodzącymi wtoczyło się więcej jeszcze ciekawych, wszystko zbrojne, nachmurzone. Do ucha mogły dolecieć słowa i śmieszki niemiłe, lecz Wojsław zimnym na to był i jak wszedł powolnie, tak nieustraszonym okiem obiegił ławy dokoła obojętnie, zwrócił się do Magnusa i rzekł:

— Miłościwy Pan król Władysław mnie do Was przysyła.

Namiestnik wskazał duchownemu i jemu miejsce przy sobie, milczenie trwało głuche dość długo, a że Wojsławowi do słowa przyjść tak zrazu łatwo nie było, prosił ks. Teodora o wyłączenie.

— Miłościwy Pan Władysław przysłał nas — począł ks. Teodor — chcąc wiedzieć, prawdali to jest, że przyjęliście tu Zbigniewa, którego on chciał mieć w klasztorze? Prawdali, że przyjęliście zbiegów i zdrajców, którzy na karę zasłużywszy, chroniąc żywota, do Czechów puciekali?

Wstrzymał się ksiądz, Magnus obrócił ku nim i rzekł po krótkim namyśle:

— Królewicza Zbigniewa i biednych ludzi, co się, niesprawiedliwie prześladowani, tułali po obcych, przyjęliśmy. Tak, prawda jest.

— Więc winniście zdrady i nieposłuszeństwa — wtrącił sam Wojsław.

— Nie jesteśmy jej winni — rzekł Magnus. — Królewicz nieszczęśliwy miłosierdzia się ojcowskiego domagał, a zbiegowie, bracia nasi, przeciw królowi nic nie zawinili.

Gdy to mówił, z ław dokoła dało się słyszeć mruczenie naprzód, potem kilku zawołało:

— Nie zawinili przeciw króla, pana naszego, ino przeciw Sieciecha...

— Przeciw Sieciecha! — kończył Magnus. — Złości a samowoli pana

Sieciechowej dłużej nikt z nas znosić nie chce.

— Nie! nie! Nie będziemy jej więcej cierpieli. Nie! — poczęli z ław odzywać się siedzący śmielej coraz.

— Z Czechami się przeciw własnemu królowi wiążecie, na własny kraj następujecie — odezwał się Woj sław z wolna. — Król o wszystkim wie.

— Źle wie — zawołał Magnus goręcej — nie chcemy tak samo czeskiego panowania jak Sieciechowego. Niech król sam nami rządzi albo niech nam syna da. Sieciecha nie chcemy!

— Sam król was zdrajcami mieni — odrzekł ks. Teodor — woli jego nie jesteście posłuszni.

— Innego tu zdrajcy nie ma — wyrwał się Dobek, stojący za Magnusem

— tylko Sieciech jeden! On to miłości pańskiej nadużywa, on z kraju wierne jego sługi pędzi, on prześladowuje, on obdziera, on nieprzyjaciół robi — on...

Chórem z ław wszystkich, coraz śmielej, głośniej coraz, zaczęto już krzyczeć niemal, zapalczywość rosła.

— On! Sieciech! Zdrajca!!

Wojsław i towarzyszący mu duchowny postrzegli, że niebezpiecznym

było zbyt ostro przemawiać, bo umysły już się oczekiwaniem zburzyły i rozjątrzyły same. Spojrzeli po sobie. Wojsław sam z wolna począł z chłodną krwią, która go nigdy nie opuszczała.

— Nie z panem wojewodą Sieciechem to sprawa, ale z panem a królem naszym. Ja nie od Sieciecha, ale od niego tu przysłany idę. Co komu do woli i postanowienia królewskiego, który chciał tego, aby dziecko poboczne w klasztorze się chroniło, a sromoty mu nie czyniło? Nie godzi się nikomu stawać pomiędzy ojcem a dziećciem; ojciec każdy, gdyby i królem nie był, ma prawo nad swoimi. Wolno mu z nimi czynić, co chce. Dlaczegożście srom królowi uczynili?

Dobek się wyrwał:

— Jako żywo dziecko pobocznym nie jest. Matka jego, ziemianina córka, tak dobrze żoną była pańską jako która Judyta i syn to tak dobry, jak by się z królewnej rodził, skoro ją pan Władysław swego czasu miłował i za żonę trzymał. Srom czyni królowi, kto krzywdę czyni dziecku, nie my!! Nie my!

— A zbiegowie i zdrajcy? — spytał Wojsław.

Tak nazwani zdrajcy i zbiegowie siedzieli naprzeciw mówiącego na

ławach, Dobek też do nich się liczył, więc skoro to słowo rzekł, szmer, wrzawa i zburzenie powstało wielkie. Magnus, chcąc nad nim zapanować, podniósł się, wstał i rękami a wołaniem począł zażegnawać ową burzę, ukazując, że sam mówić pragnie.

Ucichło po trosze.

— Powiem, co na sercu mam — zawołał — kryć prawdy się nie godzi.

Zbiegowie to są, którym nie król, ale Sieciech dokuczył, i nie od króla, ale od Sieciecha uciekali, bo na ich gardło nastawał. Nie wiemy już, kto u nas panem, Władysław król czy Sieciech? On zagarnia pod siebie wszystko, krakowskim wojewodą jest, niech na Krakowie siedzi, a nam da rządzić, gdzie nas postawiono. On wojsko całe ma w ręku, on grody, zamki, urzędniki, dwór, on króla i królowę, on królewicza. Ino już nie widać, gdy zapragnie, aby sam panował. Tego my nie zniesiemy, tego my nie damy uczynić. Równy nam ziemianin jest.

Znowu nie mogąc się powstrzymać, krzyknęli wszyscy:

— Nie zniesiemy tego! Nie damy!

Ci, co siedzieli dotąd na ławach spokojnie, wstali, zaczęli się poruszać gromadnie, skupiać i postępować na izbę. W głowach szumiało, paliły się twarze, wyrwały słowa grube, łajania ostre, przekleństwa i pogróżki.

Wojsławowi słyszeć ich nie godziło się, rozumieć nie było można. Magnus, który rad był uspokoić Szlązaków, rękami dawał znaki gwałtownie, ale bezskutecznie. Rozpręgał się ład, jeden od drugiego zarażał się gniewem, powstrzymać było trudno.

Wojsław pobladł trochę, ksiądz Teodor wstał i chciał począć mówić, ufając w to, że go suknia osłaniała. Zamilkli niektórzy, ale w dalszych rzędach i głębi wciąż jeszcze szumiało:

— Między króla a jego urzędniki któż ma prawo wchodzić? — rzekł



ksiądz. — Nie nasza rzecz sądzić, co król czyni. Komu źle, niech się skarżyć idzie.

— A tak! Słyszycie! — krzyknięto z cizby. — Ho! Albo go to dopuszczają?

Na drodze go wezmą, do ciemnicy zasadzą, jak Janka z Borku, jak Ludka Doliwę, jak Andrka z Bolimowa, co mu głowę Sieciech uciąć kazał. Król, mówicie, albo my to króla mamy? Nie Sieciech królowi, ale pan nasz Władysław panu Sieciechowi służy!

Smieszki urągliwe dawały się słyszeć tu i ówdzie. Wojsław blady wstał:

— Nie wolno mi słuchać tego, co mówicie, bo nieprawdą to jest, a

oszczerstwem. Ci, co się z posłuszeństwa wyłamują, na Sieciecha wołają, bo do woli królewskiej zmusza. Sieciech praw, nieprawi ci, co nań nastają!

Słów tych ledwie mógł dokończyć, gdy wrzawa wzmogła się gwałtownie i zagłuszyła go. Popędliwy Dobek pierwszy miecza dobył z pochew, drudzy też, zobaczywszy to, chwycili się do żelaza, kto co miał, nóż, mieczyk, topór, podnosząc do góry. Zgiełk powstał straszny, cisnąć się zaczęto groźnie ku posłom tak, że Mągnus, poskoczywszy w czas, ręce rozpiął, sobą ich zastawił i od pierwszej napaści obronił.

Na mało by się to jednak było przydało, bo rozjątrzenie było straszne, a nienawiść wygnańców ku Sieciechowi taka, że na krewniaka jego, co śmiał

stawać w obronie wojewody, rzuciliby się byli i rozsiekali niechybnie, gdyby z drugiej strony o. Teodor nie stanął, a na księdza nikt nacierać nie śmiał. Ława stała niedaleko drzwi do drugiej izby prowadzących, namiestnik prawie gwałtem popchnął w nie Wojsława, sam ciągle go sobą okrywając. Poseł z księdzem ledwie mieli czas wpaść do bocznej izby i drzwi zaprzeć za sobą, gdy tłum runął

na nie rozwścieczony i bić począł rękami i mieczami, z zapamiętałością taką, iż Magnusa nawet słuchać nie chciano i nie poszanowano.

Jak to zwykle bywa, gdy jeden pierwszy da hasło, tłum się da pociągnąć i siła w nim liczbą rośnie; pomiarkowanie i pamięć stracono, miotano się, nie zważając na kogo. Rozbijali jedni drugich, do drzwi się cisnąć. W Wojsławie Sieciecha widziano i krzywd się chciano pomścić.

— Zabić! Rozsiekać! — krzyczeli przodujący.

— Sieciechów służka, na gałąź z nim!

Szczęściem drzwi, za którymi skrył się Wojsław z ks. Teodorem, dębowe były, grube, kute i do wyłamania niełatwe, choć wszyscy się na nie zwalili, barkami je chcąc wyważyć, nie słuchając Magnusa, który całą siłą głosu i ramienia im się opierał.

Na całym zamku zburzyło się i zawichrzyło. Widząc, co się w izbach działo, pachołkowie i czeladź starszyny na ludzi Wojsławowych wpadali, spędzili ich z podwórza, aż się do szpichrza skryć

musieli przed nimi, zasunąć i założyć, aby życie ocalić. Zaczęto ich tu oblegać i kamieniami ciskać.

Zbigniew, posłyszawszy wrzaski, choć zrazu się porwał biec także, strwożył się wprędce o siebie i Marka Sobiejuchę posłał tylko na zwiady, co się tam stało. Do podobnych spraw, gdzie dziesięciu na jednego idzie, Marko był

najlepszy, wrzasku rad przyczyniał i drugich popychać był gotów; zobaczywszy, o co szło, rzucił się ochotnie i resztę spokojnych ludzi pociągnął za sobą.

Zakipiało wszędzie, nikogo nie słuchano. Szturmowano do drzwi i do szpichrza coraz gwałtowniej. Drzwi, za którymi skrył się Wojśław z księdzem, runęły nareszcie wyparte, wrzeczadze pękły; tłum wpadł z mieczami do komory, ale Wojśław miał czas ujść od dawna. Wylękłe niewiasty dały mu się skryć na strychu, od których drabiny odjęto i pochowano.

Napastnicy w izbie pustej nie znaleźli nikogo, a z drugiej patrzyły niewiasty, stanawszy śmiało ze starszymi na czele, bo wiedziały, że im się nic stać nie może. Magnusowa żona w białej namitce i szubce jedwabnej zaparła im drogę. Ręce założywszy na piersiach, z brwią namarszczoną, patrzyła na oszalałych spokojnie, ani się nawet odzywając. Cofnęli się przed nią, rozbiegli po kątach, ale nikogo nie znaleźli.

— Darmo się nie trudźcie — odezwała się w ostatku groźno stara

niewiasta z wyrzutem do Dobka. — Gościny nie umiecie szanować, a myśmy mu dawno konia kazały dać, aby uchodził. Nie ma go na zamku!

Ochłonęli jakoś oszaleli ludzie, cichy ten i spokojny głos posłyszawszy, stanęli, miecze do pochew wkładając. Magnus nadszedł gniewny, łajac i bezczeszcząc, wyganiać ich nazad do wielkiej izby.

I jak się ten ogień od jednej iskry począł, tak też rychło uśmierzył, jedni sami przyszli do opamiętania, drudzy się wzięli zagorzałych imać, odciągając, hamować i poskramiać. Wrzawa powoli ustawała, pojedyncze głosy tylko podnosiły się w górę z odgrózkami na Sieciecha, na Wojśława, a nawet i na króla samego.

Marko Sobiejucha, przodem zawsze idący, gdzie niebezpieczeństwa nie było, u szpichrza dokazywał, aż go z rozkazu Magnusa precz odegnano. Zajrzał

potem do izby i do Zbigniewa ruszył, aby go ściągnąć tam, gdzie się jeszcze ucierano, bo mógł z tego rozjątrzenia dla siebie korzystać. Królewicz się wahał

jeszcze, lecz poszedłby może, gdyby od Magnusa nie przybiegł komornik z prośbą a zaleceniem, żeby się nie pokazywał, dopóki spokój nie wróci.

Wojewoda i tak miał do czynienia wiele, by umysły rozjątrzone ukołysać.

Marko Sobiejucha, Dobek i inni zebrani przy Zbigniewie, radzi sprawę doprowadzić do ostatka, aby wrocławian wmieszać w wojnę, na Magnusa wykrzykiwać zaczęli.

W wielkiej izbie uciszało się, gdy tu zgiełk powstał.

— Namiestnik na dwu stołkach siedzi — krzyczał Dobek — my tu z nim nie sprawimy nic, próżno się nań oglądać.

— Przechera, zdrajca jest, niegodziwiec! — wołał Sobiejucha —

mówilem od początku, to wieprz tuczny, co swojego brzucha ochrania.

— Co poczniemy? — pytał Dobka. Zbigniew milczał gniewny.

— Nas tu jutro królowi oddadzą, z postronkami na szyjach — odezwał się Dobek.

— Zewsząd zdrada — mówił Marko — królewicza w matnię zagarnęli.

Usłyszawszy nową wrzawę, która z mieszkania królewicza dochodziła, Magnus sam dobiegł niespokojny dowiedzieć się, co tu się burzyło. Otworzył

drzwi, powitano go spojrzzeniami jak wroga.

— A cóż? — począł, poskakując ku niemu, Dobek. — Sieciechowego

bratanka Wy bronicie i osłaniacie!! Wy! Jeszcze nas powiązanych oddać mu gotowi!!

— Bronilem go tak, jak bym bronił Was — rzekł surowo Magnus,

mierzając go oczyma — gdyby oni mordować chcieli. Robię, co mogę i com powinien, więcej ani na włos. Posłyszeli prawdę, czekamy końca. Jeżeli król przybędzie z wojskiem, mówię otwarcie, bojować nie będziemy, oblegać się nie damy, a Sieciechowi i w oczy powtórzę, com rzekł.

Zbigniew słuchał, z boku stojąc, blada twarz jego zaogniła się gniewem, brwi ściągnęły, nie odpowiadając Magnusowi, odwrócił się do swoich i zawołał

głośno:

— Cóż my tu dłużej czynić będziemy, gdzie Sieciechowych bronią, a o nas nie myślą? Precz chyba iść!

— A iść! Iść! — powtórzył Dobek.

— Marko — odezwał się książę — kto ze mną trzyma i chce iść razem, ludzi zwołać, strąbić, na koń, w pole, położymy się obozem, bezpieczniejsi będziemy!

Sądził zapewne, że namiestnik wstrzymać go zechce, lecz Magnus

popatrzał, skłonił głowę i rzekł:

— Gwałtem Was strzymywać nie będziemy. Ja Was tu, Miłościwy Panie, nie powoływał, nie

obiecowałem nic. Mnie proszono, nie jam prosił. Chcecie iść, otwarte bramy, szczęście Boże.

Ochłodli wszyscy i zamilkli.

— Prawdę rzec — odezwał się, uspokajając, wojewoda — nie ma tu co czynić w ciasnym grodzie, w pole przyjdzie wyciągnąć dziś czy jutro. Posłów uratowałem, wrócą do króla i Sieciecha z tym, co tutaj posłyszeli. Król wojsko już zbiera, ruszy na nas z nim. Ja miasta mu nie zamknę, bo wojny wydawać nie mogę.

— A my bić się musimy i będziemy! — krzyknął Dobek. Zbigniew mniej śmiało, ciszej powtórzył za nim toż samo.

— My się bić będziemy!

— Zatem Wam nie zostało nic, tylko w pole iść — zakończył Magnus.

Marko Sobiejucha, któremu we Wrocławiu wygodniej było niż w polu, niekoniecznie podzielał to zdanie, aby z miasta wyciągnąć, stał jednak milczący, zachmurzony, bo mu się przeciwieć nie godziło, gdy wszyscy jedno postanowili.

Ostygło jednak jak od zimnej wody wszystko. Zbigniew na próżno w swoich szukał gorętszego poparcia.

Wtem Magnus począł, zwracając się ku niemu:

— Wasza Miłość nie będziecie się na mnie gniewać, uczyniłem, com mógł, dalej nie zdążam i obiecywać nie chcę, gdy strzymać nie potrafię.

Gdybyście w mieście zostali, obiegną nas, ogłodzą, oskoczą i wezmą, głowy pod miecz pójdą. Bezpieczniej w polu. Ludzi nagubimy dużo i Was tu zguba by czekała; w szerokim polu, choćby się nie powiodło, jeszcze ująć można, do Czech schronić i lepszego czasu szukać.

— Ano, ano — odezwał się Dobek — może i Wasza prawda. Grodu

chronicie i o sobie myślicie, za to Wam nikt nic nie powie, ale po coście Sieciechowego bratanka ocalili! Nagubił dosyć naszych wojewoda, mieliśmy prawo się pomścić.

— I cóż by Wam z krwi jego przyszło? — odparł Magnus. — Król by jej nie pomszczonej nie zostawił.

Tak się skończyło owo poselstwo królewskie, choć nie krwawo, ale bez skutku. Gorętsi nieprzyjaciele Sieciecha, którzy na Wojsława godzili, domyślali się, że gdzieś ukryty na zamku być musiał jeszcze, a chcieli go szukać po kątach. Magnus z sobą u stołu zatrzymał ich długo, nie dając odejść. Mrokiem Wojsławowi i ludziom jego boczną furtą Pałka ułatwił ucieczkę.

Odetchnął dopiero namiestnik, gdy mu znać dano, że w pole wyjechali i bezpiecznie do lasów czas

mieli się dostać. Przewidzieć teraz było łatwo, że król natychmiast z wojskiem na Wrocław pociągnie. Rad się więc był pozbyć Zbigniewa i jego ludzi z miasta, ażeby gród od niebezpieczeństwa ocalić.

Nazajutrz już Marko Sobiejucha ruszał się, gromadząc swych ludzi, zwołując Czechów, ściągając, co gdzie było ciurów a ochotników, którzy na wojnę i łupy czekali. Wygnańcy zjechali natychmiast, rozbiegając się po kraju, przyjaciół jednając i ochotników między nienawistnymi Sieciechowi. Nie było o nich trudno, gdyż wojewoda surowością swą naraził wielu, a jego pomocnicy i przyjaciele, ufni w swą moc, po ziemiach wszystkich byli znienawidzeni. O

królu nikt nie wspomniał, nie myślał; na Sieciecha się gotowali wszyscy.

Magnus karmił, poił i czym mógł opatrywał królewiczowskich ludzi, którzy powoli oddziałami w pole wyciągali. Za nimi i Zbigniew miał iść, acz jawnym już było dla najbliższych nawet, co mu sprzyjali, że ochoty do boju wielkiej nie miał, a głowę pełną tylko dumy — i pragnienie igraszki płochej, jaką sobie ze dworem czynił. Szyto mu chorągwie, strojono czeladź, zbierano urzędników, ściągano trębaczy i śpiewaków, bo o to się najwięcej troszczył.

Chciał też mieć i namioty książęce, obszywane, kraśne i pokrycia na konie szkarłatne, bez tego się nie chcąc ruszać w pole. Z grodu też dobrze zaopatrzonego ciągnąć precz w lasy i pustkowia, gdzie i głodem przymrzeć, i chłodem przyboleć, i biedy zażyć było trzeba, nie miał książę ochoty. Gdy go z klasztoru brano, spodziewał się do gotowego działu przyjść, wszystkiego znaleźć podostatkiem, a nie dobijać się swoich praw jeszcze. Narzekał, iż mu zawód srogi uczyniono.

W kilka dni już ostatki Zbigniewowych żołnierzy wyciągać miały i on gotował się, rad nierad, iść z nimi. Widząc go posępnym i złym, Magnusowi żal się krwi królewskiej zrobiło. Dał, co mógł, w końcu radę podszeptaną.

Wieczora ostatniego, gdy już w mieszkaniu Zbigniewa sakwy wiązano, węzłki ściągano i zabierano, opróżniając kąty, co się tylko dało zagarnąć, a Zahoń i dwór ciągle o coś jeszcze chodził się upominać u wojewody, Magnus sam poszedł do Zbigniewa, który od niego unikał.

Dobek ciągnął za nim w ślad, pilnując, aby królewicz sprawy sobie w czym nie popsuł lub się nie zadarł niepotrzebnie.

— Dam Wam na odjezdnym radę jedną — odezwał się Magnus —

posłuchajcie, nie pożałujecie.

— Czemu nie posłuchać, aby dobra! — odezwał się Dobek, który nie

dowierzał staremu i ząb doń miał od owego poselstwa.

— Nim wyciągniecie w pole — mówił stary — jedźcie do biskupa,

pasterza naszego, a proście go, aby, gdy król przybędzie, wstawił się za Wami.

Pobożny pan usłuchać go może prędzej niż innych.

Królewicz, zbytniej do tego nie okazując ochoty, zamruczał coś.

— Biskupie słowo wiele znaczy — ciągnął wojewoda — a o. Żyrośława król pan nasz szanuje wielce.

Dobek słuchał, milcząc.

— Jeżeli do niego pojedziecie, ja z Wami — dodał Magnus.

— Po co mi biskup, gdy wojnę prowadzić mam — odezwał się Zbigniew, lecz Dobek potrząsał głową.

— Choć nie wiem i ja po co, do biskupam iść gotów, księdza żadnego omijać się nie godzi, straszni ludzie są.

— Staruszek, ojciec nasz, dobry jest — dodał Magnus — pokłonu

uczynionego nie pożałujecie.

Nie było sporu o to, choć i wielkiej ochoty nie okazywali. Zbigniew dał

się pociągnąć.

Nazajutrz rano zakazał królewicz, aby dwór wystąpił okazale i licznie, wedle swojego upodobania, chciał nawet dwóch trębaczy z sobą prowadzić, aby, przodem jadąc, oznajmywali o nim, co mu ledwie Magnus odradził. Z żalem zostawił ich i śpiewaków a hałaśliwą część dworu, towarzyszącą mu wszędzie, bo i bez niej ludzi było do zbytku.

W czasie pobytu we Wrocławiu królewicza o. Żyrośław wcale się do

niego nie odzywał i do spraw tych nie mieszał. Mąż to był pobożny, spokojny, chorowity, nierad płać w zawikłania i spory. Dosyć miał do czynienia z duchowieństwem i ludem.

Gdy orszak królewicza zbliżył się do oparkanionego dworu biskupiego, służba, poznawszy Magnusa, zaraz o nim znać dała. Kapelan biskupi wyszedł na spotkanie i gości wprowadził.

Biskupa, który dla wieku i choroby z siedzenia prawie się nie ruszał, zastali skulonego we dwoje na poduszkach, w przyciemnionej izbie, w której przed obrazem mała paliła się lampa. Domyślił się starzec, kogo miał przed sobą; zobaczywszy Zbigniewa, strwożone oczy podniósł, przypatrując mu się pilnie. Książę z wielką pokorą, i butę swą straciwszy, do pocałowania ręki się przybliżył. Z podziwieniem postrzegł Magnus, iż twarz mu się nawet zmieniła wielce i złagodniała. Nie rzekłszy jeszcze słowa do nich, biskup skinął, aby go zostawiono sam na sam z królewiczem.

Magnus i Dobek do drugiej izby ustąpili, Zbigniew pozostał, ułożywszy pokorną postawę.

— Dziecko moje — odezwał się staruszek głosem słabym — boleję nad losem Waszym. Po co Was skuszono spokój klasztorny mieniać na niepewne losy?

Zbigniew, któremu może się przypomniały zakonne czasy, a może

uznawszy potrzebę uniewinnienia się przed ojcem duchownym, pragnął go zjednać dla siebie, złożył ręce na piersiach, spuścił głowę i niewyraźnie, cicho, niemal bojaźliwie zaczął bełkotać:

— Pochwycono mię siłą z klasztoru, Ojcie Przewielebny, nie mogłem się oprzeć. Zmuszono mnie dopominać się praw moich.

— Praw! praw! — pochwycił biskup. — Oszukano Cię, dziecko moje,

mówiąc o prawach, miłosierdzia tylko u rodzica żądać możesz.

— Ja, ja nie władne sobą — rzekł Zbigniew — starszyzna, panowie mnie wiodą. Nie moja wina!

Westchnął biskup, zdziwiony trochę wejrzał nań.

— Inaczej mi o Was mówiono — począł z politowaniem. — Cieszę się, dziecko moje, że przeciwko ojcu i królowi nie podnosicie oręża, grzech by to był wielki.

— Mam nadzieję — odezwał się, ośmielając, Zbigniew — że Wasza

Przewielebność raczycie przemówić za mną. Pozory są przeciwko mnie, lecz posłuszny iść muszę, zagrożony jestem, życia niepewien. Nieprzyjaciele wojewody chcą mnie mieć z sobą, iść z nimi muszę. Łzy leję w skrytości.

Zamyślił się o Żyrośław; nie posądzał księcia o fałsz a udanie, znajdował

go jednak tak odmiennym od tego, o którym słyszał, że uszom własnym wierzyć mu się nie chciało.

— Z ufnością w łaskę Waszą pasterską — ciągnął dalej książę — składam żal mój i utrapienie na łono jego. Nie chcecie wydawać mej tajemnicy.

Otoczony jestem ludźmi, którzy każdy krok mój i słowo śledzą. Ledwie uprosić ich mogłem, aby mi tu po błogosławieństwo Waszej Przewielebności przyjść było wolno.

Z ubolewaniem patrzył nań o Żyrośław i z dala drżącą go przeżegnał

ręką.

— Jeżeli król, pan nasz miłościwy, przybędzie tu — rzekł — będę się starał poruszyć serce jego dla Was. Chcesz wrócić do klasztoru?

Pytanie to niespodziewane wzruszyło mocno księcia, który się uczuł we własne sidła schwyconym. Zamilkł nieco. Namyslał się.

— Ostra reguła ojca naszego Benedykta ciężką jest dla mnie — rzekł, zawahawszy się. — Wyrwano mnie z ciszy klasztornej, powrót by był już trudny...

Śledził go biskup oczyma i nie rzekł nic na to.

— Nieszczęśliwe losy twe — dokończył po chwili — modlić się będę za ciebie, Bóg się ulituje. Serce króla anielskie, litości pełne.

Przeżegnał go raz jeszcze. Zbigniew, uniżywszy się przed biskupem, rękę jego drżącą ucałował.

O. Żyrośław dał znak stojącemu z dala naprzeciw drzwi kapelanowi, aby wojewodę wprowadził.

Wszedł Magnus, chcąc biskupa pożegnać, dłużej nie trując rozmową, lecz starzec zapytał go o poselstwo od króla. Wojewoda zaczął się otwarcie uskarżać na Sieciecha. Słuchał go o. Żyrośław cierpliwie, dał mu żal wylać i czynić zarzuty, a gdy skończył, westchnął boleśnie.

— Słyszę narzekanie na Sieciecha ze stron wszystkich — rzekł. —

Przypomnijcie sobie czasy pierwszych panów naszych. Ile to krwi kosztowało, nim się ziemie zdobyte zlepiły w jedno państwo, aby mieć siłę przeciw sąsiadom? Chcieli, aby znowu się rozpadły na łup Czechom, Rusi i Niemcom? Sieciech winien, że ciśnie w jednej dłoni, co się już rozsypuje!

Sieciech.

Nie mógł powstrzymać się Magnus.

— Tyranem jest! — zawołał. — Władzy mu się chce, królestwa dla siebie pragnie. Królowa z nim trzyma, a uchowaj Boże, chory pan zemrze, nie dzieci jego wezmą państwo, ale on, razem z siostrą cesarską. Powstajemy nań, bo zdrajca jest!

Gwałtowny wybuch wojewody pozostał długo bez odpowiedzi. O.

Żyrośław przebierał drżącymi palcami książkę leżącą przed nim.

— Napisano jest tu w tym piśmie, którego słowa prawdą są wiekuistą —

rzekł — iż zginie wszelkie królestwo rozdzielone w sobie. Pomnijcież na to, abyście w więzy obcych nie poszli, nie umiając swoim być posłusznymi.

Pomnijcie! Magnusie miły — dodał biskup — Wyż to myślicie wojnę syna z ojcem zażegać?

Namiestnik zamilkł, ale Dobek gorący na przód się wysunął:

— Nie my wojnę wydajemy — rzekł — Ojcie Przewielebny, nie my!

Bronić się będziemy tylko. Zbigniew pokrzywdzony jest, praw swoich szuka.



— Jakich praw — odparł starzec. — Na ojcu?

— Dobek się namyślił i rzekł:

— Na królu!

Potrząsał biskup głową i z litością odwrócił wzrok ku Zbigniewowi, który stał pokornie, oczy w ziemię wlepiwszy.

Tak się rozmowa skończyła. Gdy przystąpili do pożegnania, o. Żyrosław zbliżającego się Zbigniewa pobłogosławił nieznacznie, a do towarzyszących mu odezwał się głośno:

— Rad bym Was błogosławił wszystkich — nie wolno mi. Tym, co idą na wojnę, w której syn ma walczyć przeciw ojcu, błogosławić się nie godzi. Modlić się będę, aby Bóg odwrócił krwi rozlew, zesłał upamiętanie!

Dobek poruszony i przelękły już się miał ku progowi, pokłoniwszy się z dala, Zbigniew też odchodził, gdy Magnus przystąpił do ręki biskupa i szepnął:

— Ja na wojnę nie ciągnę. Wasza Przewielebność zechcecie mi pomóc do przejednania króla. Jakoście nam mówili słowa prawdy, rzeknijcie je panu naszemu, aby tyranii Sieciechowej koniec położył. Inaczej padnie w gruzy królestwo i rozsypie się.

Biskup nie odpowiedział nic, pochylił się już nad księgą i modlić zaczął.

## VII

Nie kwapili się z wyciągnięciem dworacy Zbigniewowi i on sam.

Wszystko było w pogotowiu, z dnia na dzień wyznaczano żegnanie się z Wrocławiem, nazajutrz czegoś brakło i królewicz rad odkładał wyjazd do obozu.

Magnus zbyć się był rad, a wyprosić nie mógł ostatka.

W izbie na zamku jednego z tych wieczorów kilku ludzi siedziało pod ścianami na ławach, między którymi Dobka z Morawicy i Marka Sobiejuchę widać było, nieco na uboczu rozprawiających z sobą. Obu twarze niewesołe były, stękali i wzdychali oba. Izba, jedna z tych, które dla gości pospolitych przeznaczano, naga, czarna była, wilgotna, zabrukana i ciemna. Kilku z drużyny Zbigniewa w niej sypiało, bo po kątach widać było wyleżane siano, skórami i sukniem ponakrywane. Stało i wiadro bodaj od piwa, nachylone, aby z niego wyczerpnąć było można ostatek, ale już próżne. Na stole walały się chleba prószyny, pod stołem leżały kości, miska i łyżka zapomniana czekała w kącie, by ją sprzątnięto.

Dobek z Morawicy, rozpuściwszy kaftana, zaczął chodzić po izbie jako człowiek, co myśli szuka, a znaleźć jej nie może. Inni nań patrzali tak, jak by od niego czekali czegoś, a doczekać się nie mogli.

Marek Sobiejucha, człek, co już nie z jednego pieca chleb jadał, a niewiele dbał, z jakiego się jutro będzie żywił, siedział u okna, za okno spoglądał i poświstywał. Przerwana rozmowa, widać to było po twarzach, zostawiła po sobie niesmak jakiś. Szło im na opak, kwaśni byli wszyscy.

Na ławach siedzący, owi, co tak bardzo szumieli, gdy Wojśław Sieciecha bronił, ofiary wojewody, sprzymierzeńcy królewicza, lica mieli posępne, ust teraz nie otwierali. Spoglądali po sobie, trzęsąc głowami, to na Dobka, który chodził rozpasany i spluwał, niby coś gorzkiego chcąc się pozbyć.

Po długim milczeniu, czasu którego jedni ziewali, drudzy palcami kręcili, inni się rozpierali na ławach, miejsca sobie dobrać nie mogąc, Dobek stanął i głośno kląć począł:

— Porwałoby go lichu! Porwało! Bodaj szczeł marnie.

— Kto?! — zapytał Marko od okna.

— Albo ja wiem, kto z brzegu! — zawołał Dobek. — Dużo bym ich dziś dał lichu na przekąskę! Nie ma bo ludzi na świecie! Nie ma! Choć kamień do szyi i w wodę.

— He! he! — przerwał Marko — na to zawsze czas. Wiecie, co powiem?

Jam już nie jeden raz bywał w takich opałach. Dwa razy stałem nad Dunajem, a raz nad Renem, myśląc: Ano? Plusnąć by? Nie było już co robić! Nie plusnąłem i dobrze się stało, bo ot się jeszcze żyje i ciągnie. Raz, pamiętam, u morza chciało mi się iść dać rybom zjeść, poczekałem z tym i chodzę po świecie. Na to zawsze czas.

— Chcieliśmy się ratować od Sieciecha — rzekł Dobek, niewiele go

słuchając — poszliśmy do Czech, do pana Brzetysława. Tylko że nas, i tam nie kopnięto nogą. Na ostatek doradzili nam królewicza wziąć. Myślałem, żeśmy Pana Boga za nogi złapali. Serce się uradowało! Magnus się obiecał, że go przyjmie. Mogłoby być lepiej? Patrzcież, co z tego urosło... królewicz, choć mój krewniak... królewicz...

To mówiąc, Dobek głową począł kiwać. Nie kończąc, spojrzął po

słuchaczach. Na ławach siedzący kiwali, potakując głowami, kilku się nawet uśmiechnęło. Marko czekał, jak się to dalej rozwinie, ani się przeciwił, ni pochwalał.

— Królewicz, choć mój krewniak — powtórzył Dobek — ni z pierza, ni z mięsa. Licho wie, czy go w kołysce baby nie zamieniły; nic tam królewskiego nie ma prócz buty. Je i pije dobrze, zęby wyszczerza niczego, łajać potrafi, huk i wrzawę koło siebie, świecidła i brzękadła lubi, a żeby się tak wziął do konia, do włóczni, rycerskie serce okazał, jeszcześmy nie doczekali.

— Ano, przyjdzie i to — odparł Marko.

— Kiedy? — spytał Dobek. — Klechę z niego zrobili takiego jak sami.

Gada dobrze, ale na języku u niego wszystko. Dziś cały dzień przeleżał, drwiąc i błaznując z Zahoniem i Piętką, a ty sobie, Dobku, łeb ukreć, aby było, co potrzeba.

— Nie, królewicz się nam nie udał — powtórzył Dobek. — Magnus nam zawód zrobił. Czechy, gdy nadciągną, to nie po co, tylko aby nam sprzed nosa, co jest, sprzątnęli, Pomorcy też, gdy przyjdą, nie darmo.

— A Wam by się chciało, aby szło jak z płotka — rzekł Marko. — Gdzież to widziana rzecz? Gdym jeszcze był u Węgrów, trafiło się raz tak...

— Co mi z tego, co się Wam trafiło? — przerwał niecierpliwie Dobek. —

Mnie w głowie, co nas tu spotka? Jak Sieciech nas wyłapie, to pościna i wywiesza.

Na ławach potwierdzające westchnienia się słyszeć dały.

— Co prawda, to prawda! — mruknięło kilku.

— Nasi przyjaciele w Krakowskim, na Szląsku, na Mazurach, którym Sieciech jak nam dokuczył i dojadł, darli się strasznie i nastawiali; obiecywali dużo. Teraz przycupnęli i siedzą cicho.

Marko wstał, do wiadra poszedł, przechylił je, zajrzał, że na dnie nic nie było, i smutny wracając na ławę, począł pocieszać Dobka.

— Wasza Miłość chcielibyście, aby trudne rzeczy szły łatwo! To nie może być. Baba, nim chleb upiecze, osmali się i zabrucze, a co dopiero gdy królewski kołacz trzeba na stół postawić! Pamiętam,

że gdyśmy na Węgrzech z królem Salomonem...

— A! a! — przerwał Dobek — dajże ty mi pokój z Węgrami i królem

Salomonem, radziłbyś lepiej, co ze Zbigniewem poczynać.

— Co? Wiadoma rzecz, ludzi ściągnąć i w pole iść, a bić się — odparł

inny z boku.

— Łatwo to ludzi pościągać? — zawołał Dobek. — Widzieliście tych, których zebrano?

— Jakich naleziono, takich się ściągnęło — rzekł Marko.

— No i widzieliście przecie, co to za obszarpańcy — mówił Dobek

niecierpliwie — wszystko to wlecze się w łachmanach, dużo bosych, co i chodaków nie mają, siła głodnych, których odkarmiać trzeba, aby im dech powrócił; rzadko który dobry kij ma w ręku. Trzeba to odziać, uzbroić i nakarmić.

— O! o! To mała rzecz, gdy kto sprawę rozumie — zaśmiał się Marko. —

Ja Wam powiem, jak bywało, gdym wojował na Rusi z jednym kniazem, co się goły wyrwał jak nasz i borykał się z bratem, który Włodzimierz trzymał.

Zaczęliśmy ludzi zewsząd ściągać takich samych bosych, gołych i głodnych, bo wiadomo, że tacy są najlepsi. Człek głodny, widzicie, w ogień idzie, gdy przy ogniu miska stoi, bosi zabija dla chodaków, goły dla opończy — a ten, co ma wszystkiego podostatkiem, temu życia i wygody szkoda. Poszliśmy ze zbieraną drużyną na dużą osadę. Drugiego dnia ludzie z niej wszyscy w lasy drapnęli, natłukliśmy dużo, a moi byli odziani, zbrojni i niegłodni. Jeszcześmy na wozy dużo nabrali i poprowadzili z sobą. Gołych mi dawajcie, tacy się niczego nie boją. Dobek głową potrząsał.

— Jak pójdziemy po kraju, w ten sposób się żywiąc, dopiero nas kochać będą — odezwał się.

— A nam po kata, żeby oni nas miłowali, byle nas karmili? — zawołał

Marko.

— Pójdą wszyscy do Sieciecha, a z nim nas, albo tego nie rozumiecie? —

mówił Dobek. — Całego u nas majątku pono dwa kubki srebrne, co nam jeden darował Zbilut, a Zdzitko drugi, srebra ani złota nie mamy. Jakże tu wojsko zbierać, czym go zbroić i odziewać?

Począł chodzić żywiej Dobek, a Marko podśpiewywał.

— Ja tam tego nie wiem, jak ono stoi u Was — odezwał się, przerywając piosenkę — jaki tu obyczaj. Ja, com po innych ziemiach z różnymi panami wojował, tyle znam, że wojna na to jest, ażeby

grosz i bogactwo dawała, a nie brała. Po jakiego by licha się komu zdała, żeby za nią jeszcze płacić trzeba?

Tak to jakoś do przekonania trafiło Dobkowi, że, długo na Marka

popatrzywszy, umilkł.

— Widzicie — dodał — nie na samo wojsko trzeba nam zapasu, ale żeby z tego niezdarnego królewicza co zrobić, żeby się doń ludzie garnęli, trzeba mu szat, naczyń i koni, i dworu. Tego nikt nie da darmo, a bez tego on nic niewart.

— Ba — odezwał się Marko — darmo juści nie da nikt, ale ludzie na świecie pożyczają. Toć przecie królewskie dziecko, jak go na wojnie nie ubiją, to mu ojciec odczepnego musi dać jakich parę grodków i kawałek ziemi z osadnikami. A znowu żeby on się dał tak łącno, ubić i na oszczepy leciał, nie widzi mi się. Do podwiki pono skorszy niż do oręza.

Uśmiechnęli się niektórzy.

— Młody jest — rzekli.

— Post miał zbyt w klasztorze — dodał Marko.

— Ojciec! ojciec — przerwał Dobek — albo mu da ziemię, albo mnichom na powrót odeszle i postrzyże.

Sobiejucha ramionami ruszył.

— Słuchajcie — rzekł wesoło. — Prawda, zem się ja parę razy w Dunaju topić chciałem, a raz w morzu, biedy się dużo najadłem, zawszem się przecie szczęśliwie wykręcił. Raz mi już Połowce postronek byli na szyję założyli!

Mam takie szczęście, że mi się nic nie stanie, a że z wami trzymam, i wy się wykręcicie. Jeżeli by zaś łeb ucięli — hm — to się o strawę na jutro nie będziemy frasować. Wy nadto na rozum bierzecie, a bezpieczniej brać na szczęście.

Dobek się nie zdawał przekonany.

— Co mi z tego wszystkiego? — rzekł. — Gołe słowa!

— Ja swoje prawię — powtórzył Marko. — Goli jesteśmy, ale skarb

mamy w królewiczu. Na jego krew dług zaciągnąć można, byle człeka znaleźć, co pieniądze ma.

— Takich pieniędzy, tyle grzyw, co nam trzeba — odezwał się Dobek

— niełatwo będzie znaleźć.

I począł liczyć na palcach.

— Na odzież, na zbroję, na konie, a wszelakie zapasy i na to, żebyśmy się gołego pana nie wstydzieli, bo choć on dwór swój wszelaką darowizną przyodział

i świeci się, ale gźła ani jeden nie ma.

— No, i na to też trzeba — dorzucił Marko — żebyśmy my, a

przynajmniej ja, żebym się koło niego pożywił, bo, wiecie o tym, ja także przywędrował tu w złą godzinę. Odarli mnie rozbójnicy w lesie, został mi tylko pacholek w chodakach, który na koniu siedzi jak pies na płocie i pasem się ściska jako osa, bo żołądek ma wyschły. Ja też koszuli dawno nie pioreę, bo nie mam, a opończa, co się świeci, tę już musiałem sobie wysłużyć niedawno.

Udał Dobek, że tych zwierzeń nie słyszy.

— Wy u nas podczaszym i podskarbib, i wojewodą — mówił dalej

Marko — radźcie o sobie i drugich.

— No, to ja Wam poradzę — wtrącił Marko.

Siedzący na ławach, pod ścianami, zasłyszawszy to, zwrócili nań oczy wszyscy i westchnęli.

Wstał Marko, pociągając odzienia i prostując się.

— Niedarmo człek po świecie bywał — rzekł — i na Węgrzech, i w

Akwizgranie, i w Kijowie, i na Morawach — i gdzie się nie bywało? Ja tu zaraz, przybywszy, zwąchałem, jak stojemy, myślałem, kędyby się pożywić. Ja sobie prosty wojak, a wy, ludzie rozumni, jeździliście z Magnusem do biskupa, który rychlej by wziął, niż dał, a nie pojechaliście tam, gdzie by się można obłowić.

— Gdzież się tu obłowić? — zapytał Dobek ciekawie.

— Ano tam, gdzie się wszyscy panowie żywią, kiedy bieda — mówił

Marek — albo to nie wiecie, kędy królowie złoto pożyczają, aby go nie oddać nigdy?

— Nie wiem.

— U Judów — zawołał Marko. — Macie i tutaj pono kilku, boć oni są wszędzie, i w Pradze ich siła, i w Krakowie gdzie który się już okazuje.

Handlują złotem, kamieniami, niewolnikami, balsamami; srogie pieniądze i skarby mają.

Dobek ręką począł się osłaniać i bronić.

— Zaś! Żebyśmy u tych nieprzyjaciół Bożych mieli co brać! Niech nas od tego miłosierdzie Pańskie uchwowa!

Splunęli niektórzy, inni się przeżegnali z obawą.

— Tak Wy o tym mówicie — ciągnął Marko niezmiészany — jak byście

nigdzie po świecie nie bywali, a o Judach nie słyszeli. Wszyscy, co rozum mają, monarchowie, cesarze, królowie, książęta ciągną z nich siła. Skarby u nich ogromne. Z szatanem trzymając, złoto robić umieją. Z pogany tymi, którzy Chrystusa Pana męczyli, nie ma wielkiego zachodu, a choćby się skórę z nich zdarło, do zbawienia jeszcze pomoże. Nagrozi się im, nafuka, nabije nawet, nie ujmie się za tym nikt, dobrze, że z życiem wyjdą cali.

Dobek powoli zdawał się przychodzić do jasnego rzeczy pojęcia.

Żydów naówczas niewiele jeszcze w Polsce było, tłumniej później nieco ściągać się poczęli. Siedzieli tylko po grodach bogatsi, handle wiodąc różne.

Wielkie prześladowanie, które tysiące później zagnało tutaj, gotowało się dopiero. W Pradze, Krakowie, Wrocławiu zamożniejsi osiedlili się za Władysława, trudniąc handlem, wybijaniem monety, kupnem i sprzedażą niewolników, lekami i lichwą.

— Gdym się przekonał, że królewicz goły — ciągnął dalej Marko —

myślałem zaraz: Judy nam trzeba na tę chorobę. Da on nam grosza, gdy królewicz zażąda.

Z niedowierzaniem i ciekawością przysłuchiwał się Dobek.

— Gdzież tego Judy szukać? — przebąknął.

— A widzieliście dwór na Piaskach? Ten, co murem obwiedziony

wysokim, że za nim prawie dachów nie widać?

— Czyj że jest? — pytał Dobek.

Marko palcem w stronę jego ukazał i nosem pociągnął.

— Tam nam potrzeba — odezwał się — tam ja czuję złoto i wszystko, czego królewiczowi brak. W domu tym mieszka Natan Ispan, azali Wy o tym nie wiecie? Tylko że do niego przystęp trudny! Ho!

Z ław powstawali zaciekawieni słuchacze, kołem otaczając Marka.

— A Wy skąd o tym wiecie? — poczęli pytać Marka.

Sobiejuha śmiał się zwycięsko.

— Ja — rzekł — gdy wchodzę do lasu, wietrzę zwierzynę, gdy wjeżdżam do miasta, wietrzę Judów. To u mnie pierwsza rzecz. Małowiele, przyczepiwszy się doń, człek zawsze coś udrze, bo każdy Jud się boi, aby go za męczeństwo Chrystusowe nie pozywano. Więc się ich drze. Wszyscy to robią. Po co by ich żałować? Czy oni nam swaty, czy braty? Wszakci to nie kto, tylko ich ojcowie Pana Boga ukrzyżowali i męczyli; czemu byśmy za to ich nie mieli łupić?

Sprawiedliwa rzecz i bardzo Bogu miła. Nam do Natana Ispana trzeba się dostać koniecznie, nałgać dobrze, obiecać złote góry, nastraszyć trochę: da, co potrzeba. Królewicz—że na Szląsku ma panować? Chcieli być Natan cały, musi się zawczasu zasłużyć.

Wszyscy, nie wyjmując Dobka, z pewnym poszanowaniem spoglądali na Sobiejuchę, który dawszy ten dowód przebiegłości, zdumniał. Rzucił okiem ku wiadru próżnemu, jak by wyrzucając losom niesprawiedliwość, iż takiego jak on człowieka nawet piwem nie poczęstowały. Nikt się nie odzywał, Marko splunął

i ręce za pas założywszy, ciągnął dalej:

— Tak, tak, Miłościwy Panie — człek jestem mały, ale bywały, wiem, gdzie kury jaja noszą. Nie darmo człek wycierał kąty od Dunaju do Renu, od Adygi do Dniestru — i...

Ręka w powietrzu dokończyła wyliczenia.

— Rada Wasza pewnie nie do pogardzenia — odezwał się Dobek —

wszelako Juda by chyba głupi był, żeby dawał temu, co jeszcze nie ma nic, i nie wiadomo, co mieć będzie.

— Król ma serce miękkie, poruszy się — rzekł Marko.

— A Sieciech, co ma serce złe, nie da mu nic zrobić — wtrącił Dobek.

— A! Dziecku oczu nie wykolę — mówił Sobiejucha. — Widzicie,

Miłościwy Panie, gdyby koło was tak źle było, jako wy trzymacie, ja bym tu pewnie nie postał abo miejsca nie zagrzał.

— A jakże trafić do Judy? — zapytał Dobek. — Jam i na to niemądry.

Marko się śmiał z prostoty człowieka, nad którym chwilowo brał górę.

— Miłościwy Panie — począł cicho i poufnie, choć tajemnicy w tym nie było. — Myszy nawet wiedzą, jak się dostać do domu. Gdy drzwi zamknięte, drapią się po ścianie; gdy ściana gładka, kopią norę pod ziemią.

Powtórnie przeszedł się Marko do wiadra po piwie, zajrzał w nie,

przekonał się, iż w nim nic nie było, a gdy inni wyśmiewać się z niego zaczęli, zawołał:



— Co się macie śmiać? Poszedłby który z młodszych do jejmości, bo do bab bezpieczniej gołowasów posyłać, pokłoniłby się i rzekł, że srogie pragnienie mamy, woda się w studni zaśmierdła, a piwa ani kropli. Juści przez miłosierdzie dadzą choć męty. Co ich to kwaśne piwsko kosztuje? Na polu ziarno się samo rodzi albo mu z osypów i danin przywiozą do spichrza, chmielu po lasach i po płotach dosyć, służba do zamku idzie, jak nam mają żałować tego, co im Pan Bóg darmo daje!

Jeden z siedzących pod ścianą ruszył się, przekonany argumentem, a Dobek zamyślił się nad daną radą. Sobiejucha podśpiewując do okna powrócił, tamten wymknął się z izby.

Magnus właśnie przed sień zajeżdżał, zza miasta powracając, gdy Dobek go tu przywitał. Nie bardzo rad był i twarzą mu to okazał, bo wszystkich Zbigniewowych, z nim razem, chciał się co rychlej pozbyć z grodu, objadali go i obierali.

Wieści też już chodziły, że król z siłami znacznymi na Wrocław ciągnie.

Zsiadł z konia otyły namiestnik, sapiąc zmęczony, udając, że Dobka nie widzi.

Ten mu się kłaniał uparcie.

— Czołem i głową Miłości Waszej — powtarzał — czołem i głową.

— Bóg z Wami, a co? — zamruczał stary.

— Słówko by się rzekło.

Usiedli tedy na ławie w przedsieniu.

— Długo Was nie potrzynam — mówił Dobek — w pole nam na gwałt

potrzeba, a nie mamy o czym. Z próżnymi rękami i na nabożeństwo iść niedobrze, co dopiero na wojnę.

— Jać skarbów nie mam — odparł groźno Magnus — com miał i co mogłem, tegom nie skąpił.

— Miłość Wasza pomóc byście nam mogli pośrednictwem, opieką, dobrym słowem? — rzekł Dobek.

— Gdzie? Jak? U kogo?

— U Natana Ispana, jeśli się nie mylę w nazwisku, bogatego Judy, który tu mieszka — mówił Dobek — ten by królewiczowi mógł wygodzić.

Oczyma wielkimi, zdziwionymi popatrzał Magnus na mówiącego i nie

było mu miło widocznie, że kto inny zabierał się do odzierania ze skóry tego, którego on dla siebie zachował. Po namyśle jednak, z dwojga złego wybierając, wolał pewnie, by odarto Żyda niż jego, i z łupem rychlej odejść mogli. Rzekł

zrazu z wolna:

— Ot, czego się to Wam zachciało! Dobry nos macie. Dobkowi to

pochlebiło, rozśmiał się.

— Wy, Miłościwy Panie, pojedziecie z królewiczem i ze mną do Judy —

mówił Dobek śmieiej. — My goli w pole nie pociągniemy, ludzie nasi ani oręża, ani okrycia nie mają, darmo nie da nikt...

Namiestnik namyślał się długo, ręce obie po obu stronach szerokiego brzucha sparł na ławie, dyszał i dumiał nad odpowiedzią. Przechodzącemu chłopcu kazał sobie przynieść kubek kwasu, wypił go, otarł usta, milczał i nie odpowiadał. Dobek czekał cierpliwie. Zapatrzywszy się na wały i szopy naprzeciw stojące, Magnus zdawał się już zapominać o prośbie, aż Dobek ośmielił się ją ponowić.

— Miłościwy Panie, dla królewicza choć to uczynić się godzi. Pojedziecie z nami!

Namiestnik milczał, ustami tylko poruszając dziwnie, jak by przeżuwał; za trzecią razą zagadnięty uparcie, popatrzał na natręta, podniósł się, rozprostował i rzekł:

— A cóż? Muszę!!

Na jutrzejszy ranek zapowiedziane były odwiedziny u Natana. Marko, dowiedziawszy się o tym, nalegał mocno, aby do orszaku mógł należeć.

Królewicz byłby się zgodził na to, ale namiestnik odmówił twardo.

Sobiejucha pogniewał się mocno.

— Przeklęty wieprz — rzekł Dobkowi — pozbawia mnie podarku! Żydy za zwyczaj mają i czeladź, i wszystkich obdarowywać, coś by się okroiło.

Niechże się ja z nim nie spotkam na polu gdzie, bo mu brzuch rozporę.

Królewicz rad był niezmiernie, a gdy się przyszło wybierać, nie dopuścił

inaczej jechać, tylko z wielką częścią dworu swojego, z trębaczami, chorągwią i zwykłymi okrzyki. Zdawało mu się, że Judę przerazi i rychlej coś z niego wycisnie. Magnus na próżno namawiał, by w kilka koni, po cichu odbyć tę wycieczkę, uparł się królewicz i na swoim postawił.

Ruszyli tedy z tą gromadą wrzaskliwą; królewicz odziany w co miał

najlepszego, Magnus jak stał, Dobek we zbroi, dwu podkomorznych z

łańcuchami na szyjach pozłocistymi.

Marko, w podsieni stojąc, klął i pięści ukazywał z dala. Inni mieli z rady jego korzystać!

— Tak na świecie zawsze — szeptał — że kto zgotuje, ten nie je.

Wycieczka do Natana nikomu zbyt miłą nie była. Magnus, choć Żydem się opiekując, wysysał z niego, co mógł, ocierać się jednak o niewiernego nie lubił. Żydów obawiano się powszechnie jako czarnoksiężników, mających stosunki z siłą nieczystą, wstręt miano do wszystkiego, co ich otaczało, oprócz pieniędzy, do których czary nie przylegały. Unikał każdy progu ich i dotknięcia; Żydzi też unikali zarówno stosunków ze światem, wedle ich pojęć nieczystym i pogańskim (czcicieli gwiazd). Domy ich, o ile możności, stały oddzielone od zamieszkiwanych przez chrześcijan, zamknięte dla nich, tak że jedna tylko część ich dostępną była dla tych, którzy z nimi mieli stosunki. Wystawieni na samowolę i prześladowania, kryć się musieli z całym życiem swym, aby chciwości nie obudzać, nienawiści nie drażnić.

Dom Natana Ispana stał w części miasta, zwanej Na Piaskach, wysoko obmurowany dokoła. Brama wiodąca doń, z dębowego drzewa wyciosana, blachami żelaznymi okuta, stała zawsze zamknięta. Wąska furta z boku prowadziła na podwórze, a i tej nie otwierano, nie przekonawszy się wprzód, kto i z czym przychodził. Cudzoziemskim obyczajem umocowany przy niej był

młot ciężki, którym bijąc, przyjezdni znać o sobie dawali.

Zbigniew już z dala swoim ludziom w rogi dać kazał i pokrzykiwać, nic to jednak nie pomogło, gdyż, stanąwszy u wrót, znaku życia najmniejszego przy nich nie znaleźli. Trąbiono długo i pokrzykiwano na próżno.

Jeden z czeladzi, dopiero z konia skoczywszy, młotem walić począł, nie żałując furty, aż się odsunęła deska od okienka i blada twarz w czapce ogromnej ukazała za kratą. Spod brwi jej czarnych, grubych, nawistłych, wejrzenie strażnika padło na Magnusa; starczyło tego, by furtę zaraz otwierać zaczęto.

Drugi z Natanowych sług pobiegł do dworu z oznajmieniem o gościu

dostojnym.

Namiestnik nie chciał z końmi i całą gromadą książęcą wjeżdżać w podwórze i, zsiadłszy u wrót, pieszo weszli ze Zbigniewem. Stojący u furty strażnik pokłonem do ziemi ich witał. Stąd się im dopiero pokazało domostwo, w pośrodku podwórca stojące, na pozór liche, obszerne, z dachem wysokim, ścianami niskimi i mnóstwem kleci dokoła. Z pozoru trudno się tu było domyślać wielkich dostatków, tak nędznie wyglądał dworzec ów niski, otoczony słupkami drewnianymi. Okna jego, kratami drewnianymi opatrzone dokoła, nie dawały wejrzeć do środka, choć otworem stały.

Sługa, który przodem pobiegł oznajmić Magnusa, tak żywo się sprawił, że, nim do drzwi doszli, już się one otworzyły, a w progu ukazał się sam gospodarz, wychodzący na spotkanie swych gości. Był

to starzec wysokiego wzrostu, z bardzo długą brodą siwą i oczyma prawie brwiami zasłoniętymi; ubrany w suknię ciemną, jedwabną, pasem szerokim ujętą, w lekkim płaszczu czarnym na wierzch jej zarzuconym i w zawoju na głowie. Pokłonem niskim i ręką od ust witał znajomego Magnusa, ale bystre jego oczy już postrzegły, że nie sam on przybywa; przebiegły Judaeus domyślił się, kogo i pewnie po co wiadziono.

Zbigniew, w klasztorze we wstręcie i obrzydzeniu dla Żydów

wychowany, szedł niechętnie, trwożnie, ociągając się, a oczyma rzucając dokoła ciekawie. Magnus szepnął do ucha gospodarzowi, kto był z nim, a ten jeszcze niżej Zbigniewowi się pokłoniwszy, ujął w białe palce kraj jego szaty i do ust ją przyłożył. Ruch ten przestraszył niemal królewicza, lecz się zmógł na męstwo i twarz jakby do uśmiechu nastroił.

Weszli tedy w sień prawie ciemną, którą tylko otwarte drzwi oświecały.

W lichym tym na pozór domostwie nawet wnijście, zamiast zwykłego toku, było drewnianymi wyłożone dylami. Na prawo otworem już stały drzwi, a przez nie dużą izbę, niezbyt jasną, widać było. Dokoła jej, zamiast ław, leżały poduszki i kobierce nisko usłane. Część też podłogi grubymi, ciemnymi kobiercami wyłożoną była. Stół ze świecznikiem mosiężnym w pośrodku także był

wzorzystą okryty oponą. Zresztą nie było w izbie nic, oprócz szafy, w której gliniane, dziwnych kształtów naczynia, kubki i dzbanki ustawione były. Nic tu jeszcze nie oznajmywało tych wielkich dostatków, o których mówiono, złota i srebra nigdzie widać nie było.

Że innego siedzenia nad owe poduszki nie było, gospodarz wskazał je przybyłym, a sam znikł na chwilę, pospiesznym uchodząc krokiem. Lecz jak szybko odszedł, tak prędko nazad powrócił i jedną ręką trzymając się za brodę, drugą za pas, stanął w pełnej poszanowania postawie naprzeciw Zbigniewa i Magnusa. Dobek, który się wsunął za nimi, ku kąтови się skrył, ciekawe posyłając oczy na wszystkie strony.

Do rozmowy z Natanem nie potrzeba było tłumacza, umiał on już nieco pospolitego języka, a mówiono, że i wiele innych rozumiał, bo długo wprzód żył

po różnych krajach, niżeli się tu dostał.

Magnus ustąpił z nim nieco na stronę, w cichości naprzód oznajmując mu, z czym i po co przybywał. Dobek, z dala śledzący obu ich ruchy, postrzegł

naprzód przerażenie Natana, zarzekanie się jakieś, uderzanie w piersi gwałtowne, miotanie rękami, potrząsanie głową. Potem coraz łagodniejący spór trwał dosyć długo, nim się jakby poddaniem smutnym i uległością zakończył.

Wtem chłopak młody, w długiej sukni ciemnej, wniósł na płaskiej misie cynowej ogromną flaszkę i trzy kubki pozłociste. Na twarzy Zbigniewa trwoga się odmalowała.

— Struć nas gotów lub zaczarować — szepnął Dobkowi.

— Cóż by mu z tego przyszło? — odparł towarzyszy. — Jest sposób na to, sam on z nami napić się musi.

— Czyż nie wiesz o tym, że truciciele sposoby na to mają, ażeby im trucizna nie szkodziła — szepnął Zbigniew przelekle. — Ja usta nie dotknę tu ani jadła, ani napoju.

— Do woli Waszej — odezwał się Dobek — ja to wiem, iż oni mają wina z gorących krajów, jakich u nas nikt nie zna, słodkie jak miód, a jak ogień rozgrzewające. Nie pogardzę przyjęciem.

Natan rad zapewne, iż przyniesione wino niemiłemu naleganiu nań folgę uczyniło, ukłonami jął na nie zapraszać, lecz Magnus też nie bardzo rad był pić, czarów zarówno obawiając się i trucizny. Stary nalegał mocno, a nawykły widać do podobnych obrzędów, sam pierwszy nalał trochę wina do kubka, pijąc za zdrowie gości i do kolan się im kłaniając.

Wziął i Magnus kubek podany, i Zbigniew też z tą myślą, że go nazad pełnym postawi. Śmielszy a ciekawszy Dobek począł pić zaraz i skosztowawszy po piersiach się pogładził. Napój był w istocie osobliwy, choć dla króla, ognisty, wonny, a łagodnie łechcący usta.

Tymczasem namiestnik zagajał sprawę, Zbigniew też zbliżył się, bo gdzie szło o wymowę, łatwiej sobie od innych починаł. Na słowach mu nigdy nie zbywało. Kto był, o co się ubiegał, opowiadać nie potrzebował. Magnus przyrzekał w imieniu jego wiele w późniejszym czasie, gdy królewicz prawa swe odzyska, co nieochybnie nastąpić musiało.

Słuchał z wielką uwagą Natan:

— Choćby człowiek mały, jakim ja jestem, pragnął usłużyć Waszej

Miłości — rzekł powolnie, ważąc każde słowo — skądże ma wziąć? Jak dostać?

Utyskiwać począł na bardzo ciężkie czasy, na handel trudny, na to, że karawany kupieckie po gościńcach nigdzie bezpieczeństwa nie miały, choćby w listy od królów opatrzone były, rozbijano je obarczono opłatami. Zaklinał się, iż zubożały był, że nie miał nic, nie mógł nic. Bił się w piersi, oczy podnosił ku niebu, brodę siwą targał i wzdychał.

Nic to nie pomagało, Magnus nalegał nań. Dobek, po winie śmielszy, z kąta po słowie przyrzuczał. Zbigniew też zebrał się na wspaniałe obietnice, ofiarując się stwierdzić je pieczęcią swą, chociaż dotąd żadnej nie miał. Opór ze strony napastowanego Żyda trwał długo, ale namiestnik naciskał go, a ten był

we Wrocławiu najwyższym rządcą; odmówić mu całkowicie, obrazić go i zniechęcić nie było bezpiecznym.

Natan w końcu musiał ofiarować pewną ilość grzywien srebra i sukno dla ludzi książęcego dworu, zaklinając się, iż ostatki oddaje i sam ogołoconym będzie ze wszystkiego. Językiem mówił złamanym, lecz żywo, gorąco, pomagając sobie ruchami, starając przebłagać pokorą. Oczy tylko ciemne spod brwi nawisłych ilekroć błysnęły, nienawiść z nich i gniew tryskał stłumiony.

Chociaż ofiara ta nie dochodziła przesadnych nadziei, z jakimi Zbigniew jechał do Natana, trzeba się nią było ograniczyć. Tak radził Magnus, wzięwszy na stronę królewicza i biorąc Żyda swojego w obronę. Stało na tym, iż królewicz oprócz zwrotu grzywien opiekę swą Natanowi w przyszłej dzielnicy zaręczał, pieniądze mu bić u siebie dopuszczał, handel swobodny, wolność od opłat pismem pod pieczęcią zapewnić obiecywał. Sam Natan wedle słów tych pismo ułożyć się ofiarował, mając zawsze do pomocy kogoś, gdy mu było potrzeba; książkę tylko przypieczętować miał nadanie, a świadki stały gotowe.

Tak w przeciągu godziny umowa zawartą została, zachęcony Dobka

przykładem Magnus wychylił kubków parę; na ostatek i Zbigniew, potajemnie przeżegnawszy napój, ośmielił się do niego. Wino było dobroci dziwnej i uweselało cudownie; twarze się też wyjaśniły, choć skutek wycieczki nie bardzo był pomyślny.

Natan, nie chcąc swych gości bez podarków wypuścić, znikł znowu i po chwili wrócił z chłopakiem, który niósł trzy srebrne naczynia, dla królewicza jedno, drugie dla namiestnika, najmniejsze i najlżejsze Dobkowi.

Tak wyprowadzani aż za próg, wyszli z lichego dworku tego, opatrzeni nieco z łaski Marka, który podał pierwszy tę myśl szczęśliwą, a sam nie mógł z niej korzystać. Kubki, pozawijane w chustki jedwabne, czeladź u drzwi zabrała.

Rozochocony Zbigniew, dosiadając konia za furta, która się natychmiast zamknęła za nimi, kazał w rogi uderzyć, śpiewać i pokrzykiwać ludziom, którzy tym raźniej to spełnili, iż i im piwa i miodu wyniesiono, a tego się wcale nie wzdragali.

— Gdy panem tu będę — szepnął Zbigniew, pochylając się do ucha

Dobkowi — wiesz, co uczynię?

— Natana Wasza Miłość nagrodzi? — rzekł Dobek.

Rozśmiał się Zbigniew szydersko.

— Nie głupim — rzekł. — Zadrę się z nim, abym dwór mógł złupić.

Znajdzie się w nim czym pożywić! Nieprawdaż! Nie godzi się, aby kaci Chrystusowi w skarby się wzmagali. Z szatanem trzymają niewierni i czary sprawiają. Kościołowi dam dziesięcinę.

Dobek nic nie odpowiedział, lecz wielkie powziął pojęcie o rozumie pana swojego.

— Ten królować potrafi! — rzekł w duchu.

Gdy w triumfie, z hałasem zajeżdżali na powrót na zamek, Marko czekał

na nich w przedsieni, ciekaw, jak się im poszczęściło. Zbigniewa pytać nie chciał, Dobek, śmiejąc się, kubek mu swój pokazał i chustę jedwabną.

— Byłbym i ja podobny dostał — westchnął strapiony Sobiejucha, kubek w ręku obracając. — Ano mnie, com to wszystko uczynił, wiecheć się za to dostał. Taka sprawiedliwość na świecie!

Na złagodzenie smutku pół grzywny srebrnej mu przyobiecano, a piwo i miód resztę żalu ugasiły.

## VIII

Była naówczas Kruszwica biskupią stolicą i miastem równego znaczenia z Gnieznem i Poznaniem, należała do najzamożniejszych u Polan grodów. Szedł

tędy handel ożywiony, mieszczaństwo było zamożne, ludność się pomnażała.

Zamek nad jeziorem stał warowny, na tym miejscu, kędy niegdyś Popielów wznosiła się wieżyca. Resztki tego dominium sterczały nad nim, czasu ciężkiego oblężenia, gdyby gród miał być opanowany, stanowiąc ostatni przytułek.

Tu Zbigniew u miasta i Gopła stał obozem ze swym zebrany z różnych stron żołnierzem. Nie było podówczas królewskiej na zamku załogi i to go ubiec dozwoliło, gdy z kilku pułkami przyciągnął królewicz pod Kruszwicę.

Z samego wejrzenia na obozowisko poznać łatwo było można, z czego się siły Zbigniewowe składały. Osobno stały dwa oddziały pogan pomorskich ze stanicami swymi. Z tymi chrześcijanie kumać się ani chcieli, ani mogli.

Pomorska owa dzicz łupieżna służyła tak nieraz i cesarzom, i każdemu, kto jej chciał zażyć, byle rabunek miała bezkarny. Na zawołanie Zbigniewa poszła chętnie z kneziem swym Przemkiem, który bez wojny żyć nie mógł, a z Polanami był w wiekuistej walce. Na uboczu się trzymali Pomorcy, gdyż się z nimi nikt drużyć nie chciał, a oni też o tym nie myśleli.

Dwa pułki posiłków czeskich stały także osobno. Z tymi ani Pomorcy, ani Polanie w zgodzie nie byli i u wodopoju nawet, gdy się czeladzie spotkały, łajały się i do oszczepów porywały, wymyślając sobie wzajemnie. Czechów potajemnie wysłał Brzetysław, choć się zwało, że z ochoty przyszli sami.

Dwa pułki dostarczyli też nieprzyjaciele Sieciecha, żądając go obalić bardziej niż Zbigniewa ratować. Ostatni, siódmy oddział, składał się przeważnie z samych zbiegów, których Sieciech wygnał z kraju prześladowaniem, a ci najzjadlejsi byli.

Ze wszystkich ziem znajdowało się ich tu po trosze, Krakowian i

Szlązaków, i Mazurów, i Poznańczyków. Rycerze byli najlepsi, gdyż między nimi zamożnych ziemian lik się największy znajdował.

Wysłane szpiegi donosiły, że król też wojsko miał liczne i dobrane, a choć sam chory, na czele pułków iść miał na Wrocław i Zbigniewa. W Płocku jednak podobno jeszcze niedobrze wiedziano, kędy królewicza szukać, a szło bardziej o odzyskanie Szląska niż o Zbigniewa. Wprost więc Władysław iść miał na Magnusa naprzód, aby go przywieść do posłuszeństwa.

Nic pewnego nie było, ani gdzie, ani kiedy, ni z kim czynienia mieć mogli Zbigniewowi. Każdy, wysłany na zwiady, inaczej prawił, inak liczył, co innego rozpowiadał. Jedni wojsko króla czynili ogromnym bez miary, drudzy słabym i nielicznym, więcej o nim baśni przynoszono niż wieści.



Dobek, który do rady stał przy Zbigniewie, acz ten niej zawsze sobie doradzać dawał, ledwie wymógł na nim, aby, na zamku się nie rozsiadał ze dworem swym, a przy obozie w namiotach się położył, rycerza udając, choć jawnym było, że nań nie został stworzony.

Królewiczowi chciało się z drużyną wygodny zamek zajmować, bo

pysznic się lubił, panującego udawać i zażywać dobrej myśli. Dopiero gdy mu zagrożono, że zniecka przyszedłszy nieprzyjaciel łącznie go weźmie, z niewielką drużyną odłączonego, zgodził się pod namioty pójść ze swoimi. Tu gędbą, śpiewami, hukaniem i jasnymi sukniami a dworem więcej się zajmował

niżeli wojskiem i wojną. Śmiechów było pełno i przechwałek, bo siedem pułków owych zdawały się niezwyciężonymi.

Jesień już nadchodziła, noce były chłodne, ranki z przymrozkami, pod płótnem, choć ognie palono blisko, zaczynało być nie bardzo zaciszne. Wicher podrywał ściany, wdzierał się do wnętrza i nocami potrzasał namiotami, jak by je wywracać próbował. Dwór królewicza znacznie był urósł bez potrzeby, dla wystawy tylko. Kręciło się około niego dużo pustej młodzieży, a wieści chodziły, że pod męskimi sukniami i biała płęć do usług była używana.

Królewicz nie bardzo rad ze starszymi obcował, lubił błaznów, pochlebców, śmiechy i ludzi, co od niego wszystko znosić byli gotowi.

Obóz był gwarny, bezładny, do którego ludzie się nie bardzo zbliżać śmieli. Na pagórku nad jeziorem, między kilką starymi drzewami rozpięty był

namiot pański z wiechą na wierzchu, a przy nim, na wysokiej tyce zatknięta, powiewała chorągiew czerwona bez żadnego znaku. Obok niego pomniejsze dla Dobka z Morawicy, Marka i starszyny stały nie opodal osobną gromadą. Dalej drużyna miała porozpinane na kołach płótna, które się też namiotami nazywały.

Dla oddziałów więcej szałasów i bud było z chrustu niżeli namiotów, ale za to dołów w ziemi pokopanych co niemiara i ognisk wiele, nad którymi kociołki się grzały, a tuż dla koni rzędami stały żłoby, pochwytnane z miasta, jako tako na kołach poumocowywane.

Ani około Zbigniewa, ni u Czechów i Pomorców, porządku wielkiego nie było; królewicz się we wszystkim na drugich zdawał, sam niewiele czynił. Lubiał

tylko czasami ze dworem i trębaczami wyjechać i przeciągnąć, aby mu się ciury kłaniały.

Około polskiego obozu, który był najbliżej królewicza, ludu różnego niepotrzebnego włożyło się dużo: gęślarzów, dziadów, bab, dzieci, błaznów i wszelkiego tałajstwa. Królewicz potrzebował, aby go zabawiano i kłaniano mu się; bawiono go więc różnie, sprowadzono mu, od wariatów począwszy, do chłopców, co kozły przewracały. Baby mu wróżyły, śpiewacy różne, często sprośne pieśni wyśpiewywali, kobzy, gęśle i liry brzęczały przez cały dzień i nocy kawałek. Za to o czatach mało kto myślał, chyba Pomorcy, co w cudzej ziemi się czując, na ostrożności też mieć się musieli.

Wojsko nie było bardzo postawne ani piękne, bo na lik więcej zważano, niż na dobór ludzi. Odziewał się każdy, jak miał i jak chciał, ten w opończę, tamten w kożuszyne, inny w kaftan stary, a zbroi mało gdzie widać było, tylko około księcia żelaznych ludzi zwijało się trochę. Broń też nie była osobliwą, toporów więcej niż miecza, dostatek pałek nabijanych i oszczepów z lada jakim żeleźcem lub osmolonych tylko.

Konie mizerne mało co więcej miały nad paszę pod nogami.

Leżąc tak obozem, to Pomorcy, to Czechy, rankami, nocami wrywali się na bliższe osady dla pożywienia, a co złupili, tym żyli. Brali i młodzież, wiążąc ją jak jeńców, trudno im co mówić było, musieli mieć zdobycz jakąś. Gdyby się srożono, precz mogli pójść, a byli potrzebni. Z okolicy też, kto mógł, w lasy się wynosił daleko i całe osady się zasiekiwały ze stadami na uroczyskach po puszczech.

Królewicz na nic nie zważał, byle mu samemu dobrze było. Dobek pilno go mający na oku mógł się teraz bardziej jeszcze przekonać, iż pociechy z niego nie będą mieli. Trzymali go jak chorągiew w rękę przeciw Sieciechowi. Ani do konia, ni do gonitwy, do rycerskich zapasów było go napędzić, choć Dobek, starsi, a nawet Marko go wyciągał. Sobiejucha szedł najczęściej z tym, aby go z namiotu dobył, siadł pić i słuchać, jak bajdurzono, i do nocy pozostał.

Całe tak dni w próżnicy upływały. Zahoń i kilku ulubieńców zbierali śpiewaków, którzy najwięcej swawolnych umieli pieśni, gęślarzy, gawiedzi wszelakiej i, sami im dopomagając, bawili królewicza, który na stołku skórą pokrytym siedząc, nogi pozakładawszy, śmiał się, aż za boki trzymał, szydził, młodzież do psich figłów pobudzał i o wszystkim zresztą zapominał.

Dobek chodził struty, ale go wyciągnąć ani przemienić nie mógł. Zagadał

go Zbigniew, zahuczał i z niczym odprawił, a swoje robił.

Stały beczki z piwem i miodem dokoła pańskiego namiotu. Kto ze

starszych przyszedł — nawlekli się i Czesi, i Pomorcy nawet — pił, jadł, siedział i razem się zabawiał, wychodził potem, spluwając i mruczając. Gdy o wojnie mówić przychodziło, Zbigniew ziewał.

Spojrząwszy z pagórka na swe obozowisko, że dużo miejsca nad jeziorem zajmowało, zdało mu się, że świat nim zawojuje.

Marko mu pomagał gębą wyszczekaną.

— Niech no się królewscy pokażą — mówili — dopiero im cięgi damy!

Nie ujdzie ich stąd i noga. Potopimy w jeziorze, reszta w łyka.

Odgrażali się nawet, gdyby królewscy rychło się nie stawili, że na nich gotowi iść, szukać, a choćby na sam Płock uderzyć. Tymczasem stali, ryby łowili w jeziorze i u kruszwickich mieszczan gościli nie proszeni po chatach.

Zbigniew, który mnichów i klechów w czasie pobytu w klasztorze

znenawidził, teraz na oczy dopuścić ich nie chciał. Do biskupa nawet nie szedł, a do kościoła trudno go namówić było.

Dobek i Marko chodzili do miasta, bywali na mszy, on, choć się tego nie zarzekał, z dnia na dzień odkładał, ledwie się z rana przeżegnał lub gdy czarów się uląkł jakich, to je krzyżem odganiał.

Tak upływały tygodnie na próżnym leżeniu, nikt spełna nie wiedział, co dalej poczynać miano.

— Gdy zima nadejdzie — mruczał Zbigniew — gród się obwaruje, załoga osadzi.

Z Kruszwicy sobie tymczasem chciał zrobić stolicę.

Komu jak komu, Markowi, który się wojewodą nazywać kazał, wcale z tym dobrze było. Inaczej też wyglądał teraz, bo i pacholika onego oberwanego odział, i konie (na paszy ich nachwytawszy) zbierał, mieniał, karmił, zbroi dobrej dostał nie wiadomo jakim sposobem, we wszelaką broń się zaopatrzył i w oczach go przybywało.

Pomorcy, którzy srodzy byli zawsze łupieżcy a handlarze, oprócz tego, co z domu dla wyprawy potrzebnego zabrali, nawieźli i po drodze nagrabili dużo różnego sprzętu, który mieniali i sprzedawali. Targowicę trzymali na obozowisku. Marko się u nich w wiele rzeczy zaopatrywał. Tak mu tu dobrze było, iż sam przed sobą i innymi kłamał, przekonywając, iż trwać to może bodaj wiek wieków, bo się na nich nikt napaść nie waży.

— Wiedzą ludzie, że kły mamy! — mawiał. — Nie będą śmieli!

Tymczasem stać obozem w siedem takich oddziałów wśród kraju

spustoszonego coraz trudniej było. Pomorcy dalej co dzień puszczać się musieli za łupieżą i nieraz wracali z próżnymi rękami; Czechy, głodem po trosze mrąc, odgrażali się, że, gdy mróz przycisnie, precz pójdą; Polacy nie wiedzieli, co poczną. Końca nie widać było.

Gdy Dobek, rozśluchawszy się po obozie, przyszedł o tym dać znać

Zbigniewowi, zaledwie go chciał słuchać. Ruszył ramionami.

— Czarno się wam widzi — rzekł — co ja na to poradzę?

— Albo się godzić, albo się bić trzeba, albo nas tu głodna śmierć wybije

— mówił Dobek.

Królewicz, który właśnie patrzył na dwu chłopców pasujących się przed namiotem, z których jeden drugiego obalił i siadł na nim, począł się śmiać mocno. Na tym się rozmowa skończyła.

Drugą razą sam na sam z Dobkiem usiłował go przemądrze przekonać, iż ojciec mu wojny nie wyda i

sam o pokój go prosić musi. Mówił tak zręcznie, przekonująco, napastliwie, że Dobka na razie uspokoił. Sam jednak pono nie wierzył w to, czym go durzył.

Posłano na zwiady ku Wrocławowi. Marko o tym doniósł królewiczowi, bo się to stało bez jego wiadomości.

— Ano, dobrze! — odezwał się.

Sobiejucha, widząc, że się to podobało, pochwalił się tym jako swym dziełem.

Czekano dni kilka na powrót Czecha, który się wprędce z językiem

przyobiecał; nie było go jakoś długo. Jednego dnia ujrzano go nareście. Człek przebiegły, roztropny, smutny jakoś przywłókł się pod namiot królewicza.

— Cóżżeś to przyniósł? — zapytał Zbigniew.

— Co Bóg dał — odparł Czech. — Król we Wrocławiu.

— Oblegał go, wziął? — zaczęto pytać wkoło.

— Gdzie zaś — mówił posłany. — Dali o królu znać tylko, że nadciąga, wyjechał naprzeciw biskup Żyrośław, miłosierdzia prosząc dla miasta swojego; za nim Magnus wyszedł, pana przyjmując.

— A Sieciech? — pytano.

— Na razie go tam nie było, tylko ludzie z jego ramienia. Nie okazywał się.

— Cóż król?

— Przyjechał niezdrów i na zamku legł odpoczywać — mówił poseł.

— Uwięziono czy ścinano? — pytali jeszcze.

Czech o niczym podobnym nie słyszał. Zbigniew, odwróciwszy się, pytać już nawet więcej nie myślał; Dobek dopiero nacisnął przybyłego, aby mu szerzej opowiedział o tym, co widział i podsłuchał. Była już pewność, że po odpoczynku król z Wrocławia na Kruszwicę miał ciągnąć.

— To i dobrze! — zawołał zuchowato Marko. — Prosiemy ich tu, niech się raz skończy sprawa. Zagramy im do mogilnych płasów, niechaj skaczą.

— Dawać ich tu! Dawać! — powtarzała młodzież. — Niech no się naszym Pomorcom na zęby dostaną.

— Nie będą śmieli tu przyjść — dodał Marko — chwałą się i chcą

nastraszyć. Nie odważą się na nas nastąpić.

Skończyło się to na drwinach i śmiechu, Dobek z sobą Czecha do namiotu poprowadził i tu dopiero, nacisnąwszy go, lepiej się o wszystko dopytał. Czech nie taił swej trwogi. Wojsko Sieciechowe było silne, dobrze zbrojne i do wojny zaprawione. Liczbę mieli większą pewnie niż wszystkie siedem pułków królewicza, poddanie się Szlązaków i Wrocławia wbiło ich w pychę. Walka się zapowiadała ciężka. Gdy nazajutrz zwierzył się z tym Sobiejuchowi, ten go wyśmiał jak tchórza.

— Te Czechy, Miłościwy Panie — rzekł — jać ich na wylot znam, jam z nimi wojował, to są ludzie małego serca, zające; im się wszystko w oczach dwoi. Wojsko królewskie odziane dobrze, co z tego! Żołnierz dobrego kozuszka więcej niż skóry swej żałuje. Nasz, co ma łachman podarty, rzuci się na zdobycz. Niech no my się do nich weźmiemy, dopiero zobaczymy, kto lepszy.

Powrót posłańca, który na zwiady chodził, poruszył trochę obóz do czynności, ale nie na długo. Patrzano na królewicza, ten trybu życia nie zmieniał. Uspokoili się drudzy, widząc go spokojnym. Dobek tylko chodził

posepniejszy coraz.

Zbigniewa do koni i do zbroi napędzić nie było sposobu. Gdy mu rycerską sprawę jako naukę wystawiano, śmiał się.

— Wy sobie z tego wielką mądrość czynicie — powtarzał — co żadną nie jest. Bić się uczyć nie trzeba, bydlę nawet to umie, każdy się z tym rodzi, że tłuc potrafi.

Dobek z Morawicy, który w słowie nie był mocny, dawał się

królewiczowi pobić językiem i szyderstwem, ale było mu niemniej markotno.

Starszyzna inna także nic dobrego nie przeczuwała. Cofać się było za późno, rozsypać niebezpiecznie. Najstraszniejszym było, iż tu się wszystko coraz bardziej rozprzęgало; przewidywano, że, gdy do boju przyjdzie, każdy na swą rękę pójdzie uciekać.

Przemko pomorski słuchać nikogo nie myślał; czescy dowódcy mieli też swój rozum, Polacy nikomu się powodować dać nie chcieli, a każdy inaczej radził; Marko wojewoda dużo gadał, nic nie robił. Dobek szepcząc, skarżąc się, mrużąc, biegał od jednego do drugiego, niespokojny o swą skórę.

Po kilku dniach posłano znowu na zwiady, a że do tego Czesi sprawniejsi byli, znów drugiego popchnięto, który kraj znał, kilka razy go

przewędrowawszy.

Zbigniewowi się zdało, iż gdy starszyznę poił, karmił i bawił, a co drugi, trzeci dzień z trębaczami obóz objechał, więcej uczynić nie mógł. Im dłużej stali, tym się czuł bezpieczniejszym.

Trzeciego dnia Czech, nie bawiąc długo, powrócił, konia spędził

wniwecz; biegł z tym, że wojsko królewskie, przy którym i Bolko królewicz był, wyciągnęło już z Wrocławia i spiesznie szło ku Kruszwicy.

Chociaż Dobek mu język za zębami trzymać kazał, nie wyszła godzina po powrocie, gdy w obozie wszystko się ruszyło jak w mrowisku, gdy je kto rozgarnie. Dowiedzieli się Pomorcy, rozbudzili Czechy, Polacy poczęli o zbroi i koniach myśleć. Marko, posłuchawszy o tym, zadumał się, ale otuchy na razie nie stracił. Starszyzna cała poszła na radę do królewicza. Zastali go wedle obyczaju z młodzieżą, błaznami, gęślarzem u drzwi i ślepym wróżbitą; zobaczywszy ich, pochodem takim dążących, namarszczył się strasznie.

— Ano, znowu! — zawołał do Dobka kroczącego przodem. — Pokoju bo

mi nie dajecie. Jeśli przychodzicie napić się a poweselić, tom Wam rad, a jak straszyć, to słuchać nie chcę!

— Miłość Wasza — odparł Dobek — rada czy nierada, musisz nas

posłuchać. Sroga bieda za pasem. Król na nas ciągnie już, siłę ma wielką, gotować się trzeba.

— To się gotujcie — rozśmiał się Zbigniew — albo Wam bronię?

— Przecie obmyśleć trzeba, czy naprzeciw nich iść, czy ich tu czekać?

Jak się rozłożyć? Można by zabiec drogę, rwać ich z boku.

Królewicz zmilczał, patrzył do góry, a do Zahonia śmiał się boczkiem.

Gęślarz, nie zważając na przybyłych, brząkał i nucił, że się rozmówić było trudno. Marko, który się dowództwa nad Polakami napierał i zwał się zawczasu wojewodą, począł mówić, wyręczając niechętnego pana.

— A po co się nam ruszać, gdy tu dobrze stojemy? — zawołał. — Gród warowny i jezioro mamy pod bokiem. Jest się o co oprzeć. Czego u licha chcieć? — Jakiego wiatra w polu szukać? Ludzie, co na zwiady idą, boją się wisieć, to im się w oczach dwoi. Straszą nas słomianą kukłą. Król ciągnie!

Myślą, że samo imię nas strwoży! Pójdziemy stąd, rozleziemy się, to nas po kątach tłuc będą. Nie! Dostojm kroku, a przyjdą tu, posieczemy ich na drzazgi.

Przemko pomorski, milczący a ponury wódz, uśmiechnął się pogardliwie z wielomównego Marka. Czechy głowami wahały, a wąsy gładziły. Patrzali na Zbigniewa wszyscy, ten na nich ani spojrział.

— Skończona rzecz — rzekł w ostatku. — Będziemy stali i czekali, a gdy przyjdą, pobijemy.

Gęślarz głośniejszym głosem zanucił, drużyna po kątach chichotała, pan do rozmowy ochoty nie miał, popatrzyła na siebie drużyna.

Rozważniejszymi niepokój owładnął. Przemko pomorski chciał inaczej.

Radził się rozbiec dokoła, na wojsko królewskie na trzęsawicach, którymi przeciągać musiało, napaść ze wszech stron niespodzianie, popłoch wzbudzić i starać się je wpędzić w moczary.

Marko nigdy cudzego rozumu nie lubił. Powtarzał swoje: — Tu stać trzeba i tu na nich czekać, wpadną między nas jak w pułapkę, wytopiemy ich w Gople do nogi.

Upewniał, że tym sposobem raz z nieprzyjacielem poczynał sobie nad Dunajem i wojsko wielkie, nie wiadomo czyje, rybom i rakom dał na pożarcie.

Mało kto go słuchał, z narady nic nie wyszło i od dnia tego każdy sam sobie po swojemu radził. Czechy, najprzebieglejsi, wysłali potajemnie szpiegów, aby wojsk królewskich ruchy śledzili i obliczyć się starali ich siłę.

Jednego wieczora, gdy w namiocie Zbigniewa jeszcze się świeciło i młodzież z panem się zabawiała, nadbiegło dwu Czechów z oznajmieniem, że królewscy już Brzeście pominęli, trzema wielkimi oddziałami sunąc wprost na Kruszwicę. Za dzień, za dwa można się ich było spodziewać.

Popłoch się stał wielki, Marko wojewoda, który dotąd sobie lekceważył wszystko i miał za bajki, co przynoszono, nagle niepokoić się zaczął bardzo.

Królewicz pozostał niewzruszonym.

— Dziś i jutro bić się będzie potrzeba — rzekł — wszystko mi jedno, czym prędzej, tym lepiej.

Przywołano Sobiejuchę, bo w nim jedynie księżę miał wiarę i upodobanie.

— A Wy co mówicie? — zapytał.

— Czechowie przynieśli, że królewscy nadciągają — odezwał się Marko.

— Jeżeli to prawda, niech ciągną, na zgubę swą tu przyjdą. Gdy się zbliżą, Miłość Wasza każe wojsku z rana beczki wytoczyć i piwa dać obficie. Niech im się w głowach zawieruszy, żołnierz na czczo nic niewart. Dopiero się bić będą, aż strach. Wybijemy do nogi!

Królewicz radę znajdował bardzo rozumną, po ramieniu go klepnął.

— Spodziewacie się zwycięstwa? — zapytał.

— Nie spodziewam się, ale jestem pewny — odparł Marko, zmuszając się do uśmiechu — byle nam Pomorcy i Czechy dotrzymywały kroku. Z hukiem, wrzaskiem jak wichur wpadniemy na nich, muszą pierzchnąć...

Zbigniewowi dosyć tego było.

— A gdybyśmy króla ojca do niewoli wzięli — odezwał się królewicz —

co z nim czynić będziemy?

— Wasza Miłość na zamku go tym osadzicie przystojnie, żeby mu na

niczym nie zbywało, niech siedzi i dożywa wieku. Do rządów się nie zdał. Przy kościele mu będzie najlepiej, a Wy nam będziecie panowali.

— A z Sieciechem co zrobimy? — pytał rozochocony pan.

— Tego zetniemy, bo żywić się tak szkodliwego stworzenia nie godzi —

mówił śmiało Marko. — Ja Waszej Miłości prosić będę o łup po nim, żeby do mnie należał.

— Daję ci go — odparł Zbigniew. Sobiejucha się pokłonił.

— Może i brat młodszy popadnie się nam w ręce. Z tym co? — mówił

królewicz.

Milcząc Marko ręce obie do oczów przyłożył, na źrenice ukazując.

Tak się naówczas wyjęciem oczów pozbywano tych, którym życia

odbierać nie chcąc, czyniono ich niezdawnymi do niczego. Było to tak naturalnym, że Zbigniew milcząco głową potwierdził wniosek, wcale się mu nie sprzeciwiając. Łaską było, gdy się życie zostało.

— I królestwo zabiorę całe — dodał Zbigniew. — W Płocku Dobka

osadzę, Was uczynię palatynem na miejscu Sieciecha, sam w Krakowie na Wawelu będę mieszkał, bo Kraków lubię.

— Weselszy jest i ładniejszy od Płocka — odezwał się Marko.

— I niewiasty piękniejsze ma — szepnął Zahoń.

Wszyscy się rozśmieli, niektórzy poklaskując w dłonie, aż po namiocie się rozległo i za namiotem dobrą myśl słyhać było.

Poszli na sen, marząc o zwycięstwie, Marko tylko, choć tak o nim prawił, do namiotu przybywszy, koło wiązania sakiew krzątać się zaczął. Było mu jakoś nieswojo.

Nazajutrz w polskim obozie przygotowań żadnych widać nie było.

Pomorcy zaczęli się ruszać i niewiele swych namiotów zwijać zawczasu, worki a węzły, których mieli dużo, ściągali do kupy, koniom kopyta opatrywali.



Czechy też mieczyki ostrzyli i zbroje przymierzali. Oni jedni, —nikogo już nie pytając, posłali swoich na zwiady, przykazując im, ażeby nie wracali, aż wojsko królewskie będzie najmniej dnia drogi od Kruszwicy.

Puścili się wysłani, tymczasem już tego dnia zgorzeliznę mocno czuć było w powietrzu, dymy się podnosiły i opadały nad lasami. Nie było wątpliwości, iż się królewscy przybliżyć musieli.

Marko sakwy swoje kazał na konie przymierzać, wdział na się, co miał najlepszego, i miodem w sobie ochotę a męstwo podbudzając, chodził i wykrzykiwał, toporek podnosząc do góry:

— Damyż my im cięgi, damy!

Nie tak wesołej myśli był Dobek. Siedział w swoim namiocie na rękach podparty i stękał, a przeklinał. Zmierzchało już, gdy u wchodu do namiotu postrzegł cień, który w nim stanął. Wpatrzył się w przechodzącego, ale mrok padał, poznać nie mógł, kto był. Dopiero gdy się gość zbliżył, stanawszy tak, iż mu światło na twarz uderzyło od wnijścia, poznał kapelana biskupiego, którego co dzień prawie około obozu widywał. Niemłody człek, w grubą sutannę odziany, z kijem w ręku, w czapce z futrem, pozdrowił go po cichu.

Dobek jako gościowi i duchownemu pierwsze miejsce dał w namiocie.

— Cóżście to, ojcze — rzekł — tak późno do nas przyszli w goście?

Obejrzał się duchowny.

— W goście albo i nie — odpowiedział. — Zawsze z dobrą wolą, z dobrym słowem.

— A, dobrego nam trzeba, bo złego mieliśmy i mamy podostatkiem —

odezwał się Dobek. — Mówcie, ojcze kochany.

— Król się z wojskiem zbliża — rzekł ksiądz po cichu.

— My to wiemy — westchnął gospodarz.

— I syn przeciwko ojcu się bić będzie? — spytał ksiądz.

— Gdy ojciec nań nastaje, bronić się musi.

— Sądzicież, że się obronicie? — zapytał kapelan.

— Jeden Bóg wie — rzekł Dobek.

— Królowi ani na ludziach, ani na wodzach nie zbywa! Podołacież mu?

— mówił duchowny.

Westchnął Dobek.

— Cóż czynić mamy!

— Czemuż by nie słać do króla z pokorą i nie próbować przejednania? —

pytał kapelan.

— Bo nam go nie dadzą.

— Jakże o tym wiecie? — począł duchowny. — Miłoś to królowi, panu naszemu, z własną krwią wojować! Pogany widzieć prowadzone przeciw sobie?

Podumał Dobek i spojrzał księdzu w oczy.

— Czy Wy to z siebie mówicie? — spytał. Spuścił wzrok ksiądz.

— Ojciec nasz, pasterz, rad by zgodę uczynić — rzekł. — Przyjdzieli do boju, miastu naszemu grozi też niebezpieczeństwo. Idźcie do królewicza, pomówcie z nim, czego chce. Jeśli możliwa rzecz, ojciec nasz przewielebny pośredniczyć będzie.

Zostawiwszy księdza pod namiotem, poszedł Dobek, choć nie z wielką nadzieją skutku, do Zbigniewa. Znalazł go, jak z Markiem o tych krajach rozmawiał, w których piasek na pół jest ze złotem.

Na pierwsze słowo o zgodzie, jak by go co zgnęło, poskoczył królewicz.

— Ho! ho! — krzyknął — znać, że się nas boją, żeśmy dla nich za silni, gdy takich sztuk zażywają. Ano, niech i tak będzie; jam nie od tego. Ojciec mnie synem pierworodnym niech uzna, pół królestwa mi da i zwierzchnią władzę.

Sieciechowi łeb da uciąć lub oczy wyłupić, zapłaci moich sprzymierzeńców!

Mniej nie mogę chcieć ani przyjąć!

— Wasza Miłość za mało żądasz! — zakrzyczał Marko. — Więcej należy nam. Niech król pot nasz krwawy opłaci grzywnami złotymi, a nie — to nas pozna!

Próżno Dobek chciał rozprawiać, zahukano go. Poszedł z tym do księdza, który, słowa już nie rzekłszy, na gród z tym do biskupa powrócił.

Nazajutrz nowych wieści nie było, tylko zgorzelizna coraz się mocniej czuć dawała w powietrzu, dymy przylatywały gorzkie.

Około południa przyszedł znów kapelan biskupi.

— Co mi przynosicie, ojcze! — radośnie począł Dobek, wesół, że go powracającego zobaczył, nie spodziewając się wcale.

— Przychodzę ze słowem ojca naszego, biskupa — rzekł stary ksiądz. —

Dziecku na łaskę ojca zdać się potrzeba, a nie z rodzicem targować, w ten sposób dział jakiś otrzymać może i przebaczenie. Opatrzcie się, dopóki czas, aby jutro nie było za późno.

Dobek mu popatrzył w oczy.

— Żartujecie! — rzekł.

— Mówię, jak mnie nauczono — odezwał się duchowny. Poszedł z tym

Dobek do Zbigniewa, ale tam zakrzyczano go i sponiewierano straszliwie.

— Nie nam przystało prosić i kłaniać się — zawołał Marko — ale królowi Władysławowi, który syna swojego pierworodnego pokrzywdził!

Zaczęto wywoływać srodze, odgrażać się straszliwie. Beczki tego dnia stały gęsto, pootwierane, wszyscy byli pod—ochoceni, w głowach mocno szumiało.

Nie było co mówić z nimi, Dobek się wyśliznął i księdza z niczym odprawił.

Sobiejuha dowodził, że nie darmo tak do nich o zgodę słano.

— Czują oni, żeśmy silniejsi, więc sromu unikając, zabiegają i proszą się.

Odgrażała się młodzież, radowali się starzy, rwało się wszystko do oręża, Zbigniew widział się już królem i zwycięzcą.

Mrok padał gęsty, a wesołość największa panowała w namiotach

książęcych na pagórku, gdy Zahoń wpadł trochę nieswój i jak przepłoszony.

— Niech no Miłość Wasza wyjść raczy i popatrzeć — zawołał — bodaj czy nie królewscy to już obozują na skraju lasu,— toć jutro chyba przyjdzie do rozprawy.

Nie tylko królewicz, ale co żyło, spod namiotów się wyrwało. Noc już była prawie, a że księżycyca na niebie nie stało i gwiazdy okryły obłoki, ciemność wielka zalegała dokoła. W tej stronie, od której puszcze stały, jak zajrzeć okiem, rzędami ognie się jakieś paliły. Było ich tyle i tak gęstych, że gorzały prawie jako niezmierne, jedno, wielkie ognisko.

Nie mogło to być nic innego, tylko obóz królewski, który puszcza

wyrzuciła z siebie nagle, zatoczył się przed nimi zniecka ognistym wałem i groźbą.

Nadbiegły w tejże chwili i czeskie szpiegi wystraszone, zwiastując, że ćma okrutna ludu ciągnęła na Kruszwicę, że jak by z ziemi wyrastały oddziały coraz nowe, bo dopiero pod lasem tyle się ich razem zebrało.

Marko, który dotąd rad się przechwalał i odgrażał, głową trząsał i, trzymając się pod boki, wąsy zagryzał.

Zbigniew, jako niedoświadczony wojak, nic w tym jeszcze

niebezpiecznego nie widział, gdy drudzy z liczby rozłożonych ognisk wnosili o sile królewskiego wojska.

Królewicz powtórzył tylko słyszane nieraz z ust Marka słowa:

— Jutro ich w puch rozbijemy.

Ani Dobek, ani nawet Sobiejucha nie potwierdzili tej zuchwałej wróżby.

W obozie Czechów i Pomorców powstał ruch wielki, kupy się zbierały, Przemko na koniu oklep przybiegł, ukazując rozpalone ogniska. Najmężniejszy z nich wszystkich nie był bez trwogi.

— Jeżeli umyślnie, dla postrachu, nie pozapalali— ogni, ciężka będzie przeprawa — rzekł. — Jak na brzask, pewnie nas napadną, stać trzeba pogotowiu.

Marko, do którego się zwrócił Zbigniew, innej rady nie miał, tylko po staremu, aby ludzi nakarmić i napoić do syta.

Gdzie kto miał stanąć, jak poczynać, nie naradzano się nawet. Dobek nie położył się spać, drudzy też ze starszyny jęli objeżdżać pułki, ludzi przygotowując przez noc całą.

Napatrzywszy się na ogniska, Zbigniew spokojnie do namiotu powrócił i spać się układał, kazawszy rozbudzić o świcie.

Noc była czarna, ale cicha, chmury zawisłe na niebie nawet się nie zdawały poruszać, odbijały się na nich bladoczerwone łuny, a dym, przyciśnięty do ziemi, rozchodził się i rozkładał aż ku jezioru. Wśród groźnej ciszy to psy zaszczekały i zawyły, odpowiadając sobie z dala, to konie zarżały, to jakiś gwar dziwny, niby szmer tysiąca głosów cichych, przesunął się w powietrzu i skończył

na wodach jeziora.

W kościele, na tumie na jutrznię dzwoniło, gdy świtać zaczęło, z dala tętent powolny usłyszano, który się zdawał przybliżać nieznacznie.

Zahoń obudził królewicza, bo czas było wdziwać zbroję.

Ołowiane światło dnia jesiennego przeziarało przez szare obłoki.

# IX

Jak by na głos tego dzwonka, co się ozwał z kruszwickiego kościoła, czekano w królewskim obozie, wnet około namiotów ruch się rozpoczął

znaczniejszy. Stały namioty pańskie pod samym lasem u starych dębów, które już znaczniejszą część żółtych liści straciły. Rozbitych było ich kilka wielkich i ozdobnych dla Władysława, który wygodę potrzebywał, bo chory wyruszył z Płocka na rozkaz Sieciecha; dla królewicza Bolka i Wojsława, dworu, kapelanów i starszyzny.

Z wieczora już zapowiedział król Władysław, że nazajutrz nie pocznie nic, dopóki się nie pomodli i mszy świętej nie wysłucha, a błogosławieństwa Bożego nie otrzyma.

Sieciecha widać nie było na czele, nie mianowano go, ażeby on dowodził, z ręki jego szli inni. On sam, prawie się kryjąc, stał na uboczu, nie chcąc, aby o nim wiedziano.

Na oko dowództwo było przy młodym Skarbimierzu, który się w szkole Sieciechowej wyćwiczył. Na pułki królewskie dosyć spojrzeć było, by poznać, że z nimi sprawa nie pójdzie łatwo. Żołnierz odziany, zbrojny należycie, nakarmiony, nawykły iść na skinienie, poruszał się wszystek jako jeden człek, w cichości i posłuszeństwie. Na zbroi i żelazie nie zbywało, rychlej za dużo go było niż za mało, bo ci zwłaszcza, co z końmi szli, blach mieli poczepianych na kaftanach do zbytku; tarczy, toporków, dzid, nagolenników i hełmów żelaznych było pełno.

Świtać ledwie poczynało, gdy Bolko królewicz już się zerwał, budząc swoich około namiotu spoczywających i wołając, że czas był się sposobić do pochodu. Nocy nie dospał, tak w nim wrzało do tego boju, który się na jutro zapowiadał.

Wojsław trzymać go musiał i hamować coraz, lecz podać temu było trudno. Królewicz zawczasu począł się odziewać w bojowe suknie, nim drudzy się z posłania ruszyli. On i młoda jego służba wesoło mieczami pobrzękiwała, przemyślając, jaki by oręż więcej przypasać mogła. Bolko coraz to z namiotu wyrżał. — Dniejeli już? — Nie dnieje? Czas czy nie? Ranek był cichy, z góry nie padało nic, msza święta pod dębem odprawiać się miała. Przysposabiano już do niej wszystko, ołtarz przykrywano, aby, gdy król się ukaże, o. Lambert już ubrany mógł zaraz stanąć u ołtarza. Od samego Wrocławia przez drogę całą król był wielce milczący i smutny, na próżno się starano natchnąć go otuchą lepszą.

Modlił się, przeczucia miał złe i płakał; wstyd mu było iść na dziecko własne.

Do ostatniej chwili czekał, azali się ono nie upokorzy i o łaskę prosić nie będzie.

Przybyli potajemnie z Kruszwicy od biskupa posłani i nic nie przywieźli.

Sieciech, który nie postrzeżony pilnował króla, może by też był nie dopuścił do zgody, pewnym będąc przewagi i zwycięstwa. Gdy król już się odziewać miał i kozuch mu podawano, wszedł wojewoda do namiotu, ubrany jak prosty człek, szarą na zbroję opończą, aby pana uspokoił.

Drżący modlił się ciągle Władysław, spojrzeli na siebie, Sieciech już zwyciężczy miał postać.

— Niech się Miłość Wasza — rzekł z uśmiechem — o bitwę tą nie

troszczy. Nigdyśmy, dzięki Bogu, nie szli na nieprzyjaciela pewniejsi zwycięstwa, W obozie ich nieład i niedostatek panuje. Ludzie zbierani z różnych kątów, wodza brak. Jeżeli dostoją pierwszej napaści, rzeź sprawiemy okrutną.

Król strwożony ręce zacisnął.

— A! Zabijać go nie każcie — rzekł po cichu — nie godzi się, aby od moich ginął. Ojcem jestem.

Wojewoda nic nie odpowiedział, tylko mu się twarz pomarszczyła i

ściągnęła.

Dniało, król zobaczywszy przez namiot z przodu odsłonięty, że o.

Lambert ze mszą wychodzić był gotów, prędko się ku ołtarzowi poruszył. Do starego dębu niesiono za nim wezglowie, na którym pokłękł. Z odkrytymi głowami stało rycerstwo dokoła, stał i Bolko, cały już żelazem okryty, więcej oczyma biegnąc ku Kruszwicy i nieprzyjaciół obozowi, niżeli pilnując modlitwy.

Msza upłynęła wśród uroczego milczenia. Jak kłosa od wiatru uchylały się i podnosiły głowy, klękali i powstawali pobożni, po mszy zanuciono hymn do Bogarodzicy, cicho zrazu, lecz zaledwie odezwał się od ołtarza, coraz większej liczby połączyły się głosy i uroczysta pieśń rozległa po całym obozie:

*„O gospodze uwielbiona...”*

Mogli go stąd posłyszeć stojący naprzeciw Polacy i zrozumieć, że tą modlitwą przysposabiano się do walki.

Król nie powstał i nie ruszył się do ostatniego pieśni słowa, do

pośledniego „Amen,” które silniej jeszcze niż śpiew zagrzmiało echem wielkim po szeregach, kilkakroć powtarzane.

Niebo ciągle chmurne było, dzień wilgotny bezdżdżysty, w powietrzu panowała cisza. Niekiedy tylko ponad skrajem lasu przeleciał wiatr, nie wiedzieć skąd, liśćmi poruszył suchymi, podniósł je w górę i rzucił nie opodal drżące na ziemię.

Rozjaśniło się zupełnie. Pancernicy koni dosiadali i szykowali się tak, by wielkim kołem objąć obóz Zbigniewa i sam gród kruszwieki. Skarbimierz przez szpiegi swe wiedział, kędy stały Pomorce, gdzie byli Czechy, gdzie zbiegowie polscy, Zbigniewa zaś, wśród walki, która się gotowała, łatwo się znaleźć spodziewano, wiedząc, jaką się drużyną i hałasem otaczał.

Podano królowi konia okrytego, ale mu nie dopuścił Sieciech inaczej jechać jak za pułkami, otoczonemu strażą dobrze zbrojną i najmężniejszą.

Siadać już mieli, gdy król stojący w gotowości, a zdający się wahać jeszcze, skinął na syna, który się na konia spinał, i z nim razem wszedł do namiotu.

Prawie niechętnie Bolko cugle musiał porzucić i iść do ojca. Władysław stał w pustym namiocie, który już pacholkowo opróżniony ścigać mieli, gdy Bolko z młodzieńczym ogniem w oku, rad ze swojego rycerskiego rynsztunku, brzęczącego na nim, wszedł do namiotu.

Król, obie ręce na ramionach jego położywszy, stał bezmównym długo.

— Dziecko moje — odezwał się po cichu — niech ci się dziś serce nie rwie do boju. Straszna ta walka będzie, oplakana łzami moimi. Wolałbym, byś nie szedł na nią.

Królewicz zadrżał cały, aż zadźwięczały na nim żelaza, i ojcu się do kolan pochylił.

— Miłościwy Ojczy! A! Nie żądajcież Wy tego po mnie, nie żądajcie, nie strzymam się.

Wskazał ręką na wojsko szykujące się do ruszenia, na pułki, które już wesołe wyciągały w pole.

— Moje miejsce tam! Tam! — zawołał.

— Nie, obok mnie — Bolku! Boję się o ciebie i nie chcę, abyś się spotykał z tamym. Bratem ci jest.

— Przeciwno ojcu idący wróg nie jest mi bratem! — zawołał Bolko. —

Znać go nie chcę. Serce Twoje zasmucił, stał się nieposłusznym.

Król, ręce wyciągnąwszy, znowu mu je położył na ramionach i z lekka ku sobie przycisnął.

— Bolku, dziecko moje — rzekł — jeśli chcesz iść bić się koniecznie, rycerskie słowo mi daj, że jego będziesz unikać.

Bolko zamilkł trochę.

— Nie znam go — rzekł.

— Poznasz, pokażą ludzie — odparł król — ocal go raczej, nie walcz z nim, nie podnoś nań ręki, dla miłości mej.

Widząc łzy w oczach ojca stojące, Bolko zamilkł i rękę jego pocałował.

Nie mówili więcej, za namiotem odżywały się rogi i ziemia tętniała.

W milczeniu wzięwszy błogosławieństwo ojcowskie, Bolko skoczył na gniadego konia, do którego



był nawykły. Kilkunastu z drużyny, młodych, jak on zapalonych do boju, zbrojnych od stóp do głów, towarzyszyli mu nieodstępnie.

Ani Wojsław, ani żadna siła w świecie, gdy okrzyk bojowy się dał

słyszeć, powstrzymać ich i jego nie mogła. Strzec go już tylko było potrzeba, a odcinać, bo zapamiętały biegł, za siebie nie patrząc, choćby się sam jeden miał

pozostać. Zawczasu się w nim burzyło przeciw Zbigniewowi, który ojca nie chciał szanować, gdy Bolko go kochał najczulej. Zapowiadał od dawna, że gotów go własną ubić ręką, byle mu się nastreczył w boju, odgrażał się nań i zaklinał, że mu nie daruje życia. Nie żeby z natury tak okrutnym był, lecz obrażonego ojca pragnął pomścić, a w boju rozeznania nie miał i wstrzymać by się nie potrafił. Rozkazanie i prośby ojcowskie nie na wiele służyły.

Gdy się już rozstawione pułki ruszyły, król i Sieciech musiał zaraz posłać po Bolka, który się zbytnio naprzód wrywał. Nakazywano mu iść w pośrodku ufa i pierwszemu na harc nie wybiegać. Wojsław ociężały, ze swym koniem równie jak on sam grubym i nieobrotnym, zaledwie się do wychowańca przysunął, już za nim pozostawał w tyle. Nie pomagała ostroga ni popędzanie.

Wedle rozkazu Skarbimierza powolnym krokiem pułki się posuwały,

opasując kołem szerokim Zbigniewa obóz i miasto. W przeciwnym wojsku widać było pośpiech wielki i zamieszanie, pułki się dopiero ściągały i szykowały na stanowiskach. Rogi odzywały się, nawołując rozpierzchłych, którzy jeszcze konie poili i od jeziora się ściągali opieszale.

Sam widok wojsk królewskich mógł ustraszyć przeciwników, tak

groźnym zastępem sunęły się jako mur, gęsto zbite, najeżone dzidami i milczące. Na staje przybliżywszy się, królewscy jak by przystanęli; każdy za oręż brał, łuk naciągał, tarczę mocował, oszczep zwieszony podnosił, aby mu przy uderzeniu nic nie brakło.

Z drugiej strony miotano się w nieładzie, jak by nie wiedząc, co poczynać.

Już z miejsca, na którym królewscy stali, widać było, gdzie Zbigniewa i starszizny szukać. Wiewał tam porzecz na długiej żerdzi i „żelazo pobłyskiwało na piersiach ludzi, którego gdzie indziej mało było.

Rozkazał Skarbimierz naprzód całą siłą rzucić się na dowodzących, aby głowę odciąć nieprzyjacielowi. Zatrąbiono w rogi i ów mur, który się posuwał

tak z wolna, teraz jak by nim wichur i burza rzuciła, padł wprost pędem wielkim na polskie pułki, otaczające Zbigniewa.

Tu stał też najdzielniejszy żołnierz, bo zbiegowie pamiętali, że głów własnych bronić muszą, a Sieciech im, gdyby się w jego ręce dostali, nie daruje życia.

Bolko, jak tylko rogi posłyszał i ruch poczuł około siebie, już go nic powstrzymać nie mogło. Niósł

się jak jastrząb na stado spłoszone, młodzież wiodąc za sobą, gotów swoich własnych bić, gdyby mu śmieli zapierać drogę.

W jednej chwili zmieszało się wszystko, oba wojska w jeden kłęb

drgający się zbiły, w jedno ciało miotające się jak smok ogromny, prac się wzajem, siekąc, rąbiąc i koląc.

Na prawo Pomorcy, ledwie dostawszy kroku, że tyłu tego nie mieli, z wrzaskiem pierzchać zaczęli tłumnie. Ci, co naprzeciw nich stali, puścili się w pogoń za nimi. Czechy rzucili się pierwsi przeciw królewskim, mężnie a rozpaczliwie bijąc się i tu bój zawziął się srogi.

Dobek i Marko, którzy przy Zbigniewie stali, a ten nie wiedząc, co poczynać, blady na koniu siedząc, w miejscu się okręcał, zrozumieli łącno, że nie dotrzymają królewskim. Chcieli się więc cofnąć ku miastu, bo tam za domami i ścianami obrona była łatwiejsza, a w razie ostatnim i ucieczka mniej niebezpieczna. Lecz za ledwie się ku grodowi posunęli, gdy królewscy odcięli im do niego drogę i, na karki wsiadłszy, rozpoczęli zajadłą walkę. Bolko był w pierwszym rzędzie, zapomniawszy na prośby ojcowskie i o całym świecie, bo gdy w nim krew zawrzała młoda, ślepym i głuchym się stawał.

Zbiegowie polscy z Dobkiem z Morawicy stali mężnie naprzeciw

królewskim, broniąc się tak zacięcie, iż kilkakroć szeregi ich złamali, ale coraz większymi kupami opasywano ich dokoła i garść ta rycerzy padać poczęła jak drzewa w puszczy, gdy wichur się w nią włąmie.

Marko, ów wojewoda, który tak się obiecywał do walki, kędy teraz był, nikt nie wiedział. Znikł nagle, a stało się to tak, iż powiedziec nie umiał żaden, gdzie się podział, czy padł, czy go osaczono, ujęto, czy go ziemia pochłonięła.

Dosyć, że go już nie było.

Z małą gromadką Zbigniew parł się ku miastu i zamkowi, blady, nie umiejący mieczem ni oszczepem się bronić, zmuszony więcej za swą młodzież się ukrywać, niż na własną liczyć siłę. Nagle naprzeciw niego stanął Bolko, który po chorągwi i otoczeniu albo raczej przecuciem jakimś brata się w nim domyślał. Zbigniew przyciśnięty przez niego, gdy inni mu w pomoc nie przybywali, pierwszy raz za oręż pochwycił ręką drżącą i zamierzył się na niego.

Oczyrna starli się bracia, Bolkowi dłoń zadrżała. Gdyby był słuchał

zapalczywości swojej, ubiłby go pewnie, mając przed sobą niezręcznego do obrony i strwożonego; łyzy ojcowskie stanęły mu na pamięci i, pominawszy go, z zajadłością rzucił się w bok, nie chcąc patrzeć nawet na Zbigniewa. Towarzysze porwali go między siebie i co żywiej z nim na wzgórze ku zamkowi pobiegli.

Pierwszy, co pod miecz Bolka się dostał, padł ubity, gdy wtem koń jego, pchnięty z boku oszczepem, na przednie upadł nogi, łbem na ziemię. Lecz Bolko już stał, a towarzysz wierny drugiego mu poddał wierzchowca. Nim go dosiadł i obejrzał się, oddział otaczający Zbigniewa i część Polaków na gród

się już wdarła.

Tyle tylko ujść ich zdołało od miecza wojsk królewskich, które

zwycięskiego boju dokonywały, osaczywszy wkoło resztę nieprzyjaciół, broniących się z wściekłością, bo jeńców brać nie chciano. Bój wkrótce w rzeź

się zamienił. Z jednej strony wojska były Władysławowe, z drugiej jezioro; śmierci wybór tylko od żelaza lub wody. Ci, którzy z rozpaczyny wpław się rzucili, mając na sobie kaftany ciężkie i żelazo, nie mogąc się utrzymać na wodzie, tonęli natychmiast prawie. Niektórzy dobywali się bezsilnie i, zaledwie ukazawszy głowy, szli znowu na dno. Do innych strzelano i dobijano kamieniami. Na falach widać było pływające ciała i potopione konie. Dzikim rykiem i jękami rozlegała się okolica.

Jakaś część Czechów okrwawionych, garść ocalała zbiegów polskich, po stosach trupów usiłowała dostać się do miasteczka, z którego ludność przerażona z krzykiem uciekała na pole, domy, dzieci, mienie zostawując na pastwę rozjuszonego żołnierstwa. Wtem z rozkazu czy przypadku podłożony czy zażegnany przez nieostrożność ogień buchnął ze strzech słomianych, gęste kłęby dymu poczęły się podnosić w powietrze. Wicher, jak by hasła czekał, zerwał się nagle i poniósł iskry i płomień na sąsiednie domostwa. Wkrótce cała osada drewniana była już jakby morzem płomieni, ponad trupów stosami, bo wojsko biło i mordowało, kogo napadło, chucią krwi i zabójstwa miotane. Z

pagórka gdzieniegdzie, jak po deszczu strumienie, toczyły się strugi krwawe.

Ogień, miecz, woda dokonywały razem strasznego dzieła zniszczenia i śmierci.

Stało się, co się dzieje, gdy człowiek, własnego życia broniąc, zdriczeje i szaleńcem się uniesie. Ludzie bili, zarzynali, mordowali bezbronych, starców i dzieci, znęcali się nad trupami, jak by chcieli, ażeby nic żywego nie pozostało na ziemi. Pomorców bijąc ścigali jedni, drudzy osaczonych Czechów, żelaza im trzymając na gardle, spychali do wody, inni żagwie płonące rzucali na chaty, które jeszcze całe stały. Garść zbiegów z Dobkiem na czele broniła się ze lwim męstwem, ale z gromady stała się wkrótce kupką, później garścią, wreszcie za stosem trupów trzymało się ich kilku, trzech... jeden, ostatni. Płynął cały krwią, chwiał się na nogach, oczy mu zalewała posoka, mieczem konwulsyjnie miotał, nie widząc już nic, aż obalił się i on jak dąb na ciała pobitych braci.

Bolko z drużyną swą na przedzie był, gdzie walczone, zbroję miał

potłuczoną oszczepami, hełm pogięty, trzeciego konia pod sobą. Krwi na szatach szerokie stały plamy. Dyszał zmęczony, a nie mógł i nie chciał

odpocząć, dopóki bój słyszał i czuł wkoło siebie.

Pod wieczór już straszliwe owe pobojuwisko jednym było śmierci łóżem.

Jeńców nie brał nikt. Całe brzegi jeziora stały okryte trupami ludzi, ścierwem koni, nad którymi sterczały połamane oszczepy i pokruszone pociski. Czelaź

obozowa już plądrowała, ściągając poobnażane zwłoki ku wodzie, spychając je do Gopła. Jak

zajrzeć było, na zmaconych jeziora falach bieleły gęściej coraz unoszące się trupy.

Król stał na wzgórzu i oczy zakrywał, aby nie patrzeć na widok ten straszny i krwawy. Woń pobojowiska odetchnąć mu nie dawała, a odejść nie mógł i oczów na długo od grozy tej oderwać. Szukał nimi syna.

Bolko, zostawszy ze swymi na pobojowisku, na próżno się oglądał, z kim by jeszcze mógł walczyć, nieprzyjaciela już nie było. Nad wieczór na wrzawliwym polu panowała cisza pustynna.

Garść tylko szczupła ze Zbigniewem schroniła się do grodu, ale w nim o obronie i trzymaniu się ani myśleć nie mogła. Zamek opasany był dokoła. U

stóp jego dogorywało spustoszone miasteczko, wyludnione, zniszczone na wieki, gdyż co nie uszło zawczasu, padło od nielitościwego żołnierza.

Modlił się król, gdy grubą odziany opończą przyszedł Sieciech i wskazał mu na wieżycę grodu.

— Tam jest — rzekł. Król odetchnął.

— Oddaję go opiece twej i straży — odezwał się drżącym głosem — ale o życie dla niego, o życie proszę!

I podał Sieciechowi dłoń, który dumnie się jakoś zawahał, nim jej dotknął.

— Miłościwy Panie — rzekł — masz tam litość, gdzie się jej mieć nie godzi. Nastawał na życie twe, na królestwo, na powagę ojca, na ukochane dziecię twoje, oręż na ciebie podniósł...

— Chcę, by żył! — powtórzył król z siłą wielką.

— Tak — odparł szydersko Sieciech — aby tobie panie i synowi twemu życie zatruwał. Chcesz? Stanie się po woli twej, każę go oszczędzić.

— Życie! Tylko życie! — zawołał król. — Zamkniesz go, niech siedzi i pokutuje.

Wojewoda poruszył się prawie gniewnie. Nadbiegła gromada żołnierzy ze Skarbimierzem, który, bojem rozpalony i zagorzały, na zamek wskazywał, bo tchnąć i mówić nie mógł.

— Zabrać tych, co tam są! — zawołał Sieciech, oczy ku wieży

skierowawszy. — A król — dodał żywo — życie mu kazał zachować!

Gdy tych słów domawiał, zbliżył się Bolko na koniu, również jak i on okrwawionym, ale z twarzą jasną i wesołą. Dumnie wskazał ojcu ręką na pobojowisko i jezioro.

Namioty rozbijano, zsiadł z konia i ledwie rękę ojca ucałowawszy, który za nim gonił oczyma, padł

znużony na ziemię. Chłopcy mu przynieśli w kubku wina, bo wody nie było żadnej, której by użyć można. Studnie w mieście, jezioro trupy zaległy.

Przez długi potem czas jeszcze w opustoszałej Kruszwicy nikt nie

zaczerpnął z zatrutego Gopła wody, nikt ryb z niego nie dobywał, ludzkim mięsem utuczonych.

Skarbimierz, lękając się, aby mu garść ludzi z królewiczem na zamek zbiegłych nie uszła, pospieszył na gród, który już miano na oku. Wrota były zaparte, ale o obronie nikt nie myślał. Gdy królewscy przybyli do bramy, kazał

Skarbimierz zatrąbić, ale na odgłos ten długo się nikt nie zjawił. Już miano zacząć tłuc i rozbijać wrota, gdy w furcie człowiek się pokazał.

Do rozmów zwycięzcy nie mieli czasu ni ochoty.

— Wrota otwierać! — krzyknął Skarbimierz, — Gdy ja je wyłamię, nie wyjdzie nikt cało, wybić każę wszystkich tak, jakeśmy wybili tych, co tam leżą.

Wskazał na brzegi jeziora.

— Wrota otwierać! — krzyknęli drudzy — bramę na oścież!

Po krótkiej chwili wahania poczęto drągi odwalać, z wolna odchyliły się ciężkie wrota, kilkudziesięciu ciurów, stojących za nimi, padło na kolana przed Skarbimierzem, czoła chyląc ku ziemi. Nikt i nie spojrział na nich. Królewscy poczęli zajmować wnijsie i rozgaszczać się na zamku. Pochwyconych jeńców łykami wiązać zaczęto.

— Gdzie Zbigniew? — zapytał Skarbimierz.

Nie mówiąc nic, ludzie pokazali dworzec pod wieżą. Wódz z kilku ludźmi poszedł do drzwi, w które oszczepami bić zaczęto.

Niedługo czekali, gdy im je bez oporu na oścież otwarto. Pachole, które stało w progu drzące, na zapytanie o Zbigniewa, okazało drzwi na prawo.

Skarbimierz wodzem i żołnierzem był dzielny, człowiekiem zimnym i dumny, w boju się nie rozgrzewał zbytnio, jękami nie rozczulał. Jakim szedł

na walkę, takim powracał; ciało się znużyło tylko, dusza była spokojna. Patrząc na twarz jego, nikt by nie odgadł, zwyciężył czy przegrał; cieszyć się jawnie ani smucić nie umiał. Kamiennym go zwano, bo i w boju, choćby najsilniej rannym był, nie stęknął. Obawiał się go żołnierz, ale poszanowanie mieli wszyscy.

Okrutnym nie był ani miękkim. Patrzał na śmierć zimnym okiem, męczarni nie chcąc przyczyniać nikomu.

Izby stały otworem, puste, jedna za drugą. W ostatniej, u ściany na ławie, spostrzegł Skarbimierz siedzącego człowieka, nad którym drugi stał z boku z rękami spuszczoneymi.

Zbigniew blady, oparty był na łokciu, usta miał zaciśnięte, w oczach wyraz zarazem dziki i strwożony.

Nim Skarbimierz wszedł i mógł doń przemówić, zmierzył go wzrokiem królewicz, jak by chciał nieprzyjaciela poznać i los swój przyszły z niego odgadnąć; niósł mu śmierć, oślepienie, czy życie i łaskę?

Ostatniej mało się mógł spodziewać, jeńcem był krwią drogą okupionym, krnąbrnym przeciw ojcu i królowi. Ujrzawszy przystępującego Skarbimierza, wahał się, czy ma wstać i upokorzyć się przed nim, czy resztką dumy i przebiegłości z nim walczyć. Poruszył się i pozostał w miejscu, podniósł znowu i padł, niepewien siebie, czoło tarł ręką, oczy spuszczał. Wreszcie, jak by siłą jakąś rzucony, wstał. Skarbimierz długo nań patrzył, nim się odezwał.

— Królewski rozkaz jest, abyście więźniem byli — odezwał się krótko.

— Zechcecie li zbiec lub z zamku się wyzwolić, życia Waszego nie będą szczeni.

Spod brwi nawistych popatrzył Zbigniew.

— Wiem, że jeńcem — odezwał się ośmielony — ale jestem

królewskim synem, o tym ja nie mogę, a wy zapominać nie powinniście.

— Syn, co się na ojca porwał, dzieckiem być przestaje — surowo odparł

Skarbimierz. — Miłosierdziu króla winniście życie; znajcie się do tego.

W pierwszej izbie zbrojni ludzie, którzy przyszli ze Skarbimierzem, stali pogotowiu, nie wiedząc, co im przykażą. Ten, nie czekając już odpowiedzi, zwrócił się ku nim i pokazał na Zbigniewa:

— Więzień jest Wasz — rzekł — strzec go macie pilno, abyście zań

głowami nie odpowiadali.

Kilku się natychmiast zbliżyło.

— Strzec go dzień i noc, taki jest rozkaz króla, pani naszego — powtórzył

Skarbimierz.

Namyślił się Zbigniew i gdy dowódca miał już odchodzić, zbliżył się doń z niezgrabną mieszaniną dumy i pokory, krokiem niepewnym.

— Chciałbym mówić z Wami — odezwał się głosem zniżonym.

— Ja nic z Wami do mówienia nie mam — odparł zimno Skarbimierz.

— Jesteście chrześcijańskim człowiekiem — rzekł królewicz — możecie nieszczęśliwego przez miłosierdzie posłuchać.

Wódz skinął na ludzi, aby się oddalili, i zatrzymał się w progu.

— Ja — odezwał się, z wolna wzrokiem badając przeciwnika, Zbigniew

— nie tak winnym jestem przeciw królowi i ojcu memu, jak się zdaje. Szedłem nie po własnej woli Z klasztoru mnie wzięto gwałtem, prowadzono tak samo.

Nie chciałem bić się przeciwko ojcu, zmuszono mnie. Byłem w ręku tych ludzi zakładnikiem. Mamże za to odpowiadać, czując się niewinnym?

Popatrzał nań trochę zdziwiony Skarbimierz.

— Prawicie dziś tak — rzekł — bo Was zwyciężono i złamano. We

Wrocławiu sprawialiście się inaczej, ludzie świadczą o Waszych słowach i uczynkach.

— Ludzie winę własną składają na mnie, oszczercy są! Niegodziwi! —

począł, nabierając coraz odwagi, królewicz. — Bądźcie mi orędownikiem, Miłościwy Panie, a jeśli nie chcecie więcej nic uczynić, odnieście słowa te królowi, ojcu memu. Niewinny jestem.

Skarbimierz popatrzał nań z góry, nie odpowiedział nic i wyszedł z izby powoli. Zbigniew wrócił na siedzenie swe i padł na nie zamyślony. Strażnicy nowi cisnęli się do izby ciekawie. Zahoń więc pobiegł ku drzwiom i zamknął je przed nimi.

Sami zostali we dwu. Zbigniew obejrzał się bojaźliwie, odetchnął, jak by mu wolniej było, i podniósł głowę ku stojącemu Zahoniowi, z wyrazem szyderstwa i złości razem.

— Słyszałeś, Zahoń — rzekł po cichu — słyszałeś, jak mówiłem do

niego? Nieprawdaż, mógł pomyśleć i uwierzyć, że jestem niewinny? Dobrze mówiłem. Albo nie było płaczu w głosie i żalu w oczach? Widziałeś?

Chłopak głową skinął.

— Ha! Złego jeszcze tak bardzo nie ma nic, gdy życie jest! — mówił

królewicz. — Ci, co poginęli, głupi byli! Z klasztoru się wyzwoliłem, a w więzieniu wiecznie siedzieć nie będę. Gdyby mi oczy chcieli wykłuć, przysłaliby zaraz z żelazem człeka. Jeszcze nie ma nic straconego!

Rozśmiał się cicho sam do siebie. Zahoń wylękły stał, nie śmiejąc wyrzec słowa.

— Król mi życia nie weźmie — począł po krótkim namyśle — nie,

dzieckiem jego jestem. Sieciech nie będzie śmiał. Nie! Pokorę udawać trzeba i kajać się przed nimi!  
Co robić!

Dziwna jakaś otucha wstąpiła w niego nagle; zapomniawszy rzezi,

trupów, pożogi, radował się tylko temu, że sam z nich wyszedł cały, powtarzając dziecinnie:

— Nie ma nic straconego, gdy życie jest!

Obojętność ta królewicza nawet Zahonia zdała się strachem przejmować i podziwieniem. Chłopak, który po raz pierwszy śmierć widział z bliska, słyszał

jęki konających, krzyki męczonych, płacz uchodzących kobiet, które padały po drodze, tuląc dzieci; patrzył na krew, spływającą strumieniami i stojącą kałużami, wzdrygał się na te straszliwe wspomnienia; Zbigniew myślał już tylko



o sobie. Nie spytał o wiernego Dobka, nie dowiadywał się o ulubionego Marka, nie zabrał nad



stratą ludzi, których postradał.

On sam rannym nawet nie był, miecz jego nie obmył się we krwi; czuł tylko głód dokuczliwy i pragnienie, które mu usta paliło.

# KONIEC TOMU PIERWSZEGO

WŁADYSŁAW HERMAN (Jan Matejko)